

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/402

1981



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ : **NOTATKI O WYGNANIU**

St. BARAŃCZAK : **W I E R S Z E**

J. NOWAK : **SZABLE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO**

N. MODZELEWSKA :

MIŁOSZ W POLSCE NA PRZEŁOMIE 1950/51

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Noty o wygnaniu</i>	3
Tymoteusz Klempski:	<i>„Matka świętych Polska”</i>	9
Zygmunt Mycielski:	<i>List z Polski</i>	27
Marta Erdman:	<i>Jesień 1980 w Warszawie</i>	34
W I E R S Z E		
Stanisław Barańczak:	<i>Czyste ręce. — Trzy spojrzenia przez ramię. — Czerdzieści osiem. — O dalszy pomyślny</i>	51
K R A J		
Scriptor:	<i>Wokół warszawskiego Zjazdu Literatów Na co wydajemy (niepotrzebnie) de- wizy</i>	55
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	65
—	<i>Dalszy ciąg dywersji</i>	70
SĄSIEDZI		
—	<i>Zestaniec Sacharow</i>	73
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	74
—	<i>Polscy kapucyni w Estonii</i>	80
—	<i>Mińsk Litewski</i>	82
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	82
SPRAWY I TROSKI		
Jan Nowak:	<i>Szable Marszałka Piłsudskiego</i>	87
Zdzisław Bau:	<i>Z Nowego Jorku, bez cenzury</i>	95
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Nadzieje i żłudy</i>	101
KRONIKA KULTURALNA		
Natalia Modzelewska:	<i>Miłosz w Polsce na przełomie 1950/51</i>	107
K S I Ą Ż K I		
K. A. Jeleński:	<i>Portret dekady z wizerunkiem autora w lewym rogu</i>	116
Krzysztof Zawrat:	<i>Powieść o miłości</i>	122
Michał Heller:	<i>Raul Wallenberg</i>	125
Benedykt Heydenkorn:	<i>Dzieje stosunków kanadyjsko-polskich</i>	128
—	<i>Nadstanie nowości wydawnicze</i>	130
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	132
♦		
A. Boniecki, A. Bromke, J. Drewnowski, J. Garliński, J. Giertych, A. Gritzman, K. A. Jeleński, H. Kas- przykova, J. Mackiewicz, J. Turowicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	142
—	<i>List do „Figaro”</i>	149
DOKUMENTY		
—	<i>Grudzień 1952 — 1970 — 1980</i>	150
Komitet Obrony Więzionych za Przekonania:	<i>Inauguracyjne zebranie. — Do obyw. Przewodniczącego Rady Państwa</i> ..	152
KPN:	<i>Deklaracja</i>	154
—	<i>Oświadczenie Prokuratury Generalnej</i> ..	155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1981

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz 12-ty — \$ 33,00	F. 158,40
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz 16-ty — \$ 58,00	F. 278,40
Włodzimierz Brylewski, Hollywood (USA), po raz 6-ty — \$ 10,00	F. 45,13
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 50-ty — \$ 100,00	F. 480,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN), po raz 6-ty — DM 50,00	F. 115,00
Manfred Dąbrowski, Audincourt (Francja), po raz 5-ty	F. 40,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA), po raz 10-ty — \$ 47,00	F. 225,60
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 5-ty \$c. 10,00	F. 38,00
Stefan Ginilewicz, Brownsville, Texas (USA), po raz 6-ty — \$ 18,00	F. 86,40
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz 20-ty	F. 90,00
Grzywna z Danii	F. 20,34
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz 20-ty — \$ 18,00	F. 86,40
E. i Zb. M. Inwalscy, Richland, WA (USA) — \$ 8,00	F. 38,40
Alicja i Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA), po raz 5-ty — \$ 100,00	F. 480,00
Dr Jacek Jędruch, Pittsburgh, Pa (USA), po raz 5-ty — \$ 8,00	F. 38,40
W. Kociejowski, Oxford Mills, Ont. (Kanada), po raz 4-ty — \$c. 20,00	F. 76,00
W. Kołaciński, Des Plaines, Ill. (USA), po raz 3-ci — \$ 13,00	F. 62,40
Henryk Komeza, Trondheim (Norwegia), po raz 6-ty	F. 40,00
Halina Kościuch, Detroit, Mich. (USA) — dla uczczenia pamięci syna Henryka i męża Mieczysława — \$ 25,00	F. 120,00
E. Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz 7-my — \$ 8,00	F. 38,40
K. R., Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 5-ty — \$ 24,00 ..	F. 115,00
Prof. Karol Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 6-ty — \$c. 51,10	F. 195,00
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń (Austria), po raz 5-ty	F. 285,00
A. J. Łuczkiwicz, Palos Verdes, Cal. (USA), po raz 4-ty — \$c. 105,00	F. 399,00
Tadeusz Maczyński, Chicago, Ill. (USA), po raz 5-ty — \$ 48,00	F. 230,40
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 6-ty	F. 80,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz 9-ty — \$ 8,00	F. 38,40
R. A. Mossakowski, Lions Bay, B.C. (Kanada), po raz 2-gi — \$c. 5,00	F. 19,00
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, Ill. (USA), po raz 9-ty — \$ 23,00	F. 110,40
B. Obuchowski, Bankstown, N.S.W. (Australia), po raz 5-ty — \$A. 12,00	F. 60,00
Michał S. Ochalski, Chicago, Ill. (USA), po raz 9-ty — \$ 8,00	F. 38,40
Jan Pawłowski, Bois Colombes (Francja), po raz 8-my	F. 630,00
R. Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz 8-my	F. 378,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 13-ty — \$ 38,00	F. 182,40
Dr S. Sadowski, Windsor, Ont. (Kanada), po raz 6-ty	F. 45,00
Aleksander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz 11-ty — \$ 50,00	F. 240,00
I. Strutyńska, Knutange-Nilvange (Francja), po raz 2-gi	F. 100,00
S. Szyński, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz 5-ty — \$c. 45,00	F. 171,00
A. A. Świderski, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 2-gi — \$c. 42,00	F. 159,60

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 157)

Noty o wygnaniu

Szczęścia nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie

Adam Mickiewicz

Użytek

Wygnanie, przyjęte jako przeznaczenie, tak jak przyjmujemy nieuleczalną chorobę, powinno nam pomóc w zobaczeniu naszych złudzeń.

Wzór

Był świadom swego zadania i ludzie czekali na jego słowa, ale zakazano mu mówić. Tam gdzie teraz mieszka, może mówić, ale nikt go nie słucha i, co więcej, zapomniał, co miał do powiedzenia.

Komentarz do powyższego

Cenzura może tolerować różne awangardowe figle, bo zajmują one czas pisarzom i czynią z literatury niewinną rozrywkę dla bardzo ograniczonej elity. Ale gdy tylko pisarz okaże zainteresowanie rzeczywistością, cenzura uderza. Jeżeli, w wyniku banicji lub jego własnej decyzji, znajdzie się na wygnaniu, wyrzuca z siebie

Powyższy esej, pt. *Notes on Exile*, napisany przez Czesława Miłosza w języku angielskim, ukazał się w kwartalniku literackim *Books Abroad* (obecnie *World Literature Today*) w numerze Spring 1976. (Autoryzowany przekład Ewy Czarneckiej ukazał się po raz pierwszy w *Nowym Dzienniku* w New Yorku).

długo hamowane uczucia gniewu, swoje obserwacje i refleksje, uważając to za swój obowiązek i posłannictwo. Jednak to, co w jego kraju jest traktowane z powagą, jako sprawa życia i śmierci, nie obchodzi nikogo za granicą lub wywołuje zainteresowanie z przypadkowych powodów. Tak więc pisarz przekonuje się, że nie może zwracać się do tych, którym na tym zależy, natomiast może się zwracać tylko do tych, którym nie zależy na niczym. Stopniowo przyzwyczajają się do społeczeństwa, w którym żyje, a jego wiedza o życiu codziennym w kraju skąd przybył zmienia się z dotykanej w teoretyczną. Jeżeli nadal zajmuje się tymi samymi problemami co przedtem, jego dzieło traci bezpośredniość schwytanego na gorąco doświadczenia. Dlatego musi wybrać: albo skazać się na jałowość, albo przejść całkowitą przemianę.

Nowe oczy

Nowe oczy, nowa myśl, nowy dystans: że tego potrzebuje pisarz na wygnaniu, jest oczywiste, ale czy pokona swoje dawne ja — zależy od zasobów, o których przedtem sam niewiele wiedział.

Jedna z otwierających się możliwości, to zmiana języka. Może to zrobić albo dosłownie, pisząc w języku kraju osiedlenia, albo używać swego rodzimego języka w taki sposób, że to, co pisze będzie zrozumiałe i przyjęte przez nową publiczność. Wtedy jednak przestanie być wygnańcem.

Inny, znacznie trudniejszy wybór polega na zachowaniu swojej postulowanej i wyobrażonej obecności w kraju, z którego pochodzi. Wyobrażonej: bo musi unaocznic sobie historię i literaturę swego kraju jako jeden organizm rozwijający się w czasie i wyznaczyć swojemu dziełu funkcję w tym ruchu, który prowadzi od przeszłości do przyszłości. Zakłada to ciągłe rozrachunki z tradycją w poszukiwaniu żywotnych korzeni oraz krytyczną obserwację dnia dzisiejszego. Pewne gatunki literackie (na przykład powieść realistyczna) i pewne style z samego założenia nie mogą być uprawiane na wygnaniu. Z drugiej strony warunki wygnania, wymuszające na pisarzu rozliczne perspektywy, sprzyjają innym gatunkom i stylom, szczególnie tym, które są związane z symboliczną transpozycją rzeczywistości.

Rozpacz

Rozpacz, nierozłączna z pierwszym etapem wygnania, może

być poddana analizie i wówczas może się okazać, że jej powodem są raczej osobiste niedostatki aniżeli zewnętrzne okoliczności. Istnieją trzy główne przyczyny takiej rozpacz: utrata imienia, obawa przegranej i moralna udręka.

— Pisarz zyskuje imię przez złożoną wymianę z czytelnikami, czy zwraca się do szerokiej publiczności, czy do wąskiego kręgu sympatyków. Kształtuje swój obraz widząc go w oczach tych, którzy reagują na jego dzieła. Kiedy emigruje, obraz ten zostaje nagle zmasany, co czyni go anonimowym składnikiem masy. Przestaje istnieć nawet jako osoba, której zalety i wady były znane jej bliskim. Nikt nie wie, kim jest i jeżeli czyta o sobie w prasie, spostrzega, że dotyczące go dane są groteskowo przeinaczone. Wówczas jego poniżenie jest proporcjonalne do jego dumy i jest to przypuszczalnie sprawiedliwa kara.

— Słusznie boi się przegranej, bo tylko nieliczni posiadają odporność potrzebną, żeby nie ulec niszczącemu działaniu izolacji. Należał do wspólnoty pisarzy oddających się pewnemu rytuałowi, zajętych wzajemnym rozdawaniem pochwał i nagan. A teraz ani wspólnoty, ani rytuału, ani słodkich gier zaspokojonej ambicji. Cierpi więc, bo nabrał kolektywistycznych przyzwyczajęń, co prawdopodobnie oznacza, że nigdy nie nauczył się stać na własnych nogach. Może zwyciężyć, ale nie wcześniej, nim zgodzi się na przegraną.

— Wygnanie jest podejrzanie moralnie, bo zrywa solidarność z grupą, to znaczy odseparowuje jednostkę, która nie może już dzielić doświadczeń z pozostawionymi w kraju kolegami. Moralna udręka odzwierciedla jej przywiązanie do heroicznego obrazu samej siebie i musi ona, krok po kroku, dojść do bolesnego wniosku, że stworzyć moralnie wartościowe dzieło i zarazem zachować niesplamiony obraz swojej osoby jest rzadko możliwe.

Aklimatyzacja

Po latach wygnania człowiek próbuje sobie wyobrazić jak to jest kiedy nie żyje się na wygnaniu.

Przestrzeń

Wyobrażenia, zawsze przestrzenne, wskazują na północ, południe, wschód i zachód od pewnego centralnego, uprzywilejowanego miejsca, którym jest przypuszczalnie wioska naszego dzieciństwa czy nasz powiat. Jak długo pisarz mieszka w swoim kraju, uprzywilejowane miejsce, kuliście się rozszerzając, utoż-

samia się z całym krajem. Wygnanie przesuwą ten ośrodek, a raczej tworzy dwa ośrodki. Wyobraźnia odnosi wszystko do otoczenia „tam, daleko” — w moim przypadku gdzieś na europejskim kontynencie. A nawet dalej wyznacza cztery główne kierunki, jak gdybym ciągle tam stał. Zarazem północ, południe, wschód i zachód są uzależnione od miejsca, w którym piszę te słowa.

Wyobraźnia kierująca się ku odległemu regionowi czyjśgo dzieciństwa jest typowa dla literatury tęsknoty (dystans w przestrzeni często służy jako przebranie dla proustowskiego dystansu w czasie). Chociaż dość rozpowszechniona, literatura tęsknoty jest tylko jednym z wariantów radzenia sobie z oderwaniem od rodzinnego kraju. Nowy punkt, który organizuje przestrzeń w odniesieniu do siebie, nie może zostać wyeliminowany, to znaczy nie można siebie wyabstrahować z fizycznej obecności w określonym miejscu na Ziemi. Dlatego właśnie powstaje dziwne zjawisko: dwa ośrodki i dwie przestrzenie stworzone wokół nich nakładają się na siebie, lub — i to jest szczęśliwe rozwiązanie — zrastają się w jedno.

Cienie na ścianie

Mówi się, że nasza planeta stopniowo ale nieodwołalnie wkracza w erę zjednoczenia, stworzoną przez technikę, higienę i zanik analfabetyzmu. A jednak wolno podtrzymywać i przeciwną opinię, w pełni uzasadnioną, jak o tym można przekonać się na wygnaniu. Pisarz, który mieszka w obcym kraju przynosi wiedzę o geograficznym obszarze, z którego pochodzi — jego historii, ekonomii, polityce etc. Jest on czuły na każdą informację o tym, co tak dobrze zna, czy dostarczoną przez książki, pisma czy telewizję. To prowadzi go do odkrycia, jak powstają nowe podziały między ludźmi.

Sto lat temu zwykli ludzie, nie znający odległych rejonów globu, po prostu umieszczali je w świecie legendy lub przynajmniej egzotyki. Dzisiaj jednak, jak im się zdaje, dano im środki pozwalające objąć równocześnie miejsca i wydarzenia na całej Ziemi. Jednak w zestawieniu z wiedzą przybysza, wiadomości i reportaże o krainie jego pochodzenia okazują się całkowicie mylne. Wielokrotna suma tych zniekształceń wkraczających między przekaz i fakt osiąga astronomiczne proporcje. Przypowieść Platona o jaskini, dotychczas dyskutowana na filozoficznych seminariach, zyskuje również bardziej praktyczne znaczenie. Jak pamiętamy, więźniowie w niej przykuci nie mogą nawet ruszyć szyją i zdolni są tylko widzieć ścianę przed sobą. Na ścianę tę

rzucane są cienie, które biorą za rzeczywistość. Przybysz zastanawia się, czy mógłby przekonać czytelników gazet i odbiorców telewizji, że są w błędzie, ale dochodzi do wniosku, że ani nie mógłby ani nie powinien. Gdyby oszustwo wynikało jedynie z ignorancji albo z uprzedzeń politycznych, los współczesnych mieszkańców jaskini pozwalałby żywić pewne nadzieje. Ale co będzie jeżeli — i tego nie można wykluczyć zawczasu — oszustwo leży w samej naturze mediów — to jest mediacji?

Autoanaliza

Oto szkic przemówienia, które autor piszący na wygnaniu może wygłosić do siebie samego: „Czy jesteś pewien, że twoi koledzy tutaj, którzy poruszają się w świecie znajomym od dzieciństwa, są w lepszej sytuacji? To prawda, że piszą w swoim własnym języku. Ale czy sztuka i literatura odpowiadają temu, czego uczyliśmy się o nich w szkole i na uniwersytecie? Czy nie zmieniły się one tak gwałtownie w ciągu ostatnich dziesięcioleci, że ich nazwy są tylko pustymi skorupami? Czy nie stały się one przypadkiem ćwiczeniami ludzi samotnych, sygnałem wysyłanym przez wydziedziczonych? Jak wielu z tych ludzi dostaje nagrody w postaci miłości i szacunku, w swoim, w rodzinnym mieście, co jest jedynym rodzajem miłości i szacunku, wartym zabiegów? Mają ten sam język co ich publiczność, ale czy widzą na twarzach błysk zrozumienia? Czy ten sam język nie jest więc złudzeniem, tam gdzie niezliczone indywidualne języki wypełniają przestrzeń zagłuszającym szumem? Czy twoi koledzy są czytani i słuchani przez szerszą publiczność czy tylko czytają siebie nawzajem? Czy jesteś pewien, że nawet siebie nawzajem czytają? Ostatecznie, może tak być, że jesteś w lepszej sytuacji: twoje wygnanie ma przynajmniej nazwę.

Zawsze wierzyłeś, że prawdziwym celem pisania jest dotrzeć do wszystkich ludzi i zmienić ich życie. Co jednak, jeżeli taki cel jest nieosiągalny? Czy traci przez to sens? Czy nie uważasz, że każdy z twoich kolegów tutaj pozostał w sercu wierny tak dziecinnemu marzeniu? Ale czy nie byłeś świadkiem ich przegranej?

A jeżeli nie możesz zbawić świata, dlaczego miałbyś się troszczyć o to, czy masz dużą czy małą publiczność?”

Język

Kto mieszka między ludźmi, którzy mówią językiem innym od jego własnego, odkrywa po pewnym czasie, że odczuwa swój

rodzimy język na nowy sposób. Nie jest prawdą, że długi pobyt za granicą prowadzi do zubożenia stylu, choć brakuje ożywczego wpływu codziennej mowy. Natomiast jest prawdą, że odkrywa się nowe aspekty i tonacje rodzimego języka, ponieważ są wyraźniejsze na tle języka używanego w nowym otoczeniu. Tak więc język ubożając w niektórych dziedzinach (idiom ulicy, dialekty), znajduje kompensatę w innych (czystość słownictwa, rytmiczna ekspresyjność, równowaga składni). Rywalizacja między dwoma językami jest niekoniecznie typowa dla literatury pisanej na wygnaniu. Przez kilka wieków literaci w wielu krajach europejskich byli dwujęzyczni, ich własny język słyszany był na tle łaciny i *vice versa*.

Czesław MIŁOŚZ

Z okazji 70-tej rocznicy urodzin CZESŁAWA MIŁOŚZA i dla uczczenia Jego Nagrody Nobla 1980 —

Wydawnictwo Editions du Dialogue w Paryżu postanowiło przygotować specjalne, jubileuszowe, luksusowe wydanie KSIĘGI HIOBA w przekładzie Czesława MIŁOŚZA, z obszernym wprowadzeniem Ks. Józefa Sadzika i samego Tłumacza oraz z dziesięciu wkładkami — rysunkami Jana Lebensteina.

Format duży, albumowy, oprawa twarda, imitacja skóry. Nakład ograniczony, kilkaset egzemplarzy numerowanych.

Termin wydania Księgi: lato 1981.

Cena egzemplarza w subskrypcji: F. 350,00; \$ US 75,00; DM 150,00; £ 35,00.

Subskrypcję można zgłaszać do dnia 30 kwietnia 1981 r. Prosimy podać nam imię, nazwisko, dokładny adres. Wpłacanie należności dopiero po otrzymaniu od nas imiennego listu.

EDITIONS DU DIALOGUE

25, rue Surcouf

75007 Paris, France.

«Matka świętych Polska»

Pod takim to właśnie tytułem wydał w Roku Pańskim 1767 Florian Jaroszewicz pokaźne dzieło, w którym na każdy dzień roku proponował polskiego świętego. A że Kościół podówczas dopiero kilkunastu naszych rodaków wyniósł na ołtarze, więc autor sztukował niedobory upamiętniając co słynniejszych monarchów i wojowników, duchownych świeckich i zakonnych, a nawet matrony, które np. tym swą świętością zmanifestowały, że w czasie uczt dopuszczały do stołu swego ubogie panienki na wydaniu.

Dzieło Jaroszewicza, wznawiane parokrotnie jeszcze nawet w ubiegłym stuleciu, do dziś nie zostało zapomniane, tyle że nieco zmieniło swą funkcję: z jasnego aureolami Polaków drogowskazu przemieniło się w eksponat megalomanii narodowej, o której tak ważne studium napisał jeszcze przed wojną J. St. Bystron.

Florian nie był chyba protoplastą Piotra Jaroszewicza: jako jezuita — miejmy nadzieję — umarł bezpotomnie. Zbieżność nazwisk pozorna, ale zbieżność postaw przypadkowo pozwala na wysnucie pewnych tez ogólniejszych. Piotruś* był współtwórcą „polityki sukcesu” kolejnego niechwalebego kierownictwa PRL. Ale uderzmy się w piersi: my wszyscy chcielibyśmy być równocześnie i świętymi, i autorami sukcesów, najchętniej zresztą wygadanych a nie wypracowanych. „Polska od morza do morza i co drugi dzień święto” — slogan jeszcze z okresu międzywojennego z żartobliwą przesadą ukazujący nasz program na przyszłość, o której najchętniej staramy się nie myśleć. Wydaje mi się jednak,

* Może warto by się zastanowić na socjo-psychologicznym fenomenem owych zdrobnień, vulgo spieszceń zrodzonych w dobie gierkowskiej: „Czarny Piotruś”, „Krwawy Maciuś”, „Towarzysz Edzio”. Za Bierutą się nie spieszczało: Bolesławem był on sam i Piasecki.

że o tej przykłej konieczności (tzn. przyszłości) myśleć trzeba nieustannie. A także *sub specie aeternitatis*. Czyli o polskim katolicyzmie.

Ale czy da się w ogóle poddać globalnej i jednoznacznej ocenie ten niezwykle fenomen? Da się to może uczynić z Kościołem polskim jako instytucją, ale i to nie jest zadaniem łatwym. Wynika to ze sposobu istnienia takiej właśnie instytucji, trwałej poprzez stulecia, a przecież przeobrażającej się nieustannie, w jakiejś mierze równoległe do przemian zachodzących w całym narodzie. Inne instytucje egzystujące na polu samoistnie, narastające na społeczeństwie w formie skóry lub huby, przede wszystkim instytucja państwa, są zazwyczaj z punktu widzenia historii krótkotrwałe. Kościół w pewnym sensie jest wieczny i jest zarazem o wiele silniej zintegrowany ze społeczeństwem (co zresztą gwarantuje ową „wiecznotrwałość”), a przecież egzystuje samoistnie. Inne instytucje mają słabo rozwiniętą umiejętność przeobrażeń, więc okres ich trwania wyznacza czas-sędzia, określający kiedy jakaś struktura zdeaktualizowała się, czyli po prostu przetrwała. Wydarzenia w 1980 roku przekonały, że w Polsce szczególnie, ale nie tylko tu, nieprzeobrażalna struktura leninowsko-stalinowskiego marksizmu stała się przeżytkiem. Że wciąż jeszcze istnieje wynika oczywiście z układu sił politycznych: gwarantem nie tyle „niepodległości” Polski, co dalszej energii egzystencjalnej tej formuły marksizmu jest ZSSR — tam wciąż jeszcze owa struktura jest stopiona, czy wszczepiona w społeczeństwo.

W sytuacji więc Kościoła-institucji jego umiejętność adaptacji wymaga by wszelaki sąd był określony historycznie, albo by przebierał formułę ciągu osądów. A jednocześnie koegzystencja społeczeństwa i Kościoła w naszym kraju jest szczególnie spoista, o wiele bardziej niż we Włoszech (gdzie więcej rutyny), czy Hiszpanii (gdzie więcej indywidualizmu typu mistycznego). Kościół stanowi tak istotną część naszej historii i współczesności, że niepodobna oceniać jego aktywności w pełni, bowiem ten całokształt jest tak obszerny, że aż bez mała nieuchwytny.

Dlatego moje uwagi nie mają charakteru sądów kategorycznych, ale szeregu luźnych spostrzeżeń, które prowadzić mają do refleksji nad dzisiejszą i jutrzejszą rolą Kościoła i katolicyzmu polskiego. Przy czym na samym początku pragnę zwrócić uwagę na każdorazową konieczność wyważenia problemu: w jakim stopniu katolicyzm i reprezentujący go Kościół wpłynęły na los, kształt, charakter, w ogóle na wszelkie właściwości Polaków, a w jakim stopniu ów dziwaczny (i obawiam się od początku niezborny) zespół elementów uformował katolicyzm „na swój obraz i podobieństwo”? Rzecz musiała się komplikować z miarą rozwoju terytorialnego i coraz to większego zróżnicowania naro-

dowo-językowo-religijnego obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ale już na samym początku postawione powyżej pytanie nabiera wyrazistych konturów: czy chrzest Polski sprawił, że odtąd coraz szerzej i głębiej zaczęliśmy się włączać w Europę (niezupełnie jeszcze wówczas rodzinną), czy też ów chrzest wynikał ze zorientowania się na Zachód, na łacinę, na nową wiarę tych, którzy wówczas reprezentowali i państwo, i bardzo jeszcze mało-mówny naród?

Sądzę, że jednoznaczna odpowiedź już w tym momencie historycznym nie jest możliwa, że sprężyły się i uzupełniły wzajemnie dwie co najmniej różne tendencje: i ta, którą reprezentowało dynamicznie rozwijające się, misyjno-apostolskie chrześcijaństwo łacińskie, i ta, którą reprezentowała ówczesna elita władzy, zdecydowana wyjść ku nowemu ze swoich puszczy i swojej prahistorii.



W zasadzie pierwsze wieki polskiego chrześcijaństwa nie rysują się w sposób wyraźnie odrębny; procesy zachodzące w dobie pierwszego apostołstwa, konsolidacji władzy po reakcji poganińskiej, a nawet w okresie rozdrobnienia dzielnicowego znajdują analogie w innych krajach Europy. Widać to wyraźnie po sylwetkach świętych: Wojciech jest typem misjonarza-męczennika i od pierwszego momentu jego relikwie stają się świętością wyniesioną na ołtarze. Św. Stanisław Szczepanowski jest męczennikiem już zupełnie odmiennego typu — typu Tomasza Becketta (na którego życiorysie wyraźnie wzorowany jest życiorys krakowskiego biskupa). Pierwszy był męczennikiem wiary, drugi — już instytucji, która przystąpiła do konsolidowania swej roli politycznej, swego miejsca w strukturze feudalnej.

Potem przyszła kolej na świętych — reprezentantów rodów królewskich, książęcych, czy wreszcie ledwie magnackich (św. Stanisław Kostka), na świętych-patronów narodowych rozlicznych zakonów (charakterystyczne, że dość opornie idące starania o kanonizację św. Jacka Odrowąża doprowadzone zostały do skutku u schyłku XVI wieku przez dominikanina — konwertytę pochodzenia żydowskiego). Tak więc w ciągu stuleci wypełnia się „mapa” świętych polskich — wypełniają się pola dynastyczne, historyczne, monastyczne, znajduje się reprezentant świętości młodzieżowej (oczywiście św. Stanisław Kostka, św. Kazimierz był bardziej Jagiellonem niż młodziankiem), a nawet rzecznik intelektualistów (św. Jan Kanty, poprzedzający go bowiem Mistrz Wincenty był jednak bardziej cystersiem niż kronikarzem).

W tej geografii zastanawia jedna sprawa: ten kraj, który

wiele uczynił dla katolicyzmu światowego dzięki swej waleczności — nie posiada w swym panteonie świętych rycerza, owego *Miles Christianus*, który charakteryzuje wszystkie niemal europejskie narody — od św. Ludwika poczynając, a na węgierskim Ładysławie kończąc. Co prawda, zanim nie dorobiliśmy się własnego świętego prawdziwie narodowego, a nie na poły czeskiego (jak Wojciech), otrzymaliśmy relikwie i patronat św. Floriana. Ale jego kult przyszedł w ciągu wieków, pozostał w jego gestii nadzór nad urządzeniami p-poż. I tak już zostało.

Druga interesująca sprawa, to pojawienie się potrydenckiej fali męczenników, a ich martyria miały bardzo określony wydźwięk ideowo-polityczny: do panteonu wstąpił najpierw męczennik Unii — błóg. Jozefat Kuncewicz, później jezuita Andrzej Bobola. Męczeństwo za wiarę, czy też za jedyną słuszną wiarę staje się, obok świętobliwej adoracji, podstawowym wątkiem polskiej hagiografii. Jest w tym coś zapowiadającego jakby martyrologiczno-mesjanistyczne fascynacje ubiegłego i naszego stulecia. No cóż, w pewnym sensie współczesną kontynuacją tego wątku jest beatyfikacja ojca Maksymiliana Kolbego.

Ale brak tej „Matce świętych Polsce” również prawdziwego świętego chłopca czy robotnika. To dlatego musieliśmy aż z Sewilli importować św. Izydora, by go przybrać w wieśniacze szaty krakowskie czy kujawskie, albo na ludową nutę przestroić praskiego kanonika — Jana z Nepomuk.

Reasumując: owa dotychczasowa polska hagiografia obciążona jest specyficzną ideologią chwilami nieco wątpliwego apostołstwa, ideologią męczeństwa, pełnego oddania służbie Bożej, a ponadto uwarunkowana jest poniekąd stanowo, tak jakby niebiosy otwarte były dotychczas przede wszystkim dla „urodzonych”, a wyjątkowo też dla „uczciwych”.

I jeszcze jeden element: maryjność, owa maryjność tak silnie podkreślana przez Prymasa, przez Papieża i rzeczywiście wyznawana masowo, powszechnie, ku zgrozie i obrzydzeniu przeintelektualizowanych reformatorów religijnych Zachodu.

Te wszystkie składniki psychologiczne katolicyzmu polskiego od średniowiecza po romantyzm (a nawet i dłużej) da się dość prosto wyjaśnić właściwościami psychicznymi ówczesnego społeczeństwa, z wyjątkiem może jednego: braku świętego rycerza przy równoległym i bardzo silnie w tradycji ugruntowanym kulcie narodowych bohaterów. I spojrzenie na tę stronę naszej duchowej przeszłości skłania do przyjęcia tezy, że to pewne własne predyspozycje silniej formowały polski katolicyzm niż na odwrót — katolicyzm urabiał „polskość”.

Ale i tego drugiego elementu nie sposób pominąć. Abstrahując od doraźnych posunięć politycznych papieża, które przy-

niosły nam kilkakrotnie szkody: w dobie kontrowersji z Zakonem, w dobie wojen Batorego, a może nawet — jeśli sam fakt przyjdzie ocenić negatywnie — w dobie odsieczy wiedeńskiej. Na arenie politycznej XVI-XVIII wieku pupilkami papieskimi byli oczywiście Habsburgowie, nie mogło być przecież inaczej, a dla nas nie była to karta najlepsza w grze politycznej. Zresztą, kiedy nieodżałowana skądinąd monarchia austro-węgierska rozpadła się w gruzy, papieństwo kontynuowało dostatecznie długo i uparcie politykę pro-niemiecką, co nie mogło wzbudzać zachwytu wśród Polaków. To naszej maryjności przypisać należy fakt, i sowieckiej okupacji pospołu, że prawowierność katolicka utrzymała się tak spójnie aż do pontyfikatu Jana XXIII. Dziś znak równości Polska — Papieństwo jest czymś tak oczywistym, że przestaje dziwić owo specyficzne „Vivat król, vivat sejm, vivat wszystkie stany” proponowane niemal co dzień przez środki masowego przekazu PRL, ani wigilijny „opłatek” Jana Pawła II w Dzienniku Telewizyjnym. To nawet jeszcze za Gierka nie było możliwe, choć to właśnie Gierek poniekąd do tego doprowadził. Nie z własnej woli, ale z tego swoistego liberalizmu, którym widać zaraził się za młodu we Francji (osobiście jestem w pewnym sensie sympatykiem Gierka: nepotyzm ożeniony z liberalizmem jest niewątpliwie sympatyczniejszy od nepotyzmu zamordystycznego, a brak dostatecznej inteligencji i zmysłu politycznego dyskwalifikuje politycznie, ale nie psychologicznie). W każdym razie te wspólne poświęcania, to oddawanie papieżowi co papieskie, było po prostu niemożliwe przed 1970 rokiem; Bierut przewraca się w swej rosyjskiej trumience, a Gomułka w swej hermetycznej willi!

Wydaje mi się, że obserwując przeszłość widzimy z jednej strony pewne rysy świadczące o tym, że jednak katolicyzm w dość istotnej mierze formował Polaków, a także i to, że sam będąc z kolei formowany przez polskość, przejmował z niej cechy negatywne, dziś w każdym razie — z perspektywy — nie do przyjęcia. Podkreślam: nie da się wydać sądu globalnego — można jedynie wskazać na te wyniki szkodliwe, które zrodziły się z tego wzajemnego urabiania.

Spróbujmy odszukać tu kilka tego rodzaju zjawisk, owych rys, które w naszej historii pojawiły się nie bez istotnego współudziału zarówno Kościoła, jak też w ogólniejszym planie — katolicyzmu. Nie można oskarżać Kościoła i katolicyzmu o to, że współdziałały na rzecz osłabienia władzy. W pewnym sensie tylko, to znaczy w tej mierze, by umocnić w miejsce królewskiej władzy duchowieństwa. Jeden z „mocnych ludzi” schyłku średniowiecza, kardynał Oleśnicki, jest tego dobitnym przykładem.

Ale w okresie potrydenckim obserwujemy charakterystyczną

wolę i to w wykonaniu jezuitów, a więc tych, którzy dla owej epoki „odnowy” Kościoła byli szczególnie charakterystyczni. W pierwszym okresie panowania Zygmunta III stawiają oni na politykę królewską wzmocnienia władzy, wprowadzenia do już nieźle rozkołatanej Rzeczypospolitej choć trochę absolutyzmu w habsburskim czy francuskim stylu. Rokosz Zebrzydowskiego jest jakby momentem punktu zwrotnego: od tego czasu armia Chrystusowa zaczyna gwałtownie popierać obłąkańczą ideologię „złotej wolności”, „stania nierządem” i sama raz po raz sięga po ulubioną broń warcholów: po straszak *absolutum dominium*.

Elastyczność polityczna jest mocną kartą dyplomacji watykańskiej, udoskonaloną w wielowiekowej praktyce niczym bizantyńskim dyplomacji rosyjskiej i sowieckiej. Ale jest pewna granica elastyczności, poza którą zaczyna się nagi oportunizm. Śmiem twierdzić, że kościół polski doby sarmatyzmu uległ temu oportunizmowi w skali bardzo wysokiej. I nic tu nie pomoże stanowisko jednostek. W swej zdecydowanej większości za mało bronił uciśnionych, zanadto kadził możliwym tego świata, nie przeciwstawiał się wewnętrznemu rozkładowi państwa, wręcz przeciwnie, przyłączał się do samochwalczego chóru szlacheckiego. Był to bowiem kościół szlachecki, po renesansie nie pojawiają się w nim niemal zupełnie wybitni przedstawiciele mieszczaństwa, jakimi byli Hozjusz i Kromer, Dantyszek, Kopernik i Reszka, a z zakonów znikają także plebeje — Wujek to jeden z ostatnich wybitnych członków Towarzystwa Jezusowego nie „urodzony”. Ze szlacheckiej ideologii i psychiki kościół polski wziął wiele cech wysoce negatywnych, w czym pomogła mu wypracowana wiekami i odgórnie umiejętność adaptacji.

Cecha szczególnie cenna w przeszłości naszego narodu to słynna polska tolerancja. Kościół polski miał — w ciągu XVI wieku — pewien udział w tym ukierunkowaniu rozjątrzonej reformacją sytuacji wewnętrznej, tak że nie połała się krew i nie zapłonęły stosy. Cokolwiek powiedzieć można o prymasie Uchańskim, w pewnym momencie zwrótnym naszych dziejów spełnił rolę pozytywną: nie zaostrzył napiętej i tak sytuacji.

Ale jednocześnie Kościół stawał się z biegiem lat, szczególnie po zakończeniu soboru trydenckiego, coraz bardziej nietolerancyjny. Zmienia się ton polemik: miejsce argumentów zajmują inwektywy. Wprawdzie Wacław Sobieski udowodnił już dawno, że nosicielem najzjadlejszej nietolerancji był ciemny motłoch miejski (wspierany waleń przez studentów!), ale nie da się zaprzeczyć, że jezuita maczali palce w tumultach a przynajmniej torowali im grunt psychologiczny swym kaznodziejstwem.

Jeden z najpiękniejszych dokumentów naszej przeszłości to niewątpliwie Konfederacja Warszawska, postanowienie z okre-

su pierwszego bezkrólewia, z 1573 roku, stanowiące wieczysty pokój religijny pomiędzy różnymi wyznaniem. Akt ten był szczególnie gorliwie zwalczany przez Hozjusza. Aż po schyłek swych dni sędziwy kardynał uważał go za zbrodnię wobec Kościoła katolickiego i starał się udowodnić jego nielegalność z punktu widzenia prawa. Obecnie po raz któryś z rządu podjęto starania o beatyfikację Stanisława Hozjusza. Był to niewątpliwie mąż światłowy i światły, zrobił w swym długim życiu wiele dobrego, w swych polemikach nigdy nie uciekał się do obelg, był w zasadzie łagodny i z pewnością gorący najautentyczniejszą miłością do Boga. Ale z całą pewnością nie był tolerancyjny i od niego zaczynają się dzieje nietolerancji w Polsce, które trwają — niestety — aż po dzień dzisiejszy. I nie rozgrzeszajmy się tym, że wciąż jesteśmy „państwem bez stosów”, bowiem inna rzecz natychmiastowe *autodafé*, a inna powolne ale stałe gruntowanie pewnych klisz w świadomości społecznej. W tym kraju dziwacznych paradoksów ostatnio chwalcami tolerancji i swobód stali się „PAX-owcy”, którym genealogii nie muszą chyba przypominać. To ich wydawnictwo opublikowało cenną pracę Korolki o teź Konfederacji Warszawskiej („Klejnot swobodnego sumienia”, Warszawa 1974), a ostatnio piękne, bibliofilskie wydanie oryginału i odpisów z ilustracjami i komentarzami. Ale nas nic już nie może zdziwić, nawet generał Moczar wspominający ze łzą w oku „naszych braci Żydów”.

Nietolerancja musiała iść w parze z ksenofobią. I szła. Rzeczpospolita zaskorupiała się w sobie coraz bardziej, w miejsce dawnych potencjalnych sojuszników coraz szczelniej zaczęli ją otaczać wrogowie. Także w sensie psychicznym. Na gruzach otwartości kultury XVI wieku rodziła się szkoła pogardy podszytej strachem. Niemiec był głupi i podły, grubiański i zaborczy. Rosjanin był podstępny, okrutny, mściwy. Część odium przeniosła się na Ukraińców, a nawet na Boga ducha winnych, łagodnych Białorusinów.

Nie będę wyliczał dalej, zresztą pisałem o tym niedawno, a *Kultura* od lat prowadzi aktywną propagandę antyksenofobii narodowej i wielką jej za to chwala.

Chciałem się zatrzymać na jednym tylko, ale niezwykle ważnym aspekcie owej ksenofobii zwróconej do wnętrza: na antysemityzmie. Niestety nie jest prawdą, że antysemityzm wygasł, że nigdy nie był w Polsce silny, że stał się martwą walutą sporów polityczno-ideowych. Antysemityzm — stwierdzam to z całą odpowiedzialnością za słowo — istnieje nadal. To nic, że wymiera wraz z generacją, która jeszcze znała Żydów, jako zjawisko społeczne a nie jako przypadki pojedyncze. Dotychczas wciąż jeszcze jest na tyle silny, na ile silna jest generacja pięćdziesięcio- i

sześcioletków, a więc dostatecznie realny, aby być groźnym.

Zdarzyło mi się ostatnio jechać pociągiem w towarzystwie bardzo gadatliwego, bardzo upolitycznionego i bardzo zarazem typowego w swym intelektualnym spłaszczeniu (jeśli wręcz nie okaleczeniu) pułkownika LWP. Otóż w czasie rozmowy o obecnej sytuacji, co do której wypowiadał się z pozycji „konieczności wzmocnienia władzy”, w sposób nieunikniony wypłynęła sprawa Żydów. Tych, co to wszystko od nas wzięli, a potem wyjechali na Zachód czy do Izraela, by nas szkalować.

Pułkownik, wbrew temu co plótł, robił bardzo sympatyczne wrażenie. Z czułością mówił o swej staruszcze-macie, o swych dzieciach, o psie, opowiadał o swych trudnych wychowankach, bowiem w ramach działalności społecznej zajmował się młodocianymi wykołajkami. Pochodził ze wsi, o ile pamiętam gdzieś spod Gniezna, z bardzo pobożnej rodziny („jak pojedę do Mamy, to muszę ją prowadzić w niedzielę do kościoła, szkoda mówić bym tego nie zrobił”). Klisze wyniesione z porządnego katolickiego domu przypasowały się jak ulał do klisz wtłoczonych do pułkownickiej łepetyny na kursach ideowo-politycznych. I to jest najbardziej przerażające w tym wszystkim.

Te że polscy anty-antysemici, z Władysławem Bartoszewskim na czele, byli i są coraz ściślej związani z katolicyzmem nie zmienia postaci rzeczy. Nie zmienia jej także fakt, że — zwłaszcza po marcu 1968 roku — *Tygodnik Powszechny* stał się przytułkiem niegdysiejszej „żydokomuny”. Katolicyzm polski miał bowiem zawsze znakomitych ludzi w swej elicie intelektualnej, ale ci nie znajdowali najczęściej wspólnego języka z czarnymi dołami polskiego Kościoła. Antysemityzm polski jest przede wszystkim chłopski i drobnomieszczański, a także parafialny. I poprzez stabilność tych warstw i tej instytucji zdołał dokonać rzeczy tyleż karkołomnej co przerażającej — przeżył polskich Żydów!

Nie! To nie ma być paszkwil na Kościół polski, którego jestem świadomym członkiem. To sprawa pewnych psychicznych obciążeń, trwających siłą inercji. Pamiętam ten szok, który przeżyłem jako chłopak jeszcze przed wojną: jedna z pierwszych spowiedzi, dukam pilnie swe podrzędne i nieważne grzeszki, a kiedy dukać przestałem spowiednik zapytał: „To wszystko?” — „Wszystko” — odparłem z nieświadomą skruchą. „A u Żyda nie kupowałeś?” — Błyskawiczna introspekcja ekonomiczna i — „Tak kupowałem cukierki u Feigelsa”. — „I z tego się, smarkaczu, nie spowiadasz?”.

Ale ileż to razy rozmawiałem z podrzędnymi księżmi czy zakonnikami w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci, napotykając

na te same zastarzałe złoża ksenofobii i nietolerancji, identyczne jak u pana pułkownika z pociągu, ugruntowane seminaryjnym czy zakonnym consensem! Piszę o tym z dojmującą przykrością, ale nie znajduję niczego, co mogłoby upoważnić mnie do niepisania. Co mogłoby mnie zwolnić z tego obowiązku. Mnie, dawnego czytelnika *Rycerza Niepokalanej*, który — niestety — też przyczyniał się do gruntowania owych ksenofobijnych złóż.

Jeszcze jedna sprawa wyszła już na jaw przy omawianiu poprzednich. Wspominałem o głębokiej różnicy, dzielącej elitę katolicką od katolickich mas w Polsce. Były okresy, w których owa elita nadawała ton Polakom, ale były i takie, w których poddawała się presji mas. O ile w XVI wieku obserwujemy rozkwit znakomitego pisarstwa, zarówno wyrastającego w kręgu różnowierstwa jak i prawowiernie katolickiego, o tyle im głębiej w wiek XVII i pierwszą połowę XVIII, tym bardziej rozszerza się spłaszczenie intelektualnego katolicyzmu. Polski barok przedkładał sensualizm nad intelekt, starał się oddziaływać na wyobraźnię i uczucia, a nie na systematyzowanie pojęć i rozwiązywanie problemów teoretycznych. Widać to wyraźnie na przykładzie poezji polskiej, tak w przytłaczającej swej większości sensualistycznej, wyobraźniowej, jeśli nie anty- to co najmniej aintelektualnej. Czasem wręcz znakomitej, ale jakże w pewnym sensie ubogiej. Pomiędzy Sępem Szarzyńskim a Norwidem mamy wiele, bardzo wiele poezji religijnej, czasem doskonałej, ale w sumie jakoś niedostatecznej. Nawet wówczas gdy przemawia z głębi cierpienia (a jak wiadomo cierpienie uszlachetnia czasem też intelektualnie), to domyślamy się jego źródeł w czymś w rodzaju kołtuna, którego na starość nabawił się Wespazjan Kochanowski.

Otóż Kościół polski w niektórych okresach wyraźnie, wręcz dobitnie działał na rzecz owego intelektualnego spłaszczenia. Celem stawiał się anonimowy, o ile możliwości pozbawiony mentalnego zróżnicowania tłum wiernych, wierzących ślepo w to, co mu się do wierzenia daje i wypełniających, mniejsza że w sposób nieco rytualno-mechaniczny, pewne nałożone nań zbawienne obowiązki. To ci sami (a przecież wcale w rzeczywistości nie ci sami) jezuiti najpierw zbudowali prawdziwie nowoczesne szkolnictwo, a potem doprowadzili do jego całkowitego upadku. I prawdą jest, że szkolnictwo to zaczął odradzać inny zakon — pijarzy, ale prawdą jest także, że już w okresie międzywojennym przeciętna, wielonakładowa prasa katolicka była autentycznie wsteczna i kołtuńska, choć równocześnie powstawał KUL i znacznie wzrósł przeciętny poziom seminariów duchownych.

Kolejny raz natrafiamy na sprzeczności, które się wcale nie wykluczają, ale nawet jakoś dopełniają. I dlatego na podstawie przytoczonych powyżej trzech zagadnień, w których katolicyzm

polski nagrzeszył w ciągu stuleci niełicho, nie czynię z tego aktu oskarżenia, bowiem równolegle mógłbym przytoczyć takie bloki problemowe, które na rzecz chwały tegoż będą niewątpliwie świadczyć. Nie będę tu owych bloków rozwijał, wspomnę tylko, że polski katolicyzm zawsze, od samego początku, uczył patriotyzmu, najpierw urabiając świadomość narodową, a później wdrażając ją w kolejne sytuacje dziejowe. Że niewątpliwie przyczynił się, przejmując wiele z wrodzonych dyspozycji psychicznych narodu, do pewnej łagodności, umiejętności wybaczenia, a nawet zapominania krzywd. Że zdobył sobie powszechność poprzez swoistą rodzinność i ludowość. Ten katolicyzm towarzyszył naszemu życiu codziennemu, starał się doń zaadaptować, a także dążył do ulepszenia go. Może z pewnym opóźnieniem, ale przełamywał bariery stanowe i „trafiał pod strzechy”. Ale nic nie przychodzi za darmo i za wszystko trzeba jakoś płacić. Wiele grzechów polskiego katolicyzmu pochodziło i pochodzi z jego właściwości pozytywnych i z pozytywnych programów. A dziś, kiedy stanęliśmy — jak karłowaty Herkules — na ideowym skrzyżowaniu dróg naszego świata, ta nasza słaba potęga i wspinała małość, ten nasz katolicyzm codzienny i nasz polski Kościół pod strzechą zrodzony z Kościoła powszechnego, rządzonego przez jednego z nas, staje jako jeden z najpierwszych problemów na przyszłość. Na tę mroczną przyszłość w jasnym błysku nadziei.



Żywiłem niegdyś, w latach stalinizmu, nadzieję, że Kościół polski ulegnie wewnętrznemu oczyszczeniu, że zaostrzy się „dobór naturalny” kleru, że ucisk lub wręcz prześladowania zahartują tę instytucję, której — w latach Drugiej Rzeczypospolitej — może za dobrze, za państwowo, za cesarsko działało się w zakresie współpracy z państwem. I chyba powołania z tamtych lat powojennych były istotnie powołaniami z potrzeby serca a nie z potrzeby prebend. W każdym razie w tej chwili na arenie występują liczni duchowni o „wysokim stopniu zaangażowania” — odpowiednicy, *à rebours*, generacji ZMP. Ale w międzyczasie sytuacja wróciła do normy, Kościołowi nieźle się w PRL-u wiedzie, pod nie tyle opiekuńczymi co bezradnymi skrzydłami PZPR uwił sobie wygodne i dostatnie gniazdko.

Jeszcze jeden z ogromnej wprost listy polskich paradoksów: Kościół, pozbawiony przez Bieruta swych wcale zasobnych dóbr ziemskich, stanął ekonomicznie mocno na nogach. Sprawiała to społeczna hojność: legalnie czy nielegalnie kościoły rosną liczne i okazałe, niemniej okazałe (a czasem i okazalsze) rosną nowe plebanie. Proboszczowie już dawno przesiedli się do Fiatów 125

i Polonezów, „maluchy” pozostawiając wikarym, a „Syrenki” organistom. Nieco trudniejszy jest stan niektórych klasztorów kontemplacyjnych lub zgromadzeń oderwanych od dotychczasowych zajęć (szkolnictwo, szpitalnictwo), ale to tylko — w drugim przypadku — kwestia czasu: tylko patrzeć a powrócą siostrzyczki do szpitali i otworzą się znów podwoje szkół zakonnych (np. urszulańskich) i będzie to doskonałe wypełnienie tych wszystkich dziur, które wytworzyła nieudolność systemu, będzie to skierowanie właściwych energii ku właściwym celom.

Oczywiście ekonomiczny status zawdzięcza Kościół swej monolitycznej sytuacji w społeczeństwie polskim, którą sobie wypracował i na którą w pełni zasłużył, stając się — w najmroczniejszych czasach — jedyną oficjalną instytucją oporu wobec narzucanego narodowi kłamstwa i niewoli. Na tym tle szczególnie monumentalnie rysuje się postać prymasa Wyszyńskiego, który nie szukał i szukać by nigdy nie zechciał schronienia w cudzych ambasadach w okresie najgorszej próby. Kościół zdał wówczas egzamin jako całość, chociaż — bądźmy szczerzy — nie zdało go bardzo wielu pojedynczych jego przedstawicieli. Micewski, a ostatnio także Peter Raina w swej monografii Prymasa, przypomnieli niesławny dokument, jakim był wydany tuż po aresztowaniu Wyszyńskiego, 28 września 1953 roku, komunikat Konferencji Episkopatu. Namnożyło się wówczas księży „patriotów”, i księży „caritasowców”, a od strony świeckiej taran „PAX-u”, przeżywającego wówczas swe „piękne dni”, walił co sił w katolicyzm polski. Upór Polaków, ich katolicyzmu i ich Kościoła był wtedy zdumiewająco silny i spójny. To oni wygrali, pomimo tylokrotnych „dokręceń śruby” po każdorazowym zrywzie protestu. I dlatego swój optymizm opieram na nieodwracalności i niepowtarzalności historii: nie ma powrotu tam, skąd już historia odeszła.

Ale optymizm to nie znaczy ślepa wiara, że wszystko będzie cacy, że Ruscy nie wkroczą, że wszyscy Polacy rzucają się do wytrwałej pracy, że Kościół będzie nadal wypełniał swą zaszczytną apostolską rolę, nie oglądając się na żadne inne względy!

Faktem jest, że ta monolityczność postawy Kościoła w najmroczniejszych okresach historii PRL, konsekwencja w dążeniu i umiejętności zgromadzenia materialnych a przede wszystkim niematerialnych korzyści sprawiły, że dziś stał się on niezbędnym w naszym kraju elementem politycznym, rzecznikiem narodu wobec władzy partyjno-państwowej, siłą z którą musi się liczyć nie tylko Kania, ale i jego moskiewscy mocodawcy.

Tu mały ekskurs na temat Kościoła i polityki. Enuncjacje polityczne starają się zawsze odciąć Kościół czy jego najwyższych przedstawicieli od polityki. Jest to o tyle słuszne, że pozaprzeszłe

dzieje polityki państwa watykańskiego nie przynoszą chluby państwu. Jest to o tyle słuszne, że Kościół nie powinien i nie stara się występować w przetargach dyplomatycznych, w owej grze, która z natury rzeczy jest brudna i wbrew wszelkim ONZ-etom coraz brudniejsza. Ale jest to tylko połowa prawdy, bowiem polityka w rzeczywistości jest pojęciem obejmującym o wiele szersze kręgi spraw niż dyplomacja, armie, wywiady itd. Niesławnej pamięci Józef Wissarionowicz, któremu inteligencji odmówić wszelako nie można, stwierdził kiedyś, że „pokój jest niepodzielny”. Niepodzielna jest również polityka, a polityką jest w gruncie rzeczy wszystko co wykracza poza rodzinę i pomniejsze jednostki społeczne. Polityka jest wszędzie i nie ma od niej ucieczki.

W tym sensie Kościół, poprzez swe oficjalne odcięcie się od polityki, ma w niej swój udział szczególny i w pewnym sensie uprzywilejowany: jest to jedyna instytucja posiadająca naturalne prawo mieszania się w wewnętrzne sprawy obcych państw, ponieważ inaczej być nie może, skoro istnieje w nich jako realna siła społeczna. W tym sensie najbardziej perfidna doktryna Kremła staje się bezbronna. „Internacjonalizm” Kościoła jest faktem i jest zarazem czymś, czego na próżno starał się dopracować marksizm w swym sowieckim wydaniu.

Ale powróćmy do Kościoła polskiego. W jego znakomitym obecnie położeniu zarysowują się pewne zagrożenia, o których chciałbym tu napisać, nie po to, by Kościołowi szkodzić, ale po to by mu pomóc (ta pozornie kretyńska uwaga adresowana jest do czytelników krajowych, którzy niestety w systemie komunistycznym zatracili niejednokrotnie zdolność rozróżniania pomiędzy krytyką, która jest skierowana wyłącznie wstecz, jest rozrachunkiem, zaś na przyszłość tylko „podrzucaniem świni”, a krytyką ukierunkowaną rzeczywiście w przyszłość, starającą się uprzedzić fakty jej zdaniem niekorzystne).

Pierwsze zagrożenie to ewentualność podjęcia możliwości „współrządzenia”, poprzez wytworzenie jakiejś niiby-chadecji. Bowiem w tym kraju paradoksów wcale nie jest paradoksem to, że partia — całkowicie skompromitowana i w znacznym stopniu ubezwłasnowolniona — będzie starać się o takie polityczne partnerstwo. Wzmiankowałem o tym poprzednio, a *Kultura* poświęciła temu problemowi dość wiele uwagi, by rozwijać tu sprawę tego jakiegoś Ozdowskiego, który niiby ma kogoś wobec czegoś reprezentować. Sam Ozdowski to, jak się w PRL powiada — „małe piwo”, społeczeństwo nie znało go dotąd i wcale nie chce poznawać, jego nominacja na wicepremiera przeszła zupełnie bez echa, a nie najzgrabniejsze ustawienie się wobec jego osoby

Kościół jest drobną i niemal niedostrzegalną gafą, z której nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków.

Niemniej sam fakt jest symptomatyczny i dający do myślenia. Nie wątpię, że są w Polsce ludzie (w Episkopacie czy poza nim), którym marzy się jakaś taka i przez PZPR i przez Watykan pobłogosławiona chadecja: partia katolicka, reprezentacja katolików w sejmie. Na ten temat już się wypowiedziałem: uważam tę ideę za najbardziej lekkomyślną; nie może być reprezentacji 90 % narodu w liczbie kilku czy nawet kilkunastu posłów, ale co ważniejsze — nie może jej być na tych ławach doszczętnie skompromitowanej instytucji jaką jest sejm, w sąsiedztwie PAX-owców, ODISS-owców, Neo-ZNAK-owców i tej całej agencjonalnej trzódki klakierów PZPR-u. Kościołowi naprawdę reprezentacja w takiej postaci nie jest potrzebna, ona potrzebna jest tylko partii, mogłaby być jedynie dla niej rękojmią uczciwości wobec społeczeństwa, o co ją przecież trudno — po tylu doświadczeniach — posadzić. Na takiej kombinacji wygrać może tylko jedna strona i tą stroną jest niestety PZPR.

Powtarzam: w Polsce wytworzyła się zupełnie nowa sytuacja ustrojowo-polityczna, nowy i być może brzemienisty w następstwach model, w którym — przy utrzymaniu monopartyjnych rządów — społeczeństwo zyskuje narzędzie kontroli: ruch związkowy. Parlament w ustroju wielopartyjnym spełnia rolę tygła, w którym ścierają się publicznie poglądy i programy, w związku z czym społeczeństwo może się — raz na określony okres czasu — zdecydować na jakiś wariant. W ustroju monopartyjnym takiej możliwości nie ma, ponieważ sejm nie jest reprezentacją społeczeństwa, a jedynie tej jednej jedynej rządzącej partii z jej firmowymi doczekkami (ZSL i SD). Natomiast nowy ruch związkowy może i powinien to społeczeństwo reprezentować, więcej — stworzyć platformę dyskusji i ścierania poglądów. Bowiem z „Solidarnością” jest po trosze jak z Kościołem — teoretycznie nie jest organizacją polityczną i być nią nie może, stąd tylekroć powtarzana oficjalnie apolityczność, ale już niesławnej pamięci Józef Wissarionowicz... itd.

Konsekwencją nawiązania bezpośredniej współpracy z partią, konsekwencją współrządzenia musiałaby być silniejsza niż dotychczas instytucjonalizacja Kościoła. Ta niewymawialna cecha występuje zresztą od zawsze i nasila się w momentach szczególnie politycznie i ekonomicznie korzystnych. A uważam ją za zagrożenie numer dwa.

Już sama struktura organizacyjna Kościoła, jakże podobna do struktury partii (oczywiście nie ma wątpliwości kto tu kogo naśladował), musi prowadzić do kategorii myślenia i działania instytucjonalnego. Każda bowiem formuła tego typu musi pro-

wadzić do autonomizowania się, do wytwarzania pozornie samostnej formy bytowej. Kościół ma oczywiście nad partią tę znakomitą przewagę, że uparcie obserwując celibat nie mógł nigdy swej instytucjonalności podeprzeć potęgą dziedzictwa (ach, gdyby tak komuniści wprowadzili bezżeństwo!). Ale i tak dostatecznie groźne są symptomy instytucjonalizacji Kościoła, by nie mówić o nich w sposób niefrasobliwy (przepraszam więc za poprzednie żarty). Powstaje niezwykle z socjo-psychologicznego punktu widzenia groźny przedział: my — oni, o wiele zresztą silniejszy w kierunku: instytucja — społeczeństwo, niż w kierunku: społeczeństwo — instytucja (co ma miejsce w przypadku instytucji partii *versus* społeczeństwo).

Jakie są podstawowe niebezpieczeństwa instytucjonalizacji? Przede wszystkim zamknięcie się od wewnątrz instytucji, roszczenia w zakresie decyzji, a czasem też i wykonawstwa, zatracenie perspektyw ideowych (przerost ciasnej pragmatyki), przekładanie interesu instytucji nad interes społeczny itd. itd. Jednym słowem to, co stało u podstaw wydarzeń sierpniowych: odcięcie się instytucji od społeczeństwa.

Oczywiście Kościół ma zbyt długą praktykę, by beładnie i gremialnie popadać w instytucjonalizację, tak jak to wykonał PZPR w swych kolejnych mutacjach kierowniczych. Ale niebezpieczeństwo istnieje, wyrażając się poprzez charakterystyczne *besserwisser*'stwo kleru. Proszę zwrócić uwagę na to, jak niewiele świeckich dopuszczanych jest do współuczestnictwa w społecznej działalności Kościoła. Kościół chce być samowystarczalny, ma zaufanie tylko do swych funkcjonariuszy. Na tym gruncie wyrasta owa nieprawdopodobna nieraz pycha duchownych, zwłaszcza wyższych stopni.

Kolejnym zagrożeniem Kościoła jest możliwość jego zoportunizowania się w ramach dostatecznych przywilejów i prerogatyw. Oddawanie cesarzowi co cesarskie otwierało zawsze i zawsze będzie otwierać furtki wygodnej akceptacji istniejącej sytuacji, układu sił, ustroju itd. 35 lat historii PRL to wspaniała karta konsekwentnego obstawania przy zasadach ogólnych, na których podważanie katolików zgodzić się nie może. Niemniej już po objęciu władzy przez Gomułkę, w miarę nasilania się rozdzźwięków między jego ekipą a społeczeństwem, a więc wówczas, gdy postawa Prymasa Wyszyńskiego była, po przywróceniu mu wolności, najbardziej konsekwentna, nieomal twarda, wielokrotnie spotykałem się z głosami podległych mu „dołów instytucjonalnych”, „czarnej kadry”, a więc rozmaitych proboszczów czy katechetów, że tego rodzaju polityka jest niepotrzebna Kościołowi, wręcz szkodliwa. Nie, stanowczo ten znakomity mąż stanu Kościoła Polskiego nie miał za sobą pełnego poparcia kleru, który już — zakosztowawszy

pewnych ulg i ułatwień po październiku — trząsł sutannami, by — nie daj Boże — czego z odzyskanych prerogatyw nie utracić, w wypadku ponownego zaostrzenia się stosunków Kościół — państwo. Tego rodzaju postawa świadczyła o potężnych zasobach potencjalnego oportunistu pośród duchowieństwa, które dotychczas trzymane było na wodzy przez zdecydowaną postawę Episkopatu. I ciekawe, jak zbieżne tu były dążenia PZPR i marzenia „dołów klerikalnych”, by skłócić Prymasa z Kardynałem Wojtyłą. Tym razem znów „góra” wykazała o wiele więcej i zdrowego rozsądku, i zwykłej rzetelności w układzie stosunków wzajemnych, stosunków Kościół — społeczeństwo, stosunków Kościół — państwo. Zupełnie na odwrót niż w partii. Ale sam fakt jest pociesający tylko w ograniczonej mierze.

Muszę na chwilę powrócić do owego fatalnego kazania częstochowskiego, które Prymas wygłosił 26 sierpnia, na kilka dni przed wspaniałym finałem próby sił na Wybrzeżu. Można dziś stwierdzić, że dał się on wówczas zastraszyć, że postawił interes całego narodu nad interesem walczących robotników (co z punktu widzenia etyki jest zasadne), że uległ presji i PZPR, i nie najlepszych może doradców z własnego, ścisłego kręgu zaufanych. Nie, w żadnym wypadku nie dopatrywałbym się tu znamion oportunisty. Był to po prostu błąd polityczny i psychologiczny, bolesny, bo popełniony przez tej miary człowieka, ale nie mogący oczywiście zaćmić roli jego w dziejach kraju, w którym przez wiele dziesięcioleci był mężem stanu jedynym na całym witym pustkowiu, bowiem ani kler, ani strona przeciwna nie potrafiła zaprezentować nikogo, kto choćby do kolan mógł mu sięgnąć w tej mierze. Dopiero pojawienie się Karola Wojtyły zmieniło tę sytuację.

Oportunizm (który w XVII wieku kazał jezuitom zmienić politykę z prokrólewskiej na pro-szlachecką, a tak naprawdę — pro-magnacką) niesie nierozzerwalnie ze sobą związaną groźbę stabilizacji. Nie ma nic gorszego dla jakiegokolwiek ideologii (w tym również religijnej), nic gorszego dla instytucji kierujących społeczeństwem i wreszcie dla samego społeczeństwa, jak zatrzymanie się w dążeniu ku przyszłości. Życie w ogóle, a życie społeczno-polityczne w szczególności, to nieustanny ruch, to dążenie w określonym kierunku (zakładam, że nawet dążenia do pewnych powrotów, a więc tendencje utożsamiane z konserwatyzmem, są też dążeniem o określonym kierunku, a więc wypełniającym rolę antystabilizacyjną), a każde zatrzymanie się w miejscu, to działanie skierowane wbrew czasowi, wbrew ewolucji, która zawsze musi się dokonywać.

Stabilizacja, a już szczególnie „mała stabilizacja” w ramach PRL, jest zjawiskiem niebezpiecznym i bezwzględnie godnym po-

tepienia. Doskonale rozumiem „szarego człowieka” czasem wręcz nieludzko zmęczonego codzienną szarpaniną, codziennym bałaganem, nieustanną niemożnością, tak charakterystyczną dla funkcjonowania ustroju tzw. socjalistycznego, ale ci, którzy społeczeństwem kierują, nie mogą sobie pozwolić na zatrzymanie tego trudnego i bolesnego nieraz pochodu. Obojętne, czy zajmują stanowiska najwyższe czy najniższe w hierarchii swych instytucji, a więc w konkretnym przypadku — czy są purpuratami, czy czarną masą wiejskich proboszczów.

Siostrzycą stabilizacji jest intelektualne spłaszczenie. Zatrzymanie się musi zakładać przede wszystkim zatrzymanie funkcji myślenia. Zaczyna się żyć stereotypami, mówić stereotypami, myśleć stereotypami. Proszę zauważyć jak szczególnie niebezpieczne jest dla Kościoła (w ogóle) takie zestereotypowanie ideowe, zważywszy, że dysponuje on ogromnym zasobem myśli, od Biblii poczynając, a na bezbrzeżnym oceanie teologicznej literatury kończąc. Wystarczy przecież tę ogromną spuściznę SŁOWA zaadaptować na recepty na każdą okazję i dla każdego problemu. Nie trzeba niczego dokładać od siebie, wystarczy erudycja i eklektyczna umiejętność doboru gotowych sformułowań.

Przykład uwiadu scholastyki (nie utożsamiać z tomizmem!), która w naszym kraju odżywać zaczęła najzupełniej sztucznie i mechanicznie na pogrążającym się w inercję umysłową Uniwersytecie Jagiellońskim od schyłku XVI wieku, jest chyba najlepszym przykładem dla uzasadnienia mego zwięzłego wywodu. Stabilizacja jest (a może nawet powinna być) cenną zdobyczą statystycznego Kowalskiego, ale nie społeczeństwa jako całości i nie instytucji, które wyrastając z tego społeczeństwa mają mu służyć, także w wytyczaniu jego drogi zgodnej z upływem czasu i perspektywami uciekającej wiecznie przyszłości.

Do najbliższej rodziny spłaszczenia intelektualnego należy nacjonalizm we wszystkich swych odmianach. Manipulowanie mową przez komunistów (o czym ostatnio wiele pisano, patrz chociażby *Kultura* nry IX i X, 1972, XII, 1979 i XII, 1980) zniechęca do przeciwstawiania sobie par pojęć abstrakcyjnych i niejednokrotnie nie do końca doprecyzowanych, ale w tym konkretnym przypadku niezbędne wydaje się takie właśnie postępowanie: nacjonalizm i patriotyzm — tyleż podobieństw i tyleż przeciwieństw, w sumie zjawiska pomiędzy którymi nie sposób postawić znaku równania. Mnie się zdaje że prawdziwy patriotyzm, nie obciążony naleciałościami nacjonalistycznymi, musi zakładać poprzez miłość własnego narodu i kraju miłość, a przynajmniej zrozumienie i szacunek dla innych narodów i krajów. To nie patrioci rosyjscy wkroczyli do Afganistanu, choć niewątpliwie patrioci rosyjscy bronili się zażarcie przeciwko Napoleonowi i

Hitlerowi. To nie patrioci rosyjscy stoją teraz wokół naszych granic bacząc na najdrobniejsze potknięcie naszego narodu, z którego mogliby zrobić użytek.

Ale także nie są patriotami polskimi ci, którzy ów „patriotyzm” manifestują nienawiścią lub pogardą wobec wszystkiego i wszystkich co nie jest polskie. Tej nienawiści uczą nas skutecznie liderzy partyjni, sprytnie manipulując zastarzającymi urazami. Jeden z najhaniebniejszych okresów w naszej historii; powtarzam: w naszej, a nie tylko w historii PRL, to fala antysemityzmu, która się przewaliła przez nadwiślańską równinę w 1968 roku. Nie próbujmy się z niej rozgrzeszać, zwalając winę na „ideologów” spod znaku Kliszki, Gomułki i Moczara. Stare antypatie wypłynęły wówczas na powierzchnię, jak zdechłe ryby, by szukać zemsty nad niedobitkami z krematoriów i łagrów.

Nie lepiej ma się sprawa z naszymi tak znikomymi, tak politycznie niegroźnymi mniejszościami. Ja rozumiem, że z Ukraincami dialog jest trudny, bowiem zacięli się w swych krzywdach w sposób graniczący z paranoją. Ale tym bardziej winniśmy im wyciągnięcie ręki, gestu, którego nasz Episkopat tak mądrze nie zawahał się dokonać wobec Niemców. Natomiast wrogość wobec Białorusinów na Białostocczyźnie, nie mówiąc już o zupełnie reliktowych grupach Litwinów na Suwalszczyźnie zakrawa na paranoję — tym razem z naszej strony. I tu muszę niestety powiedzieć głośno: tym razem nie wskazuję na potencjalne zagrożenie, ale na fakt już dokonany — Kościół polski różnych szczebli hierarchii, współuczestniczył w kultywowaniu tego rodzaju nacjonalizmów, które przynieść nam mogą tylko szkodę, więcej — hańbę. Mam relacje z nowosądeckiego, z sanockiego, z Lubelszczyzny, relacje całkowicie wiarygodne, które wskazują, że kler, zwłaszcza parafialny, nie robi nic, albo wręcz robi wszystko co możliwe przeciwko integrowaniu się różnonarodowych grup mieszkańców naszego kraju. Prymitywny antyukrainizm, anty-łemkizm, antylitewskość, antybojowiecowski przypomina mi moją, wspomnianą już wyżej spowiedź, ów zwierzęcy, prymitywny wstręt do wszystkiego co nie „nasze”.

A właśnie w chwili obecnej, kiedy losem Kościołów katolickich i grecko-katolickich poza granicami PRL jest sytuacja podobna do wczesnochrześcijańskich misji, pomoc i opieka ze strony naszego Kościoła wydaje się podstawową dla możliwości przyszłego dialogu, do którego — jeśli nie jesteśmy politycznymi szaleńcami — przecież musi kiedyś dojść. Nie, nie nawracajmy ich i nie strójmy fochów, jeśli trzymają się swych wier i obrządków. Ukażmy im wszystkim — skrzywdzonym przez historię może

bardziej niż my sami — ludzką twarz, tę twarz, której nigdy nie będą się mogli doczekać ze strony komunistów.

Kościół ma swoją misję w dziedzinie moralności, w dziedzinie życia duchowego. Nie mnie zajmować się tą problematyką, nawet jeśli osobiście uważam, że w świecie nękanym nieustannie głodem, w świecie na którym coraz nam ciasniej, apele o życie dla nienarodzonych czy wręcz nie poczętych nie są sprawą najważniejszą. Ale nie wyobrażam sobie, aby dało się oddzielić nauki doktryny i wpajania zasad etyki katolickiej od problemów życia społeczeństwa, tego codziennego, trudnego życia, które należy także do sfery polityki.

Starałem się obiektywnie ukazać zagrożenia potencjalne i te, które już zaistniały, aby rola katolicyzmu polskiego pozostała w przyszłości ową rolą-drogowskazem, którą była w dawnej i niedawnej przeszłości. Nie bójmy się i nie wstydzmy tego naszego katolicyzmu, pozostawmy mędrkom biadanie nad tym, że jest on konserwatywny i wiejski. Umiął on wykazać, że konserwatyzm może być w określonych warunkach o wiele bardziej postępowy od sztandarowej postępowości doktrynerów, którzy kryją za nim skrajnie reakcyjny totalitaryzm. I nie obawiamy się owej wiejskości, to znaczy powiązania z tradycją, która jest darem cennym, zwłaszcza w każdej trudnej godzinie jednostki i zbiorowości.

Oddajmy Bogu co boskie, a człowiekowi co ludzkie.

Tymoteusz KLEMPSKI

Aleksander Kamiński, Antoni Wasilewski JÓZEF GRZESIAK „CZARNY”

W serii BIBLIOTEKI SPOTKAŃ ukazała się książka o Józefie Grzesiaku „Czarnym”, wybitnym działaczu harcerskim, założycielu „Czarnej Trzynastki Wileńskiej”. Wywieziony z Wilna po wkroczeniu armii czerwonej (1945), przebywał 10 lat w łagrach na Workucie. Po powrocie do kraju czynnie uczestniczył w popaździernikowej odnowie polskiego harcerstwa.

Cena egzemplarza F. 18,00; £ 1,80; \$ 5,00; DM 10,00
+ F. 4 przesyłka.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy kierować na adres:

Piotr Jegliński
64, Av. Jean-Moulin
75014 Paris

Spotkania
15, Broxholm Road
London SE 27

List z Polski

Gdy jedziesz przez Polskę — pociągami, nie samolotem, z którego nic nie widać — nie zobaczysz ogrodzonych pastwisk, na których pasą się stada krów, wołów, baranów. Ani zagród, w których świnie chrząkają w chlewach, ani warzyw na grzędach i rzędów drzew owocowych. Przy większych miastach zobaczysz trochę szklarni, ale to — mówią tu — badylarze. Jakaś okropna niby-sekta pasożytów, którzy się dorabiają, podobno są i miliony, trudno zrozumieć dlaczego ich jeszcze nie zniszczono — tak, jak uporano się wreszcie z rzemieślnikami. Znałem jeszcze kilku krawców, szewców. Kryje się jeszcze w suterenie dobry introli-gator, lepiej o nim nie pisać, żeby i jego nie zniszczyli, tak jak zniszczyli domiarami fabryczki, przedsiębiorstwa, warsztaty, młyny, cegielnie. Jeżeli taki podejrzany o pracę i produkcję z inicjatywy prywatnej spłaci domiar podatkowy, to mu go podwyższą. Jak nie spłaci, to mu dopiszą karę. Zysk, ta sprężyna ludzkiego działania, został ochrzony mianem owej inicjatywy prywatnej. Te dwa słowa brzmią złowrogo w systemie, w którym owa sprężyna jest grzechem. Bo nie można dopuścić do powstania warstwy kułaków, kapitalistów i wyzyskiwaczy. Badylarzy tolerujemy, żeby jednak gdzieś dostać kapustę, pomidory i kwiaty. Kwiaty, nie tylko na wieńce — tu kwiaty są na każdą okazję, jak kawa.

Chłopi się pobudowali. To prawda. Trudno zrozumieć jakim sposobem. Widocznie za dewizy. Wystarczy popracować za granicą przez kilka miesięcy, czy kilka lat, a zbudujesz dom. Pełno ich, nie tylko na Podhalu. Z państwowych budowli wykombinujesz cegłę, cement, wapno. Na drzewo do okien, drzwi i na wiązanie dachowe też jest sposób. A na wysokich stanowiskach wszystko idzie łatwiej: znajdzie się i materiał i robocizna, przecie buduje się dużo obiektów państwowych, urzędów, fabryk, nawet okazały, pokazowy szpital, kilka zamków, jest wreszcie nie tylko ochrona, ale i odbudowa zabytków, na to nie zdobyły się żaden chciwy na zysk kapitalista.

Gdy wróciłem w 1945 roku do kupy gruzów, którą była Warszawa, zobaczyłem pierwszą stawianą budowę. „Cacko wśród ruin”, powiedział mi wtedy pewien pisarz, literat. Ludzie gnieździ się w tych gruzach, wywożonych jednokonnymi wozami. Co to będzie? Teatr Polski. Wszyscy się tym cieszyli, jak 25 lat potem, gdy Gierek — żeby sobie zjednać społeczeństwo — zarządził wykonanie starej ustawy sejmowej i zezwolił na budowę Zamku Królewskiego ze składek publicznych i darów z zagranicy.

Podobno, gdy w Ameryce zaczyna się budować miasto, to najpierw buduje się bank. Nie wiem czy to prawda, bo tam gdzie byłem, postawiono najpierw u stóp gór uniwersytet. Z pewnością jednak było tam wiadomo z jakich on powstał dotacji. Tu nie można się dowiedzieć jakie są i ile wynoszą te dotacje państwowe. Ile kosztowała opera, odbudowa Starego Miasta, spalonych Łazienek, czy wielkie inwestycje — porty, huty, kombinaty. Próbowaliśmy — ale to było całkiem niemożliwe, nawet wtedy gdy zasiadłem w Radzie Kultury. Powiedziano mi kiedyś: „Pan zawsze zadaje takie dziwne pytania”. A ja naprawdę chciałem się dowiedzieć ile będzie kosztowała budowa opery.

Wszystko było cudem gospodarczym, dowodem żywotności, krzepy — o zagranicznych pożyczkach nie wolno było pisać, a mówiono mało, bo takie sprawy niezbyt nas interesują. Podobnie było z planem Marshalla, gdy zakazano nam (ponoć sam Stalin) przyjąć coś takiego. Tajemnica państwowa. Rozciągała się ona na wszystko co się dzieje, co się robi, co wolno i czego nie wolno. Trzeba się było tego domyślać. W błędzie są ci co myślą, że na wszystko były dokładne instrukcje, w rodzaju „czarnej księgi cenzury”. O takich dokumentach przecie też nie wolno pisać, one są zastrzeżone dla garstki wybrańców, z dopiskiem w rodzaju: „do umiejętnego wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej”. Skoro więc o takich dokumentach nie wolno pisać, to po co o nich mówić?

Dziwny kraj.

Nie taki jednak dziwny, gdy popatrzymy z możliwie bliskiego punktu obserwacyjnego na przestrzenie ciągnące się od Pacyfiku po granice Polski, a teraz po Elbę i druty kolczaste, które dzielą Czechosłowację od Austrii i Niemieckiej Republiki Federalnej. Narody zamieszkujące rosyjskie imperium przywykły do państwowego porządku, w którym władza ma zawsze rację, gdzie jednolitość i potęga państwa strzeżona jest wszystkimi środkami, gdzie siła robocza jest tania a potęga militarna wielka i kontrola obwarowana murem, tamą, uniemożliwiającą przecieki i kontakty. Gdzie wreszcie mnóstwo jest miejsca na obozy pracy, pracy darmowej — można budować kanały, zapory wodne, cokolwiek. Unika się tam nazwy obozów koncentracyjnych. Terminologia językowa, to nie tylko specjalność dyktatur i rządów absolutnych. Każdy dyplomata, nawet każdy człowiek wie, lub powinien wiedzieć, jakich słów z kim używać — język zależy przecie od osoby, czasu i okoliczności. Ale — to tylko dygresja.

Gdy się jakieś narody podbija, to się je uwalnia od ich wła-

dzy i ucisku. Wewnątrz państwa może sobie pisać Dostojewski czy Tołstoj, ale Czaadajewa, który opluwa ten porządek zmusi się do milczenia — to przecie wariat, żeby takie rzeczy pisać. A Sołżenicyna się wywiezie, niech sobie pisze co chce na zastraszonym Zachodzie, tam każdy pisze co chce i to nie ma znaczenia. A u nas Sołżenicyn zostanie zbiegiem, zdrajcą i oszczercą. Tu opłakuje się ludzi którzy to państwo utrzymali i rozszerzyli: Iwan, którego nazywa się tylko „Groźny”, Piotr, Mikołaj — pierwszy, nie drugi — Lenin, który konia puścił, ale zaraz wziął wspinającego się w cugle. Wreszcie Stalin. Stalin zwyciężył, rozszerzył granice, uwolnił pół Europy, stworzył jeszcze więcej wolnych republik — jak nie wierzycie, przeczytajcie konstytucję. One mogą się nawet oderwać, wystąpić z granic Kraju Rad. Wystarczy to przegłosować. Stalin stworzył Demokrację Ludową. One są już całkiem wolne, mają własne rządy, kierownicze partie, wszystko.

W zimową noc, idąc wzdłuż zamrażniętej Newy z wysoko postawionym w hierarchii (społecznej? państwowej? to tu wychodzi na jedno) inteligentem-artystą, obwieszonym orderami członkiem partii, rozmawiałem szczerze. Tak jak to tu, gdy się jest w cztery oczy. Nad zamrażniętą Newą można. Pokazywał mi rząd pałaców i ten, marmurowy, który Katarzyna II przeznaczyła na ostatnie miejsce pobytu Stanisława Augusta. Rozmawialiśmy o historii — o czym rozmawiać szczerze? Szczerść jest ich cechą wrodzoną, tyle tylko, że jest mnóstwo tematów, o których się nie mówi. To całkiem proste. Takimi tematami są przede wszystkim władza i wszystko co władza robi, nakaże, zarządzi, zakaże. Poza tym, dusza na dłoni. Piszę to bez żadnej ironii. To dobrzy ludzie.

Nie potrafię sobie przypomnieć jak doszło do słów, które usłyszałem spod futrzanej czapy: „nas — to najwięcej pomordowali Polak i Gruzini”. Nie zdziwiłem się, ale przystanąłem. Nie potrzebowałem się rozglądać czy ktoś idzie za nami, mój interlokutor musiał dobrze wiedzieć, że nie ma nikogo. Nie podejrzewałem go o prowokację, do głowy mi to nawet nie przyszło. To był dusza-człowiek, miał mi zorganizować odczyt o polskiej muzyce, ale przyszedł zakaz z Moskwy, nie mieli tam tekstu, a ja twierdziłem, że to zaimprovizuję bez kartki. — Polak i Gruzini? Westchnąłem, i popatrzyłem mu w oczy. Nie wiem kto z nas dwóch był w tej chwili większym jagnięciem. „A Hitler?”, zapytałem. Machnął ręką niedbale: „Hitler — (wymawiał „Gitler”) — dużo mniej”.

Więc tak obywatele radzieccy oceniają Dzierżyńskiego i Stalina? Nie uogólniamy, jeden, to nie wszyscy — ale w tym przecie coś jest. I — czemu płaczą, gdy umrze Groźny, Piotr — czemu wystają godzinami na mrozie przed mauzoleum Lenina, z którego nieubliżany Chruszczow wyrzucił swojego poprzednika, cara Stalina?

Nie godzę się z tezą Alain Besançona, że dzisiejszy Związek Republik Rad, to co innego niż Rosja carów. Ten znakomity

pisarz, jeden z bardzo nielicznych Francuzów którzy wiedzą czym jest Rosja, upraszcza twierdząc, że pokolenia żyjące dzisiaj w tym państwie są czymś innym od dawnych. Oni nadal patrzą z góry na resztę świata, w którym panuje tak wielki nieporządek demokratyczny. Nie imponuje im Paryż, Rzym, Londyn, czy dzisiaj Nowy Jork, jak nic nie imponowało posłom Iwana i Piotra. Gdy sam Piotr Wielki przyjechał incognito do Paryża i został przyjęty przez Regenta w Wersalu, pokazano mu z całą pompą i protokołem małego Ludwika XV. Olbrzym-Piotr wziął małego króla na ręce i podniósł go wesoło ze słowami: „*Voilà le petit roi de France*”. Można sobie wyobrazić jak zadrżał i zamarł cały dwór, ale co było robić z carem?

A jak reagowała Głafira Siemionowna na Paryż, gdy pojechała tam z mężem w 1900 roku zobaczyć wystawę powszechną? Opisuje nam to Lejkin w powieści „Nasi zagranicą”, którą w zamierzonych czasach czytałem. Podła dziura, wszystko tam sztuczne i wyliczone. Gdy wracali, padli oboje w objęcia rosyjskiego policjanta na granicy ówczesnego Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Królestwa. Nareszcie swój człowiek!

Gdy pracowałem u *Grossbauera*, u kułaka, we wspaniałej zagrodzie na pograniczu Danii z małym, zabiedzoną i schorowanym rosyjskim chłopczykiem zawleczonym tu gdzieś znad Wołgi — pokazałem mu, stojąc na polu, tę zagrodę, wysokie stodoły, stajnie pełne mlecznych krów i pola, na których pszenica miała kłosa jakich nigdy nie widziałem. Wojska niemieckie były już nad Wołgą, świat od północnej Norwegii po Zatokę Biskajską należał do Trzeciej Rzeszy, o czym Hitler wykrzykiwał w każdym przemówieniu. Mały Iwan spał w chlewie ze świniami i suchotniczo pokaszliwał.

„Widziałeś kiedy takie gospodarstwo?”, zapytałem go.

Iwanek — a zdawało mi się, że on nie przeżyje następnej zimy — odpowiedział mi obojętnym głosem: „Jak to się będzie wszystko paliło, gdy my tu przyjdziemy!”.

Chciałem pisać o Polsce, a piszę o Rosji. Dlaczego? Przecie znamy „Dziady”, „Drogę do Rosji”, „Petersburg” i rozmowę przyjaciół pod pomnikiem Piotra Wielkiego. Moim rozmówcą w Leningradzie nie był Puszkina, czy Rylejew. To był zwykły członek partii, to był zawleczony do roboty garbusek, to była wreszcie prosta dziewczyna, Wiera, która też u tego *Bauera* pracowała. Zawleczona tu spod Kurska odezwała się kiedyś do mnie: „Ty, Zygmunte, jesteś szczęśliwy, ty wrócisz do domu”. — „A ty nie?” — „My nie. Stalin zakazał iść do niewoli, czy tu pracować. Nas zawiozą na Sybir. Nie wolno iść w niewolę”.

Nie wątpię, że Wiera wróciła. I zapewne pojechała na Sybir, do łagru, gdzie wszyscy jeńcy i robotnicy którzy widzieli Niemcy czy Austrię wylądowali. Nie dowiem się nigdy, czy Wiera jeszcze żyje. Ale — może lepiej nawet i teraz — nie pisać jej nazwiska, które pamiętam.

Ona uważała swój — przyszły wtedy — los, i ten ukaz, za coś normalnego. Tak jak mi opowiadała jak o czymś normal-

nym o dwóch wielkich głodach które przeżyła. Bo umierali starsi, chorzy i słabi, a ona była wtedy mała i zdrowa. Jedli ludzi. Jak jedli? Zaraz po śmierci, w pierogach. Nie będę się tu rozpisywał o rozmowach z Wierą. I tak mało kto uwierzy i — w dodatku — zasłużyć na miano oszczercy, choć to wszystko odbywało się normalnie, przy pracy w polu. Naśmiewała się ze mnie, że kiepsko pracuję.

Znowu, zamiast o Polsce, piszę o Rosji.

Mówią mi tu ci, młodszy ode mnie o 40, 50 i 60 lat: „Ty masz program minimalny”. Mówię na to, że ja nie mam żadnego programu. Ja tylko istnieję. To już dużo. Mogę myśleć, pisać, czasami nawet coś mi wydadzą, nawet paszport dadzą. Mieszkam, jem — przynajmniej dotychczas. Nie muszę się ukrywać. Jeżeli już koniecznie chcecie żebym miał program, to powiem: niechże już wreszcie dadzą ludziom pracować i zarabiać. Resztę można uregulować podatkami rozłożonymi rozsądnie. Może to też program minimalny — mówmy o czym innym. Czemu tak trudno mi pisać o Polsce?

Jest listopad. Lada chwila będzie 150-ta rocznica powstania. Jakiego powstania? Listopadowego, rzecz jasna. Wysocki, Szkoła Podchorążych, Wielki Książę już uciekł do brata cara. Jest Książę Adam, Lubecki, Chłopicki. Co starsi pamiętają Sejm Czteroletni i króla niesionego na rękach po uchwaleniu Konstytucji Trzeciego Maja. To ten król, który umarł w pałacu przed którym mój rozmówca powiedział...

O czym tu pisać?

Mieliśmy prawdziwy sejm, ten za Stanisława Augusta. Mieliśmy potem sejm za czasów cara, gdy był królem Polski, choć nie był polskim królem. Mieliśmy, dużo później, przez 20 lat, sejm, gdy budowaliśmy port w Gdyni i Centralny Okręg Przemysłowy. Trudno było wtedy o zagraniczne pożyczki. Przed samą wojną dostaliśmy — o ile dobrze pamiętam — 100 milionów funtów z Anglii. To nie były miliardy i to było w ostatniej chwili.

Teraz mamy od 35 lat sejm niemy, maszynkę do jednogłosnego głosowania. Od kilku miesięcy coś się w tej maszynie zmieniło. Maszynka przemówiła. Zdumienie. Co to? Szlacheckie zachcianki, szlacheckie wolności? Może jeszcze i *liberum veto*?

Mieliśmy swoich poetów, swoje orły. Nawet pisarzy politycznych, i to już w XVI wieku. Napisał o nich mądrą książkę — którą nazwał skromnie podręcznikiem dla studentów — Stanisław Tarnowski. Przedziwna jest lektura tych pisarzy, piszących w momencie, gdy Rzeczpospolita obojga narodów sięgała niemalże od morza do morza. Lekka przesada, ale kraj był rzeczywiście bardzo duży.

Rozprawialiśmy dużo o wolności. Gospodarowaliśmy gorzej, ale głód był rzadkością, chociaż była bieda tam, gdzie ziemia była zła i rozdrobniona. Nikt jednak nie słyszał ani widział tych pierogów, które Wiera jadła na najżyźniejszych ziemiach świata.

W Rosji rozprawiano dużo o reformach. Wierzano, że można wszystko zreformować, nawet ludzi. I że można wszystko załatwić ukazem. Gospodarstwo jest tam tak ogromne, ludzi tyle, i tak się oni nie liczą, że zawsze znajdzie się i broń i wojsko, żeby uwalniać sąsiednie kraje. Można to nawet tak urządzić, żeby oni się sami zarządzili. Za gubernatora dać ambasadora, z odpowiednim „ośrodkiem dyspozycyjnym”. I można zawsze poczekać, niech się we własnym sosie gotują i ugotują wreszcie. W razie czego znajdzie się zawsze ktoś, kto nas poprosi o pomoc. Model Targowicy ma nieskończoną ilość możliwych wariantów. Nie trzeba działać w tak prostacki sposób jak Hitler, ze swoją idiotyczną koncepcją rasy panów i niewolników i z praktyką pieców krematoryjnych. Jak można używać takich słów? Przewodnia rola partii wystarczy. Wyciszyliśmy z wiadomych powodów dyktaturę proletariatu — czy Polacy wzięli ją na serio? Może w to uwierzyli? Bo jak inaczej wytłumaczyć tu, w Rosji, to co się tam teraz dzieje? U nas i najtępsze umysły operują pewnymi wzorami i słownikami — obowiązują to i na szczytach. Czy oni chcą żebyśmy zmienili słownik? Gdy rozmawiamy z jakimś Polakiem z Zachodu i powiemy mu — na przykład — że nas mordował Dzierżyński czy Stalin, to to się jeszcze mieści w tym słowniku. Przecie nie ma w tym nic złego, to nie wyskakuje z naszych wzorów, jak nie wyskakuje Groźny. Ludzi trzeba jakoś trzymać, bez tego jest anarchia. Polski ucisk, to i Bato-remu można było wytłumaczyć, przecie to wszystko jest świętą prawdą, był najeźdźcą, agresorem, wszystko się zgadza. O co im tam zawsze chodzi, w Warszawie? A — jeżeli przewodnia rola partii zbankrutuje, to znajdziemy coś innego. Na razie załatwione mamy jedno: cały świat się nas boi. Już dawno świat się nas boi, ale tak jak teraz, to nigdy się tak nie bał. To mamy z głowy. Świat chce mieć pola pszenicy, stodoły czy silosy, fabryki i zysk. To i dobrze. Ktoś musi nas żywić, przysyłać nam technologię, dawać pożyczki, przecie nie możemy sami utrzymywać wszystkich państw w których komunizm już doszedł do władzy. Nie może wszystko żyć z subwencji i dotacji państwowych, ktoś musi na to pracować. Niech nam dają dalej, drząc, żeby to się u nas nie zaważyło. O prawach człowieka mogą mówić. Pokrzączą i zapomną. Tam się szybko zapomina, to nie tak jak u nas, gdzie cierpliwie i długo wychowuje się człowieka, żeby nie krzychał. Żeby znosił cierpliwie swój los i bronił ojczyzny, to znaczy państwa. Człowiekowi popuścić, to nieszczęście, gorsze od głodu, od więzienia, katorgi i zsyłki. W więzieniu można człowiekowi pomóc, dużo go nauczyć. Nasza koncepcja gospodarcza jest bez sensu, może to nawet i prawda, ale to z pewnością tym gorzej dla sensu. Oni tam na Zachodzie zupełnie tego nie rozumieją. Państwo się trzyma, cały świat się boi, nie tylko naszego państwa, ale i tego, żeby się ono nie rozleciało, bo wtedy będzie jeszcze gorzej. Mamy więc wszystkie gwarancje, na wszystkie strony. De Gaulle mówił coś o azymutach. My nie potrzebujemy azymutów. Wystarczy to, co jest.

Dlaczego Rosja jest taka. a Polska jest inna? A dlaczego na kanadyjskich obszarach powstała Kanada, a na amerykańskich Stany Zjednoczone? Dlaczego w Afryce są państwa afrykańskie, dlaczego są Indie, Chiny, Brazylia? Dlaczego? Może wszędzie jest to, na co sobie kto zarobi? Czy na pewno?

Amerykanie mogą te wszystkie pytania wsadzić do komputera, zaprogramować wszystko i zobaczyć co z tego wyjdzie. Rosjanie mogą wszystko zaplanować odgórnie, bez komputera. Nic z tego nie wychodzi, ale Rosja jest dalej. Nie piszę traktatu ekonomicznego ani „Psychologie der Völker”, jak Wundt. A o Polsce pisać nie potrafię.

Zresztą, wszyscy teraz piszą o Polsce. O przeciwwadze, którą są wobec partii nowe związki zawodowe, wolne, przy kierowniczej roli tej partii. Takie pisanie wydaje mi się jakby ktoś się brał do matematyki zakładając na wstępie równanie, że $4 = 5$. Ja tak pisać nie potrafię. Usiłuję więc brać pod uwagę czynniki irracjonalne, których pełna jest historia, zachowanie tłumów, ludów czy narodów, czy rola pojawiającej się jakiejś niezwykłej jednostki. Jak jednak operować takimi nieokreślonymi danymi? Czy mógł kto przewidzieć, że Papiież z Krakowa będzie próbował zmienić świat — albo, że sprawy cenzury będą omawiane w polskim dzienniku telewizyjnym? A na pastwiskach dalej nie ma krów i skrada się głód, zły doradca. Słyszę na to: „Niech się pan nie martwi. Polacy wszystko przetrzymają”. Czy mam i taką propozycję podać, może do amerykańskiego komputera? Czy to tak szalenie trudne, skomplikowane i groźne dla ustroju i państwa, pozwolić ludziom pracować, zakładać warsztaty, zająć się rolnictwem, przemysłem i handlem, które od początku znanego nam świata prowadziły do dobrobytu, a z upadkiem choćby jednej z tych „gałęzi” kraj biedniał, choćby miał największe bogactwa w ziemi czy na ziemi?

„Będzie to, czego nie można uniknąć”. Ani francuski, ani angielski pisarz nie mógł takiego zdania wymyślić, choć nie wiem, jak ono brzmi po angielsku pod piórem Conrada.

Nie robię tu wypisów z literatury ani z poezji. Wszystko znajdziesz w książkach. W historii też, chociaż ona się nie powtarza. Powtarza się tylko nadzieja i rozpacz. A z tych dwóch, nadzieja jest lepsza.

Zygmunt MYCIELSKI

Warszawa, 27 listopada 1980

Jesień 1980 w Warszawie

Jesienią 1980 roku byłam w Polsce po raz jedenasty od pierwszego powrotu po wojnie, dwadzieścia lat temu.

Nauczyły mnie te przyjazdy przede wszystkim pokory i tolerancji. Pokory, bo mi mówiono, że nic nie rozumiem, co się w Polsce dzieje, że nie jestem w stanie pojąć surrealizmu polskiego i że się wyobcowałam. Oczywiście nie zgadzałam się z tym zupełnie, ale zawsze jakoś się człowiek sam sobie po takiej opinii bardziej podejrzliwie zaczyna przyglądać. Po 20 latach w innym krajobrazie — gdzie ojczyzna jest dla człowieka, a nie człowiek dla ojczyzny, oprócz wyjątków, dla których zarezerwowane są najchwalebniejsze karty w historii kraju — rzeczywiście to rozumienie czasem szło opornie, bo całe abecadło było inne. Zaskoczeniem, na przykład, było dla mnie w 1960 roku odkrycie, że granica podziału w społeczeństwie wcale nie przebiega pomiędzy ludźmi z Partii (przez duże „P”) a ludźmi, którzy do niej nie należą. Jak ta granica biegła, było już jednak trudniej zrozumieć. Tak jak Niemcy nie umieli bezbłędnie i natychmiast rozpoznać Żyda w „czasach pogardy”, tak i ja podziwiałam pewność z jaką po linii podziału poruszali się moi przyjaciele.

Więc to mnie nauczyło pokory, a w końcu doprowadziło do tolerancji, większej chyba niż tolerancja miejscowych. No i to jeszcze, że haniebnie łatwo było być nietolerancyjnym dla innych z paszportem amerykańskim i biletem powrotnym do USA w kieszeni. Gdzieś w zakątkach mózgu bżykała uparcie myśl, że nie mam sposobu dowiedzenia się co ja bym zrobiła, gdybym była na czymś miejscu.

Od tego czasu upłynęło wiele lat i wiele przyjazdów i widocznie mam rozeznania więcej, bo tolerancji nieco mniej. Ale i tak patrzę z pokorą, bo z zewnątrz. Przekopuję się żmudnie

przez setki inicjałów i skrótów, które tam każdy zna, muszę sobie na siłę przypominać daty, którymi tam ochrzczone są na co dzień ulice. Jestem i stąd i stamtąd, myśląc się czasem, co jest „tu”, a co jest „tam”, z trudem nadążając za finezjami dialektycznymi i jedno tylko wiedząc na pewno, że rozpołowionym emigranckim sercem wyczuwam ciągle, po tylu latach, rytm serca kraju.

Jeśli jednak ktoś szuka ekspertyzy politycznej, społecznej, historycznej, czy jakiegokolwiek innej — niech lepiej od razu wróci kilka kartek i przejdzie do tego, co mądrzejsi ode mnie mają do powiedzenia. Bo ja jestem tylko przyjezdną z Ameryki, związaną niemi przeszłości i historii z ludźmi, których widziałam na jesieni 1980 roku w Warszawie — z ludźmi, których kocham. W nieubłaganym nawale zdarzeń chcę tylko na chwilę zatrzymać w czasie to, co tam wtedy widziałam.

Więc jeśli nie o globalityce, to gdzie zacząć ten opis jesieni 1980 w Warszawie?

Chyba od pierwszego telefonu po przyjeździe. Do człowieka, którego uczciwości i rozeznaniu obywatelskiemu nauczyły mnie wierzyć nie miesiące ostatnie, a lata. Wykreśliłam numer nieśmiało. Pora była późna, a on ma na pewno tysiąc spraw na głowie, jeszcze więcej niż zwykle. Na pytanie czy moglibyśmy się zobaczyć, odpowiedziała mi długa chwila ciszy. Spłoszyłam się. Nie może, nie ma czasu, nie chce... Nic dziwnego. Czegóż mu głowę zawracam? Dla ciekawości? Gotowa byłam się już wycofać, kiedy powiedział:

— Wie pani, mam taki wariacki pomysł... Bo tak trudno jest umawiać się na jutro. Zawsze coś może przeszkodzić. A może ja bym zaraz przyjechał do państwa? — I teraz on się spłoszył z kolei. — Ale to może dla państwa za późno?...

Rozmawialiśmy do drugiej rano. Zawirowało w pokoju od wydarzeń ostatnich tygodni, ożyły nagłówki w gazetach, nazwiska nabrały ludzkich kształtów, w komunikatach rozświetliło się życie, kawałki łamigłówki zaczęły się układać w wyraźniejszy obraz.

O tym tylko chcieliśmy słuchać. Wszystkie inne sprawy z jakimi przyjechaliliśmy wydawały się w porównaniu błahe. Ale też o niczym innym nie można było mówić w Warszawie tej jesieni. Kiedy winszowaliśmy znajomemu adwokatowi pomyslnego zakończenia procesu Chojeckiego i Grzesiaka z Niezależnej Oficyny Wydawniczej — spojrzaliśmy na nas w pierwszej chwili, jakby nie bardzo rozumiał o co chodzi. Bo on był już po uszy w statucie „Solidarności”, a wszystko, co działo się przed tym było już jak z innego świata, jakby bardzo oddalone w czasie. Nawet warszawcy *beautiful people*, oblatani po świecie, eleganc-

cy w zagranicznych wdziankach, niezaangażowani, demonstrujący *detachment* — nawet oni mówili głównie o tym.

— Jedyne wolne związki, jakie ja uznaję, proszę pani, to między przedstawicielami płci odmiennych... — powiedział mi wprawdzie pewien młody człowiek. Ale było to chyba jednak albo całkiem nieprawdziwe, albo zupełnie wyjątkowe.

Ci, co nie byli oblatani po świecie, bo nie dostawali zagranicznych paszportów, nie mówili o niczym innym. Pamiętałam ich z poprzednich przyjazdów, kiedy nauczyłam się, że jest coś, co się nazywa „sankcja prokuratorska”, bez której nie wolno milicji zatrzymywać nikogo dłużej niż przez 48 godzin. A nauczyłam się w ten sposób, że ktoś ze znajomych zadzwonił przy mnie do spóźniającego się na spotkanie kolegi i dowiedział się od żony, że nie ma go w domu. Na pytanie kiedy będzie, odpowiedziała: „Za 48 godzin”. Teraz — jesienią 1980 — spotykałam już inną nomenklaturę. Mówiło się, że ktoś miał „2×48” czy „3×48”, a był nawet rekordzista, który miał „5×48”. Odbywało się to różnie. Czasem nawet taki wypuszczony mógł wyjść na ulicę. Czasem tylko z celi na korytarz. I od razu z powrotem. Na ogół traktowani byli dobrze.

— Tak, ale trzeba było zobaczyć Mirka Chojckiego, jak wrócił... Albo jak Janka Lityńskiego aresztowali na ulicy...

Więc nie zawsze.

Wiadomość o każdym aresztowaniu czy rewizji, o każdym zresztą ważniejszym wydarzeniu, zwłaszcza jeśli nie wspomina o nim prasa, obiega Warszawę z niewiarygodną szybkością. Gdyby czasy były po temu, ciekawie byłoby puścić jakąś wiadomość i ze stoperem w rękę czekać kiedy wróci do punktu wyjścia. Ale nie były to czasy na dowcipy socjologiczne, a wiadomości w obiegu był i tak nadmiar — prawdziwych i nieprawdziwych. Z tych nieprawdziwych część jak zawsze była z kategorii „pies do kota rzekł w sekrecie” — jak w tej piosence dziecinnej — a część inspirowana przez takie czy inne zainteresowane ośrodki. Trudno się w tym było rozeznąć, nawet chyba wprowadzonym miejscowym, a co dopiero przybyszowi z Ameryki. Dotąd nie zdecydowałam, czy w tych wagonach (a może ciężarówkach?) jadących na wschód i wyładowanych pono puszkami z farbą, a zatrzymanych przez polskich kolejarzy (a może robotników?), były puszki z szynką czy połcie mięsa (a może worki cukru?).

Samorodne środki masowego przekazu działały jednak bez pudła jeśli w Warszawie działo się coś ciekawego. Chyba z dziesięć telefonów zasygnalizowało, żeby koniecznie pójść do kina. Nie bardzo miałam ochotę, bo była posucha ciekawych filmów, a takich jak „Constans”, co siebie szukają, to ja już raz widziałam, choć na innej szerokości geograficznej, ale okazało się, że

muszę pójść obejrzyć Kronikę Filmową. Potem mogę wyjść. Posłaliśmy więc z Hanią na „Hair” w kinie Moskwa i okazało się, że słusznie. Kronika pokazywała reportaż z Gdańska, z sierpnia 1980, i stary film z wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku. (No i po co ci wtedy, Tadiusz, wybijali zęby za fotografowanie tychże? Tylko był koszt społeczny potem je wstawiać...).

Nie były to zdjęcia — jak na podniebienie amerykańskie — bardzo rewelacyjne, ale speaker oznajmił, że pokazane były po raz pierwszy. Po dziesięciu latach. Widać było czołgi, i żołnierzy w maskach, i trochę biegnących ludzi, i jakiś wypalony budynek — nie zidentyfikowany wprawdzie w komentarzu, ale zapewne wszystkim tam znany. Żadnych trupów, żadnych starców, żadnej krwi. A jednak znajomy siedemnastolatek wrócił podobno z kina zszokowany. Bo on już tego nie pamiętał i nie wyobrażał sobie, że to mogło być możliwe. Przywilej młodości. Im człowiek starszy, tym więcej pamięta. Nawet w Ameryce.

W ogóle ta jakaś jeszcze jedna granica podziału w Polsce przebiega chyba gdzieś koło lat czterdziestu. Ci poniżej tej poręczki wykluczają, na przykład, możliwość zbrojnej ingerencji sowieckiej w Polsce. Ci starsi... pamiętają wiele rzeczy, które kiedyś były wykluczone. Toczą się więc niekończące się debaty i na ten temat także, jak i na wiele innych. Ten monolit dysydencki, ta „opozycja demokratyczna” o jakiej czyta się na Zachodzie, wygląda z bliska nieco mniej monolitowo teraz, kiedy dysydencja się opierała — ale za to prawdziwiej. Zresztą, jak słusznie powiedział Lech Wałęsa na konferencji w Interpressie w końcu września (taśma z nagraniem natychmiast obiegała Warszawę): „Jednomysłności to już my mamy powyżej!”.

Gdyby nie samorodne środki masowego przekazu, nie doceniłabym też chyba wagi tego dnia, gdy po raz pierwszy przez radio nadawana była msza święta. Od soboty już telefony od znajomych sygnalizowały, żeby włączyć radio o dziewiątej, ale muszę przyznać, że nie wydało mi się to specjalnie ekscytującym wydarzeniem. Dopiero kiedy zobaczyłam, że cała Warszawa tej mszy słuchała, że można było iść wzdłuż bloków mieszkaniowych — a piękna była ta niedziela, słoneczna i łaskawa — i nie uronić jednego słowa mszy, bo z każdego otwartego okna słychać było celebranta i respons tłumów... no, dopiero wtedy zrozumiałam. I trudno było mieć suche oczy, gdy po całej Warszawie huknęło „Boże coś Polskę” ze Świętego Krzyża.

Kiedy pod koniec tej pierwszej mszy świętej transmitowanej przez radio celebrant zaintonował: „Módlmy się za pracowników środków masowego przekazu, radia i telewizji...” nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu, bo tak precyzyjne adresowanie intencji w tak niehieratycznym języku wydało mi się dziwne,

choć rozumiałam, że gleba to jest żyzna, którą godzi się uprawiać modłami. Ta inwokacja nie wywołała jednak, jak zauważyłam, żadnego zdziwienia wśród miejscowych. Więc kiedy następnej niedzieli inny celebrant wezwał nas z kolei do modlenia się za pracowników handlu, którym trzeba miłosierdzia i cierpliwości — pomyślałam tylko o kolejkach, o niedoborach, o uciążliwościach dnia codziennego, o zgryźliwości i awanturach, o śmiertelnie zmęczonych ludziach — i szepnęłam zdrowaśkę. Bez uśmiechu.

Bo w kościołach w Polsce w ogóle można się dużo nauczyć. Nawet nie trzeba z nikim rozmawiać, tylko chodzić cichutko od tablicy do tablicy wmurowanej w ściany. W Nowej Hucie, na przykład, napis wyryty na wieczną rzeczy pamiątkę wymienia wszystkich, którzy się przyczynili do zbudowania kościoła, poczynając od Kardynała Wojtyły, miejscowego proboszcza i architekta. Ale najbardziej za serce chwyta w tej litanii nazwisko ostatnie: „Materiały zdobywał — Stanisław Biela”. Niech mi kto powie jak to przetłumaczyć na angielski! A w Warszawie, w kościele św. Antoniego na Senatorskiej, odbywa się nieustające seminarium z historii Polski, wyryte w brązie i kamieniu.

Byliśmy u Świętego Antoniego w deszczowy jesienny dzień, kiedy ożyły tablice wmurowane w ściany krużganków, zapęgały przy nich światełka, rozkwitły naręcze kwiatów, a w kościele celebrowana była msza za poległych żołnierzy AK z 77 pp. Ziemi Nowogródzkiej. W deszczu wszystko wygląda zwykle smutno jakoś i szaro — i ci ludzie siwi już teraz czy łysi, przerażeni latami, o oczach dawniej bystrych, a teraz skrytych za grubymi szklami, i te ich niedgdyjsze pseudonimy, którymi się przerzucali między sobą — rekwizyty przeszłości, dziś czasem śmiesznie buńczuczne czy patetyczne. Ale inaczej to wyglądało na zebraniu w sali parafialnej, po mszy. Pseudonimy przedstawiały się wydawać afekcją czy deską ratunku w klęsce życia. Bo gdy spod zrzuconych płaszczy deszczowych zabłysły Virtuti Militari w kłapach, przeszłość stawała się teraźniejszością nie mniej żywą niż te pęczuszki maluchów, jakie widziałam poprzedniego dnia w Morskim Oku, nanizane na jeden długi sznur i prowadzone przez przedszkolanki na spacer.

Patrząc na nie zastanawiałam się jak się teraz chowa dzieci w Polsce. Nie miałam własnych wzorów w pamięci, bo sama byłam już urodzona w Polsce Niepodległej. Wychowana w cieniu skrwawionego bandaża okalającego fotografię dwóch braci mojej matki, poległych w 1919 roku, w pietyzmie dla „Matek Polek” poprzednich pokoleń, które Wieszczywie wzywali, by wcześniej synom ręce okręcały łańcuchem — patrzyłam na to wszystko jak na godne miłości i podziwu eksponaty muzealne. Ale kiedy

urodziły się moje własne dzieci, już daleko od Polski i od wojny, domieszało się i uczucie zgrozy, że można chcieć i musieć wychowywać dzieci pod takim gniotem.

Przed wyjazdem do Polski oglądaliśmy w telewizji małego Wacława (6 lat? 8 lat?), który oświadczył reporterowi amerykańskiemu, że jego tatuś jest bohater, i że on sam, jak wyrośnie, będzie tak samo postępował jak tatuś. Bardzo się ta historyjka podobała, kiedy ją opowiadałam w Warszawie. Ale dla mnie osobiście straciła nieco ze swego niewinnego wdzięku po wizycie u pewnych młodych przyjaciół, związanych z KOR-em. W trakcie rozmowy przybiegła do ojca śliczna dziewczyneczka, wdzięczna jak pierwiosnek, i wdrapała mu się na kolana, żeby jej zapiął guzik od szelek. Zamilkliśmy z chwilą gdy wbiegła do pokoju, ale widocznie podchwyciła jakieś ostatnie słowo, bo zeszytniała i spytała:

— Tata, czy będzie znowu rewizja?

— Et, co tam... — odpowiedział młody ojciec. — Albo będzie, albo nie będzie. My się tym nie przejmujemy, prawda?

Dziewczynka rozważyła to przez chwilę. Rzeczywiście nie wydawała się specjalnie przestraszona. Ale kiedy spytała potem małym głosikiem: „A czy to będzie zła rewizja, tata?” — to już było trudniejsze do wytrzymania.

— Co się robi z dziećmi? — spytałam bezradnie, kiedy odbiegła do swoich zabaw. — Jak wy sobie z tym dajecie radę?

Wzruszył lekko ramionami. Znowu się spłoszyłam. Może nie powinienam była pytać.

— Wie pani, u dzieci to się chyba jakoś inaczej układa w głowach — powiedział — Babcia Uli opowiadała mi kiedyś, że jak była małą dziewczynką, to jej ojciec do łóżeczka chował czerwony sztandar jak u nich była rewizja. I że ona się wtedy bardzo bała. Ale wie pani czego? Nie rewizji, nie policji, a tego, że wiedziała, że „na nim robotnicza krew”. Tego się bała... tej krwi...

Przypomniała mi się matka, o której mi niedawno opowiedano, tłumacząca rzeczowo synkowi wracającemu z przedszkola do mieszkania, w którym założono kociół:

— To są nasi przyjaciele. A to — panowie z UB.

I jeszcze inna, którą w tramwaju na Placu Dzierżyńskiego zapytał jej pięciolatek, kto to jest ten pan na cokole.

— To morderca — odpowiedziała krótko. Tramwaj oskurpiła cisza.

Obruszyłam się wtedy na to opowiadanie.

— Jak możesz tak kwitować życie Dzierżyńskiego? Z takich symplifikacji wyrastają potem pałkarze! I jak można tak obciążać takie małe dziecko?!

Spojrzała na mnie ze złością. Tak, chyba ze złością, raczej niż ze zdziwieniem.

— Tutaj nie ma miejsca na wasze relatywizmy — powiedziała.

Przypomniało mi się to wszystko w rok później, na drugim końcu świata, bo w Toronto, na światowym zjeździe Polonii. Zaszałam w przerwach obrad do Domu Polskiego, żeby zobaczyć czy dojechała z Chicago wystawa „Fasada i Tyły” (która po Biennale Weneckim i krótkim pobycie w Londynie dotarła z kolei do USA) i czy mogę coś pomóc przy ustawianiu jej. Okazało się, że dojechała. Kręciło się koło niej kilku chłopaków. Po dźwięku ich polszczyzny można było poznać, że są z najnowszej, peerelowskiej fali emigracyjnej. Byli zmęczeni całonocną jazdą z Chicago do Toronto, ale pełni animuszu. Zorganizowali też sobie w szybkim trybie równie miłą żeńską ekipę pomocniczą. Nie miałam więc co się tam pętać. Ale odchodząc posłyszałam jeszcze jedną z dziewczyn, zajętą przy montowaniu wejściowej, „fasadowej” części wystawy, nad którą dominowała fascynująca i okrutna twarz z afisza:

— Popatrz, co oni tutaj piszą o Dzierżyńskim!...

W głosie jej było nieskrywane zdumienie.

— A co ty... nie wiedziałas kto był Dzierżyński? — zadrwił z życzliwą męską wyższością w stosunku do małej kobietki jeden z chłopaków.

— Ja zawsze myślałam, że to wielki Polak i patriota... — powiedziała zmieszana. — Tak nas przecież uczyli.

Więc może niesłusznie się tak zachnęłam na tym przystanku tramwajowym na Placu Dzierżyńskiego. Może tamta matka miała rację. Ktoś musi malować na czerwono ręce „krwawego Felusia” na cokole, żeby ktoś mógł się dowiedzieć w Toronto kim on był. W końcu i tak pewnie, jak wszędzie na świecie, skryty żar, zatajony jak w dobrej wiśniowej kłodzie na kominku, albo wybucha płomieniem, albo wygasa. Łęki matek są tu bezradne.

Na przykład — Jędrak. Za poprzednią bytnością przywiozłam mu jakąś chłopcową zabawkę. Ale między jednym przyjazdem a drugim śmignął w górę jak młody świerczek i wyszliśmy już z dziecinnych „prezentków”.

— Co mu przywieźć? — biedziłam się przed wyjazdem do Polski.

— Najnowszy numer *Kultury*... — poradził mi półżartem tylko ktoś właśnie przybyły z Warszawy.

Bo Jędrak już chodził pewną stopą pomiędzy tymi ludźmi, którzy byli mi tak bliscy, a od których byłam jednak jakoś inna. On był jednym z nich. A ja nie.

Skąd oni to wiedzieli o mnie, nigdy nie udało mi się odgadnąć. Cichociemnych podobno można było poznać po butach, polonijne panie z Ameryki po ogródkach na kapeluszach (choć kto je tam nosi od czasów Jackie Kennedy!), a turystów ze wschodu po kroju ubrań. Po czym mnie rozpoznawano, nie wiem dotąd.

Może miałam pogodny amerykański półśmiesiek przylepiony do twarzy, sygnalizujący światu życzliwość, niezmazany kurzem codziennego zmęczenia, codziennego ujadania się z życiem. Kiedyś tramwaj, którym jechałam na Żoliborz, zatrzymał się w pół drogi i nie wiadomo było czy pojedzie dalej, bo ktoś kogoś miał zmienić, a nie zmieniać. Wszyscy oczywiście psioczyli i lamentowali. Ja siedziałam cichutko, współczując im, ale tak naprawdę to mi było wszystko jedno, dopóki moja sąsiadka, porządnie ubrana pani w średnim wieku, nie zwróciła się do mnie z nieskrywaną irytacją:

— A pani czego taka pogodna? — spytała zaczepnie.

— Może dlatego, że dopiero przedwczoraj tu przyjechałam... — bąknęłam speszona.

— Aha, no to co innego... — mruknęła pojednawczo i już mną się więcej nie interesowała.

Może też brak mi było tej energicznej zaradności miejscowych ludzi, która pozwalała im w końcu jakoś przepchać każdy nowy dzień z jego kolejnymi uciążliwościami. Do autobusu zawsze wsiadałam ostatnia. Miejsca w pociągu nie umiałam sobie zorganizować. Niczego „spod lady” nigdy nie udało mi się kupić. Wijąca się jak wąż boa kolejka po pączki u Bliklego przyprawiała mnie o zawrót głowy. Albo z pijakami...

W 1960 roku, kiedy przyjechałam do Warszawy pierwszy raz po 20 latach, wybiegłam wieczorem na ulicę, żeby „pochodzić”. Nie uszłam daleko, kiedy chwiejny cień na ciemnej ulicy pokłonił mi się szarmancko: „Moje uszanowanie...”. I tak byłam przyzwyczajona po tych latach na innojęzycznych ulicach, że każde polskie słowo musi być do mnie skierowane, że bez zastanowienia odpowiadałam „Dobry wieczór...”. Pijak się zdumiał, ja się roześmiałam, połapawszy się w sytuacji ponieważ się, i rozeszliśmy się w dobrej komitywie.

Teraz było inaczej. Na rogu Rakowieckiej i Puławskiej jakiś wymięty nieszczęśnik, rozkojarzony i mętnooki, przyjrzał mi się nienawistnie.

— Jak cię kopnę, ty kurwo, to się nie pozbierasz! — oznajmił i posunął w moją stronę.

Uskoczyłam za latarnię. Ale nie bardzo wiedziałam co robić dalej. Żadnych wątpliwości co robić nie miała natomiast przechodząca przypadkiem koło nas kobieta.

— Co pan tu będzie rozrabiał?! — zakrzyrzała. — Co pan tu wyprowadzi?!

Pijak się cofnął speszony, a ja skorzystałam z zielonego światła i pomknęłam na drugą stronę ulicy w ślad za moją obrończynią, pełną podziwu dla jej szybkiej orientacji i zaradności.

— Żeby tak milicjanta... — rozglądała się teraz bezskutecznie dokoła. — Jak trzeba, to ich akurat ani na lekarstwo. Zarazy na tych ochlapusów nie ma... — A potem zaraz westchnęła litośnie: — Biedny człowiek! Pewnie miał jakieś ciężkie przejście z kobietą...

— Bo wam zawsze takie jakieś dziwne rzeczy się tu przydarzają jak przyjeździecie, które nam się nigdy nie przydarzają... — dziwił się łagodnie Jurek, kiedy mu opowiadałam o mojej przygodzie.

Może tak. Może on — człowiek stamtąd — wiedziałby bez pudła co myśleć i jak postąpić tamtego dnia, wiele już lat temu, za pierwszym przyjazdem, kiedy na ulicy, która się teraz nazywa Rutkowskiego, tuż koło Nowego Świata, zobaczyłam rudego młodego chłopaka szamocącego się z trzema milicjantami. Chłopak miał obłądny strach w oczach i krzychał rozzłością: „Ludzie! Ratujcie! Zgnoją mnie! Ratujcie! Ludzie!...”. Może by mu się więc to nie zdarzyło i nie musiałby tego pamiętać przez 20 lat, jak ja. Może by też po prostu nie poszedł któregoś Pierwszego Maja pogapić się na pochód, albo w każdym razie nie stanąłby koło trybuny ważniaków zagranicznych przed Pałacem Kultury, więc nie słyszałby, jak ja wtedy słyszałam, orwellowskiej transmisji płynącej z głośników, bogato zakrapianej żywiołowymi okłaskami tłumów, które naokoło mnie stały ciche. Może by też nie przyszło mu nawet do głowy pytać urzędnika MSW o nazwisko; nie miałby więc okazji dziwić się, jak w czasie załatwiania błahiej zresztą sprawy w MSW, kiedy na pytanie czy zechce mi podać swoje nazwisko, żebym wiedziała na kogo się mogę powołać, urzędnik odpowiedział mi krótko i bez uśmiechu: „Raczej nie”. A już na pewno nie poszedłby obejrzeć „Żołnierzy Wolności”, radzieckiej panoramy Drugiej Wojny, sfilmowanej z rozmachem przy udziale wszystkich krajów Paktu Warszawskiego (co pozwalało czeskiemu aktorowi grać Gottwalda, niemieckiemu — Piecka, a polskiemu — Bieruta), więc nie musiałby potem iść pasażem między sklepami Centrum, trzęsąc się z hamowanego płaczu w naiwnej zgrozie człowieka skądinąd, który raptem poczuł się obrabowany do naga z własnej historii.

Takich „niespotkań” z miejscowymi było akurat tyle, żeby mi uświadomić ich inność. A może właściwiej — moją inność. Nie zawsze oczywiście były to rzeczy ważne. Kiedyś, na przykład, jeszcze za życia ojca, poszliśmy razem na jakiś wieczór, gdzie się

cały czas młóciło w dokuczliwie drobiazgowych szczegółach Obrońcę Modlina w 1939. Nie mogłam się powstrzymać od cichutkiego burknięcia, że mi to zupełnie przypomina zebrania kombatanckie w Nowym Jorku. Ojciec spojrzał na mnie z dezaprobatą. „Ty się jednak wyobcowiałaś...”, powiedział głosem zarezerwowanym na co żałośniejsze okoliczności życiowe.

Szóstego października 1980 okazało się znowu, że nie idę w krok z miejscowymi. Tego dnia wyskoczyłam z domu raniutko, żeby spróbować dostać gazetę — jakąkolwiek gazetę, niechby chociaż *Żołnierza Wolności*. Po trzech tygodniach pobytu w Warszawie wiedziałam już, że kupienie gazety nie było sprawą prostą i biada temu, kto wylegiwał się do ósmej.

Już z daleka zaniepokoiło mnie, że nie było ogonka przed maciupkim sklepikiem na rogu. Zwykle nieźle się można było ugadać z sąsiadkami w czasie powolnego posuwania się kolejki. Czasem nawet udawało się dowiedzieć, w którym okolicznym sklepie „rzucili” tego dnia masło. O mięsie się nie mówiło, bo go i tak nigdzie nie „rzucali”.

Najlepiej było trafić wtedy, kiedy pani z kiosku rozkładała gazety dostarczone przez schludnego starszego pana. Bardzo zawzięci liczyli, sprawdzali, kwitowali, potem pani wsuwała wkładki na właściwe miejsce i trwało to długo, ale zawsze wtedy stało się już spokojnie, niepisany miejscowym obyczajem nie wchodzić do środka, ale spoglądając przez szklane drzwi w przyjemnym poczuciu, że tym razem ma się zapewnioną *Trybunę Ludu*, a może nawet *Życie Warszawy*. W tej aurze osiągnięcia dobrze się jakoś wtedy zaczynał dzień.

Ale tego dnia gazet nie było. Pani siedziała jak zwykle, ale za pustą ladą. Pobiegłam więc na Kaliską. Tam za szybą kiosku „Ruchu” inna pani o zmęczonej już od rana twarzy i niebieskich powiekach krzychała ostrym głosem:

— Toż mówię, że nie ma! To może pan *mnie* powie kiedy będą?

— My, emeryci, w Polsce nie rządzą — odcinał się słabo staruszek. — Ile razy trzeba chodzić, żeby dostać gazetę?

Pobiegłam na Plac Narutowicza. Ale i tam za szybą lada była pusta.

Wracałam do domu z kłującym poczuciem pierwszej klęski dnia. Małej klęski, na pewno śmiesznie małej, ale jednak. Po drodze zatrzymałam się w najbliższym sklepie „Społem” po chleb i coś na śniadanie.

Świeżutkie, jeszcze ciepłe bochny przemieszane były z pozostałymi z wczoraj. *Savoir faire* warszawski wymaga, żeby tego

chleba, który nieraz widziałam dostarczany w niezbyt sanitarny sposób, nikt nie ważył się tknąć ręką. Gimnastykowaliśmy się więc wszyscy poprzez kwadracik pakowego papieru — jeśli taki był — albo szturchaliśmy bochenki rączką noża, żeby znaleźć ten najświeższy. Świeży chleb jest dostarczany do sklepów trzy razy dziennie, ale nikt za Boga nie kupi popołudniu chleba z rannego wypieku.

Kupiłam więc chleb — i to wszystko. Sera nie było. Śmietanki nie było. Przed kupowaniem mleka w plastikowych torbach ostrzegli mnie już tubylcy (myślałam, że niesłusznie, dopóki nie przeczytałam w jednym z pism wyników analizy świeżego mleka). Masła też nie było. Tylko „masło roślinne”, w okrągłym kartoniku z palmami nie budzącymi zaufania. Wracałam do domu z pustą siatką.

— Co, nie udało ci się znowu z gazetą? — spytał Jan.

Włączył radio. Szedł dziennik. Poświęcony był w całości obradom VI Plenum KC. Długo wyliczano, kto przemawiał i co mówił. Ani słowa o zwycięstwie kanclerza Schmidta w Niemczech, o bombardowaniu Bagdadu przez samoloty irańskie, o kampanii wyborczej w USA.

Zadzwoniłam do Hani, która zawsze wszystko wiedziała i zawsze umiała powiedzieć czym się różni śmietanka z czerwonym paskiem na folii od tej z niebieskim (jeśli jest), czy można kupować jaja „III kl.” i co to znaczy, na którym straganie za Halą Kopińską są dobre jabłka, co wczoraj mówili na „piątce” (Radio Wolna Europa nazywa się popularnie „Warszawa 5”) i czy warto iść na zebranie w KIK-u.

— Co się dzieje z gazetami?

Hania zastanowiła się chwilę, o co mi chodzi. Potem poradziła rozsądnie, żeby się nie przejmować.

— Przecież oni dopiero skończyli obrady. Gazety nie mogły zdążyć na czas. W żaden sposób.

— Co znaczy nie mogły zdążyć? — zdumiałam się. — To niech dadzą Plenum do popołudniówki. Jak może być milionowe miasto bez gazet?

— Półtoramilionowe — poprawiła mnie Hania.

— Wszystko jedno. Ja chcę wiedzieć, kto wygrał wybory w Niemczech!

— Wiesz, nie przyszło mi to do głowy! — roześmiała się. — To bardzo zabawne, że was to tak denerwuje.

O czwartej po południu Jan stanął wreszcie w kolejce przed kioskiem „Ruchu” na Grójeckiej. Był trzydziesty szósty, a za nim szybko rósł coraz dłuższy ogon amatorów porannego dziennika. Nie wytrzymałam i zaczęłam fotografować.

— Patrzcie, już są korespondenci zagraniczni... — przeleciał szept wzdłuż kolejki.

Z tygodnikami też zresztą nie było łatwiej. Z pism, które mnie interesowały, *Politykę* udało mi się dostać tylko raz. *Kultury* (tej warszawskiej oczywiście i niestety) — ani razu. *Tygodnika Powszechnego* w ogóle nigdy nie widziałam w żadnym kiosku. Bywała *Literatura* i krakowskie *Życie literackie*. Ratowała nas na tej pustyni nieoceniona Hania, do niedawna jeszcze szczęśliwa posiadaczka „teczki” w jednym z kiosków. Instytucja „teczek”, tzn. pism odkładanych dla poszczególnych stałych klientów przez kioskarsza za dopłatą (dochodzącą ponoć do 500 zł miesięcznie od łebka) skończyła się właśnie w czasie naszego pobytu w Polsce ostrym nakazem likwidacji „teczek” pod groźbą dużej grzywny. Temu pewnie zawdzięczałam tę *Politykę*, którą mi się raz udało kupić.

Jesienią 1980 słowo drukowane było w cenie w Warszawie, jak nigdy. Po domach tu i ówdzie widać było sterty nie tylko tygodników, ale i dzienników, zbierane z pietyzmem. Hania też prosiła o zwrot pism po przeczytaniu.

— Po co ci to? — zdziwiłam się.

— Bo, widzisz... oni nigdy już tak pisać nie będą...

Rzeczywiście, czytać było co w Polsce tej jesieni! Namnożyło się „opozycjonistów ostatniej godziny” — jak ich nazwał Kisiel w *Tygodniku Powszechnym* — bez umiaru. I bez przyzwyczajenia. Najpierw wydało mi się to tylko obrzydliwe — ci do niedawna fanfarzyści „propagandy sukcesu”, wczoraj jeszcze ubolewający na tym, co nazywali „przestojami w pracy”, a dziś trąbiący z namaszczeniem o konieczności „odzyskania zaufania społeczeństwa”; ci pseudonimowi w 1976 roku sprawozdawcy z Radomia, sławiący teraz pod własnym nazwiskiem „prawdziwych włodarzy Polski Ludowej”; te poputczyki pozujące po podpisaniu „umowy społecznej” w Gdańsku na bardów demokracji i swobód obywatelskich; te żalosne rejtanka jazgocące na wypródkę, że oni zawsze wskazywali z najgłębszą troską na, mówili że i radzili żeby, a także opowiadali się za; i ta śmiertelna cisza wokół człowieka, wszechobecnego do wczoraj, który przestał być Pierwszym Sekretarzem, ten odpływ nieubłagany i masowy, punktowany dowcipami, że np. wedle ostatnich biuletynów zdrowie Gierka poprawiło się na tyle, że może już siedzieć.

Obrzydzeniu więc trudno było się obronić, mimo rozsądnej, zamorskiej tolerancji. Potem jednak zwyciężyło uczucie przeżycia ciekawości.

Iluż nowych, ciekawych rzeczy można się było nagle dowiedzieć z polskiej prasy tej jesieni! „Odezwać się ani za wcześnie,

ani za późno, to podstawowa umiejętność” — pisał Daniel Pasent w *Polityce*. Po 31 sierpnia nic już niemal nie mogło być „za wcześnie”, a na spóźnianie się mało było amatorów. Drukowane wyjątki z przemówień w Sejmie (którego gmach wedle złośliwej warszawskiej anegdotki dlatego jest okrągły, bo „kto kiedy słyszał o kwadratowym cyrku?”) nigdy by rok temu nie przeszły przez igielne ucho cenzury. *Życie literackie*, które dokładnie dwa lata temu zdyskwalifikowało — „Cmentarze pełne są tych, którzy otworzyli usta za wcześnie albo za późno” — do druku wiersz Ewy Lipskiej pt. „Lodowisko” jako nadto anty, teraz go raptem wydrukowało, bez porozumienia zresztą ze zdumioną tym faktem poetką. *Polityka* ogłosiła dyskusję z udziałem Wajdy, Kieślowskiego, Szpakowskiej i in., przeprowadzoną przed półtora rokiem... bo wówczas gdy była przeprowadzona „nie mogła się ukazać w druku ze względu na dobór dyskutantów, jak i na krytyczny kierunek rozmowy”. (Jeden z dyskutantów wycofał się teraz, uważając, że to, co wtedy mówił „dawno zostało wyprzedzone przez życie i brzmiałoby niewinnie”).

Czytacz wszystkich krajów połączyliśmy się tej jesieni nad szpaltami prasy. Czytaliśmy, nie dławiąc się już nieznośną polską pornografią aluzyjności — prawdziwej czy cynicznie wykonywanej „pod czytelnika”. Czytaliśmy o skasowaniu niesławnej „Jedynki”, radiowej agitki na podludzkim poziomie, i o tym, że *Polityka* ponoć w sprawie jej likwidacji „próbowała kilkakrotnie wypowiedzieć się w druku, niestety, bezskutecznie” (choć tak skutecznie swego czasu wypowiadała się za poprawkami do Konstytucji). Czytaliśmy o ujemnych skutkach „pułapki informacyjnej”, bo „gdy pewne grupy tego społeczeństwa uzyskują wpływ na bieg spraw politycznych i gospodarczych, ich niedoinformowanie staje się... niebezpieczne...”. Nawet w *Stolicy* czytaliśmy o kursach szkoleniowych KC dla dziennikarzy i o instrukcjach dotyczących nie tylko tematów nakazanych i zakazanych, ale także tego jaka gazeta, co i w jakim miejscu ma zamieścić. Czytaliśmy wywiad z nowym szefem Głównego Urzędu Statystycznego, który twierdził, że od wielu lat oficjalne statystyki były fałszowane (co nie wywołało sensacji w Warszawie). Czytaliśmy, że Kisielewski to Tomasz Staliński — i odwrotnie. Czytaliśmy, że Leszka Moczulskiego (aresztowanego w czasie naszej bytności w Warszawie — *déjà vu*, bo już za którąś moją poprzednią bytnością widziałam w *Życiu Warszawy* małą wzmiankę o aresztowaniu Moczulskiego za „nieobyczajny wybryk”) należy atakować w druku, bo „milczenie wokół niego — to tylko zabobonne zaklinanie rzeczywistości, w złudnym przekonaniu, że rzeczywistością jest wyłącznie to, o czym się głośno mówi i pisze”.

Ta prawdziwa rzeczywistość tymczasem wyrzała na nas

z ekranu pewnego pięknego wieczoru pod koniec września, gdyśmy oglądali Dziennik Telewizyjny, a w nim... Marylę Płońska z zespołu *Robotnika Wybrzeża* i rzecznika KOR-u Jacka Kuroń. Zobaczyć takie *nonpersons* na ekranie Telewizji Polskiej — to jednak „jest coś”, jak mawiali niegdyś warszawiacy. Redaktorzy Dziennika nie uważali wcale za konieczne wytłumaczyć szerokim rzeszom, co to jest ten jakiś KOR, ale spreparowanie wywiadu Kurońa ze szwedzkim reporterem było tak grubymi nićmi szyte, że nie zaskoczyła nas jednomyślna nieufność z jaką audycja została przyjęta. Jaskrawszą jednak ilustracją jak całkowicie wyparowało w kraju zaufanie do środków masowego przekazu i jak słusznie bili się w piersi ci, których wynurzenia czytaliśmy teraz *ad nauseam*, była chyba sprawa kazania Kardynała Wyszyńskiego w Częstochowie, kilka dni przed podpisaniem gdańskiego układu; to wystąpienie w chwili maksymalnego, jak się wtedy wydawało, napięcia, nadane niemal *in extenso* przez telewizję, nie wywołało tak negatywnej popularnej reakcji, jak się tego można było spodziewać. Ludzie mówili: „Spreparowali go...” i rozgrzeszali Kardynała łatwo, nie zadając sobie trudu by porównać oba teksty i sprawdzić jak niewiele i nieważnych wierszy było usuniętych w transmisji.

Prawdziwa rzeczywistość wymaszerowała więc nagle za naszej bytności w Warszawie z czarnego cienia, z mgławicy „niemówienia” na pierwsze strony pism. Dla kogoś z innego krajobrazu, po półtorarocznej nieobecności, było to wprost nie do wiary. Dla kogoś kto pamiętał, na przykład, jak w małej kuchence małego mieszkania produkowało się chałupniczo, oprócz kolacyjnej zapiekanki, fotografie na Biennale w Wenecji — widok pierwszej strony *Polityki* z 4 października, z artykułem Adama Krzemińskiego pt. „Między fasadą a tyłami”, był jak huk dział wytoczonych otwarcie, po raz pierwszy chyba, na polemiczny poligon w walce z wydawnictwami ukazującymi się poza cenzurą, których dłużej ignorować nie było sposobu.

Ukazanie się tego artykułu w *Polityce* zbiegło się z „mini-strajkiem” w południe, 3 października. Poszliśmy po Warszawie z miłym młodym wariatem, który jest przekonany, że mu się należy Nagroda Nobla za literaturę i może kiedyś będzie miał rację, daj mu Boże. Chodził tak, jak chodzą wszyscy młodzi ludzie w Warszawie. No, może nie wszyscy. Ale są takie mody — jak długie buty za lat okupacyjnych — które stwarzają wrażenie, że wszyscy. Jest to chodzenie czujne — inaczej to trudno określić. Idzie sobie taki młody człowiek i niby nic, chlebak czy pederastka zwisa mu z ramienia, spieszy dokądś w prądzie tłumy, ale wie się — podskórnie się wie — że każdym nerwem rejestruje najdrobniejszą zmianę w rytmie ulicy, gotów w każdej

chwili podeprzeć się jednym palcem i przeskoczyć na drugą stronę przegodnego murku.

Szliśmy Alejami Jerozolimskimi, ale jeszcze dosyć daleko było do Marszałkowskiej i ja na pewno jeszcze nic nie zauważyłam, kiedy mój towarzysz-sejsmograf powiedział: „Coś się dzieje koło Pekao...”.

Parę minut przedtem wybiło południe — godzina strajku — ale na razie nie było widać żadnych zmian na ulicach. Tramwaje chodziły normalnie, przechodnie spieszyli każdy w swoją stronę. Dopiero kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że na szerokim chodniku wokół „czapki generalskiej” PKO zebrał się tłum i że na postoju przed bankiem, i tuż za rokiem, stoi kilkadziesiąt chyba taksówek, miejskich i prywatnych. Taksówkarze wyszli z aut. Stali małymi grupkami, niewiele co rozmawiając. Nurknęliśmy pod Marszałkowską, do pasażu, i wynurzyliśmy się na przystanku tramwajowym pośrodku arterii, skąd lepiej można było fotografować.

— Niech no pani tego też sfotografuje... — poradził mi jakiś przechodni pan. Widać zaangażowany, bo bardzo nalegał. — Oni ich stamtąd, o, filmują...

Rzeczywiście, w miejscu gdzie żadnemu innemu wozowi nie wolno by było się zatrzymać, tylko „im”, byli „oni” — w cywilnych ubrankach, w nieoznaczonym samochodzie.

Koło taksówkarzy stanął agresywny młody człowiek, przypinając przechodzącym skrawki białej i czerwonej wstążki, odcinane pośpiesznie ze zwoja przez dwie starsze kobiety. Ludzie przyjmowali te wstążeczki, niektórzy z ociąganiem. Ale jakiś starszy pan burknął niechętnie, że nie chce.

— Może pan chce tylko czerwoną, co? — parsknął młody człowiek zjadliwie. Starszy pan zrejterował bez słowa.

Wkrótce zamieniła tamtych trójka nastolatków. Ludzie im byli życzliwsi, ale i na nich rozkrzyczała się jakaś kobieta: „A co wy, gówniarze, myślicie, że tu robicie!...”

Jedyny milicjant w okolicy podszedł bliźniutko, stanął koło chłopców, którzy nie przerwali swego rozdawnictwa, przyglądał się chwilę w milczeniu, powiódł wzrokiem po tłumie i odszedł bez słowa.

Tymczasem ruch uliczny na rondzie osłabł widocznie. Tramwaje wprawdzie chodziły, ale jakby mniej ich było, a autobusy jechały zupełnie puste. Taksówkarze stali w dalszym ciągu przy swoich wozach, ale poniektórzy chyłkiem zerkali na zegarki. Te ostatnie minuty coraz bardziej im ciążyły. Punkt o pierwszej wsiedli każdy do swojej taksówki, rozległ się chór klaksonów — i rozjechali się. Ministralka był skończony.

Sprawozdanie w gazetach następnego dnia było spokojne i rzeczowe; jak w *New York Times*'ie.

Szliśmy więc dalej Alejami w stronę Nowego Świata, kiedy nagle mój towarzysz stanął jak wryty przed barem Praha.

— Rany boskie! — wykrzyknął. — Zaraz dostanę po mordzie!

— Co się stało?

— Nie widzi pani? Złe mi przypięli. Odleciała mi biała wstążeczka.

— Ja za pana poręczę.

— Wiele mi to pomoże, jak zęby będę zbierał... — mruknął.

Ulica była słoneczna i tłoczna. Jak na Pierwszego Maja za mojej ostatniej bytności w Warszawie. Tylko że wtedy ludzie ustawiali się w kolejkach po pomarańcze, „rzucone” na to święto do przenośnych kiosków, a nie po białe-czerwone wstążeczki.

W pobliskiej budce telefonicznej Jan Józef Lipski jedną ręką trzymał słuchawkę, drugą nakręcał numer, a trzecią machał przywitalnie do przechodzących znajomych. Pomyślałam, że może melduje się w domu w myśl obyczaju przestrzeganego ściśle dla oszczędzenia rodzinie niepokoju w razie dłuższej nieobecności. Anegdota warszawska głosi, że kiedy Lipskiego raz aresztowano, milicja zatelefonowała z tą wiadomością do żony dopiero następnego ranka.

— Ach, to panowie... — powiedziała ponoć wtedy z ulgą w głosie pani Lipska. — Chwała Bogu! Już się bałam, że może wpadł pod tramwaj...

Jest to fason („My się tym nie przejmujemy, prawda?”) wielce admiirowany przez tych, którzy uparli się żyć tak, jakby życie naokoło nich było normalne — cudowna mroźkowska aberracja, zmuszająca nawet najobojętniejszych chyba do pochylenia czoła.

— Niestety, proszę pani, zabrali mi „Miazgę” Andrzejewskiego, nim zdążyłem przeczytać — uważał się beznamietnym tonem niemłody już profesor. — Było tutaj takich sześciu panów przez osiem godzin — a może ośmiu panów przez sześć... już nie pamiętam — no, i zabrali. Poszło 200 złotych, a teraz nawet kupić tego nie można.

— Panowie! — tłumaczyła innym dwom funkcjonariuszom organów ścigania „maszynistka *Rzeczpospolitej*”, kiedy jej przewracali wszystkie papiery w jej malutkim mieszkanku. — Czegoż wy ode mnie chcecie? Przecież ja nic takiego znowu nie robię...

— Ale od jak dawna! — mruknął jeden z funkcjonariuszy.

— Właściwie nie wiem ile ludzi było — odpowiedział mi gospodarz lokalu na skargę, że nie mogłam się dostać do przepeł-

nionego mieszkania na wieczór literacki „poza cenzurą”. — Ale mówiono nam, że jak wychodzili, to dwóch facetów w bramie liczyło głośno: „112, 113, 114...”. No, więc musiała być ponad setka.

Fason ten uosabiał najlepiej — choć nie bez kosztów — Mirosław Chojecki, występujący w sądzie na swoim procesie w koszulce z napisem NOW-a i chodzący po Warszawie ze znaczkiem NOW-ej w klapie. Fotografię „Mirka”, wyciętą z zagranicznego pisma, widziałam w jednym z domów na honorowym miejscu, pomiędzy dziećmi i wnukami państwa domu. Ale nie jest to fason wszystkich i nie u wszystkich nawet spotyka się z życzliwym przyjęciem, choć wszystkim chyba imponuje.

Stosunek do KOR-u też wcale nie jest jednomyślnie entuzjastyczny, i to nie tylko przez różnice polityczne, ale także przez barwy ochronne, jakimi obrośli ludzie w Polsce przez ostatnie 35 lat udoskonalania sztuki niewychylania się, pływania i pilnowania swego tylko nosa. Te pancerze zaczęły w oczach pękać po wypadkach gdańskich. Nie wierzę, żeby ci wszyscy dotąd krytyczni, a przynajmniej niezaangażowani ludzie, których teraz widziałam garnących się do „Solidarności” byli tylko oportunistami. Wydaje mi się po prostu, że zelał teraz narzucony im ciężar, dla wielu nie do udźwignięcia, i że mogli nieco rozprostować karki i być bardziej sobą. Nie każdy jest ulepiony na bohatera narodowego.

Ale tych ulepionych z gliny bohaterskiej widziałam jednak jesienią 1980 w Warszawie tyłu, że z najgłębszym wzruszeniem przyjął prezent niezaskuszony — białoczerwoną opaskę MZKS z Gdańska — symbol jeszcze nie Odnowy, ale już Wielkiego Sprzątania.

Marta ERDMAN

Wiersze

Stanisław BARAŃCZAK

19. 12. 79: CZYSTE RĘCE

Palce młodego porucznika Służby Bezpieczeństwa,
który w komisariacie dworcowym wertował,
podnosząc na mnie co chwila pełen wyrzutu wzrok,
wydobyte z moich bagaży rysunki Jana Lebensteina,

nie zostawiły na papierze żadnych śladów.

Dziwne.

Nie żebym się spodziewał plam krwi, smug potu, brudu,
czy choćby tłustych odcisków, które podobno zostawiał

[na książkach

lubiący czytać przy jedzeniu Wielki Nauczyciel Ludzkości:
praca młodego porucznika Służby Bezpieczeństwa
jest czysta,

on sam ma tytuł magistra praw
i nawyki higieny osobistej, wyniesione
z kulturalnej,
inteligenckiej rodziny.

A jednak
byłoby jakoś naturalniej,
gdyby na naszych wierszach, rysunkach, dziennikach i mózgach
pozostawiali, choćby na pamiątkę,
swoją niepowtarzalną (linie papilarne!) ślad
ci najwnikliwsi z odbiorców współczesnej sztuki;

zwłaszcza gdy ocalają ją od zagłady jednym niechętnym zdaniem:
 „No dobra,
 ostatecznie
 możemy panu tego nie konfiskować”.

31.1.80: TRZY SPOJRZENIA PRZEZ RAMIĘ

1

Brnąc przez świeżo spadły śnieg,
 ja
 toruję drogę jemu,

nigdy odwrotnie,

a on mimo to myśli z nienawiścią:
 zagnać by tego nieroba
 do odgarniania śniegu

2

Patrząc na tłum uliczny w zimowe popołudnie,
 pocieszam się, że jeszcze wcale
 nie jest tak źle:

wcale nie jest tak, że co drugi przechodzień
 jest policjantem w cywili,

to tylko stąd się bierze, że po prostu
 co drugi dorosły Polak
 ma taki wygląd

3

Przynajmniej mam tę pewność, że na całej ziemi
 jest chociaż jeden człowiek, który
 w tej chwili
 pamięta o mnie

i gdzie ja pójde, tam pójdzie i on;

co więcej, jeśli z lenistwa albo niedbalstwa
 straci z oczu mnie,
 swojego bliźniego,

czeka go nie tylko potępienie wieczne,
 ale gorzej:
 nagana służbowa

9/10.2.80: CZTERDZIEŚCI OSIEM

W zakratowanym zaduchu, na nieugiętych deskach
 próbuję zasnąć, ogrzewany z lewej
 przez robociarza w kitlu (kradzież narzędzi), z prawej
 przez waluciarza w kożuchu (zakłócenie
 spokoju w stanie wskazującym). Co
 ja mam z nimi wspólnego poza tą wspólną celą
 (trzy na trzy metry), wspólnym celem (przespać
 dwa dni i dwie noce), wspólnym ciepłem i
 może tym, że wszyscy naraz budzimy się, kiedy
 na korytarzu podrywa się nagły
 jak torsje skowyt kogoś kopanego
 w nerki czy w krocze,

i może tym jeszcze,
 że wszyscy długo potem nie możemy zasnąć

11.2.80: O DALSZY POMYŚLNY

O dalszy pomyślny rozbój, tak żeby
 można śmiało walić naprzód (a
 pytać potem) bez potykania się na wybuchowych
 spółgłoskach bruku, żeby nikt
 nie nadązał budować z nich słów, barykad, które
 tamują ruch
 w interesie

żywotnym i właściwie pojętym. żeby to
jakoś szło do przodu, żeby
przez usta nam to przeszło, ten prostolinijny
ryk poparcia, powiadacie: żeby
stoją na przeszkodzie? no to wybić
to sobie z głowy, wyrwać z korzeniami
język, niech nic nie zawadza, niech się
rozwijają pomyślnie, po naszej myśli proporcjonalny proporzec
wycia, o tak, to dopiero będzie
rozwój na równej drodze

Stanisław BARAŃCZAK

W niedługim czasie ukaże się

w BIBLIOTECE „KULTURY”

nowy tom poezji

Stanisława Barańczaka

pod tytułem

TRYPTYK

Z BETONU, ZMĘCZENIA I ŚNIEGU

Kraj

Wokół warszawskiego Zjazdu Literatów

Był to najbardziej tajemniczy ze wszystkich zjazdów literatów: wcześniejszą uchwałą ustępującego prezydium (której sam zjazd, zaabsorbowany czym innym, nie pokwapił się anulować) nie dopuszczono dziennikarzy zagranicznych ani — oprócz PAP-u — krajowych, oko telewizji nawet przez dziurkę od klucza nie zerknęło na salę obrad, a z zamieszczonych w *Trybunie Ludu* i paru innych gazetach jednobrzmiących sprawozdań można się było głównie dowiedzieć, że do Zjazdu przemówił Minister. Takich mówców, jak Maria Janion (przypomniała m.in. o ciosach zadanych społeczeństwu i kulturze przez Marzec 1968 i postulowała powołanie komisji, która zbadałaby ten epizod bliskiej historii), Marek Nowakowski, Andrzej Braun, Jerzy Narbutt, Kazimierz Orłoś, Stanisław Misakowski ze Słupska (nakreślił ponury obraz terroru prowincjonalnych kacyków wobec miejscowej inteligencji), Anna Kamieńska, Erwin Kruk z Olsztyna (mówił o poczynaniach „Polski Ludowej” na terenie Warmii i Mazur i o dramacie tzw. autochtonów), Michał Komar, Jacek Bocheński, Leszek Elektorowicz i inni — w sprawozdaniach tych nie wymieniono nawet z nazwiska. Nie napomknięto o kontrowersji między niezależną większością a zdalnie sterowaną mniejszością, przemilczano ważną dyskusję statutową...

Ten Zjazd najwyraźniej był komuś od początku — i przed początkiem — solą w oku. Widoczne były starania, żeby — skoro nie można w ogóle nie dopuścić do jego odbycia — przynajmniej go odwiec, utrudnić, owinąć w szeleszczące papierzyska dezinformacji. Najpierw rozegrała się batalia o termin Zjazdu. Był on od dawna przewidziany na kwiecień 1981 roku (czyli równo trzy lata po poprzednim, katowickim). We wrześniu 1980 — pod naciskiem członków ZLP, którzy, jak dziennikarze i aktorzy, rozważali zwołanie zjazdu nadzwyczajnego — zarząd główny podjął decyzję przyspieszenia zwyczajnego. Niektórzy reprezentanci partii usiłowali to zrazu zinterpretować w ten sposób, że zamiast

w kwietniu Zjazd ma się odbyć... w marcu. Argumentowano za przeprowadzeniem Zjazdu Literatów po zjeździe partii, kiedy „wszystko będzie wiadomo”. Wcześniejszy zjazd literatów — twierdzono — może wyłonić „nieodpowiedzialny” zarząd, z którym partia „nie będzie mogła rozmawiać”. Wykorzystają to „twardzi” na zjeździe partii i wytworzy się na nim sytuacja niepomysłna dla spraw kultury w ogóle. Argumentacja taka słabo maskowała nadzieję, że w ciągu miesięcy, jakie upłyną, nastąpi pacyfikacja wzburzonego społeczeństwa, a zjazd partii ostatecznie ją przypieczętuje. Wówczas Związek Literatów cofnie się być może przed „rozliczaniem” (brzydkie słowo z gazetowego żargonu) POP przy ZLP z poczyną ostatniego i przedostatniego okresu i nie wierząc zbyt energicznie pozwole założyć sobie po raz któryś wędzidła partyjnej kurateli. W rozumowaniu tym nie chodziło chyba wyłącznie o dogmat „kierowniczej roli partii”, lecz i o prywatne rachuby niektórych osób. Już na wrześniowym zebraniu literatów warszawskich sekretarz POP Andrzej Wasilewski i jego towarzysze usłyszeli przecież kilka słów prawdy. Nie bacząc na przybieranie przez organizację partyjną dumnej pozy „prekursorki odnowy”, wypomniano jej m.in. deklarację, w której odmawiała solidarności z pisarzami prześladowanymi za publikowanie poza zasięgiem cenzury. Wytknięto machinacje, które spowodowały przyjęcie do Związku prawem kaduka takiego Ryszarda Wojny, nieprzyjęcie zaś — Marcina Króla czy Jacka Biereżina. Zajęto się takim *curiosum*, jak komisja interwencyjna przy zarządzie głównym: ciągle ten sam Wasilewski miał w roli jej przewodniczącego zabiegać o przywrócenie ludziom z czarnej listy prawa do wykonywania zawodu, a jednocześnie — jako dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego — skrupulatnie egzekwował zarządzane w gabinecie Łukaszewicza zakazy i ostracyzmy... Bojąc się i nienawidząc środowiska, nie mógł obecnie nie zdawać sobie zarazem sprawy, że jedyną grę ma do rozegrania tutaj — jeżeli straci wpływy w Związku Literatów, zachwiana też zostanie jego pozycja w Komitecie centralnym. Trzymają go tam wszak nie za charakter i talent...

Środowisko ze swej strony doskonale rozumiało, jakie intencje kryją się za odwlekaniem Zjazdu. To, do czego wzdychała strona przeciwna — rozmyślenie odnowy i „wzięcie za pysk” społeczeństwa w ciągu nadchodzących miesięcy — było (i niesety nadal pozostaje — piszę to na przełomie stycznia i lutego 1981) groźbą całkiem realną. Gdyby więc zjazd literatów miał się toczyć w cieniu usztywniającego sytuację w kraju zjazdu partii — a w ogóle gdyby miał się odbyć raczej później niż wcześniej — perspektywy jego mogłyby wyglądać niezbyt wesoło. Wszyscy pamiętali, jakie mechanizmy nacisku, szantażu, fałszu, obstrukcji, osaczenia potrafiło wprowadzić w ruch na poprzednich zjazdach, za Łukaszewicza i jego poprzedników. Toteż środowisko energicznie dążyło do rzeczywistego przyspieszenia zjazdu.

Bezpartyjni członkowie prezydium na kolejnym posiedzeniu wysunęli termin listopadowy — i po dyskusji został on uchwa-

lony, ale był to, jak się okazało, kolejny manewr. Uchwała prezydium miała zostać zatwierdzona przez szersze ciało, tzw. plenum zarządu głównego, co zwykle traktowano jako formalność. Tym razem poinstruowana przez swoich wodzów partyjna większość obaliła uchwałę. Skąd się wzięła w zarządzie partyjna większość? To jedna ze sztuczek, godnych odnotowania. Przez wiele lat zarząd główny ZLP był normalnie wybierany na kolejnych zjazdach. W roku 1969 na zjeździe bydgoskim (pomarcowym, w którym uczestniczyło niewielu liczących się reprezentantów środowiska, innych bowiem odsunięto albo sami zbojkotowali dwuznaczną imprezę) wprowadzono do statutu „demokratyczne” poprawki. Na mocy jednej z nich do Zarządu Głównego, oprócz członków wybranych na Zjeździe, mieli odtąd wchodzić z urzędu prezesi oddziałów terenowych. Oddziały te rozmnożono (w wielu wypadkach zgoła bezpodstawnie) do liczby siedemnastu — a prezesi są z reguły partyjni i, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, kompletnie uzależnieni od władz miejscowych. Tak tedy na kolejnych zjazdach — w Łodzi, Poznaniu i Katowicach — wybierano 24-osobowy zarząd główny, o przewadze pisarzy niezależnych, a potem jak *deus ex machina* wyskakowali prezesi: Wawrzak z Łodzi, Chruszczewski z Poznania, Worcell z Wrocławia, Kuriata z Koszalina, Szewczyk z Katowic, Domino z Rzeszowa, Twerdochlib z Gdańska, Pachlowski ze Szczecina, Górec-Rosiński z Bydgoszczy — i głosami ich partia mogła przeforsować co jej się żywnie podobało. Tak też stało się i tym razem — dyrygowana przez I sekretarza POP (który, choć nie członek zarządu, na zasadzie dziwnej „tradycji” uczestniczył w jego posiedzeniach) maszynka do głosowania wyznaczyła termin Zjazdu na 28-29 grudnia. Przeciwnie wcześniejszej głosowali nawet ci partyjni członkowie prezydium, którzy na poprzednim zebraniu poparli termin listopadowy. Z dyscypliny partyjnej wyłamała się bodaj trójka prezesów: Żółkiewska (Warszawa), Misakowski (Słupsk) i Pająk (Lublin). Na odmianę bezpartyjny wiceprezes ZG Janusz Krasiniński zdecydował się tym razem na oddanie głosu za partią.

Przegłosowana data wydawałaby się absurdalna: pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, musiała ona niejednemu delegatowi rozbić plany świątecznego wypoczynku, nie mówiąc już o kłopotach z dojazdem. Wahano się przed posądzeniem pomysłodawców o złośliwą chęć utrudnienia Zjazdu i skłonienia przynajmniej niektórych uczestników do rezygnacji. Ale — wybiegnijmy nieco naprzód — małostkowych utrudnień pojawiło się potem więcej. Na zjazd wyznaczono pomieszczenie Związku Nauczycielstwa Polskiego, w którym nie udostępniono delegatom nawet stołówki, tylko liche bufet, zamykany o piątej po południu, podczas gdy obrady ciągnęły się do późnego wieczora, a w drugim dniu — prawie do rana (bo na trzeci dzień lokal był już zajęty, nie można więc było Zjazdu przedłużyć). Może jednak i w tym nie było złośliwości, tylko brak zainteresowania ze strony ludzi, którzy z tytułu piastowanych jeszcze funkcji

zjazd warszawski organizowali, jednakże — nie wybrani na delegatów — już w nim nie uczestniczyli.

Kombinacja z terminem Zjazdu nie wyszła w końcu jej inicjatorom na zdrowie. Środowisko nie lubi być manipulowane, irytuje się też na widok zdyscyplinowanych działań grupowych, ewidentnie sterowanych z zewnątrz. Jeśli ktoś nie uprzedza, to sobie tego przedtem, to po głosowaniu na plenum ZG musiał pojąć, że przewaga osób dyspozycyjnych we władzach jest dla związku po prostu niebezpieczna. Świadomość tego niebezpieczeństwa dała o sobie znać w wyborach delegatów na Zjazd. Nie żeby skreślano wszystkich partyjnych — środowisko literackie nie jest zacietrzewione — ale głosowano na nich nader powściągliwie. W wyborach warszawskich na ogólną liczbę 79 delegatów wybrano zaledwie siedmiu czy ośmiu członków PZPR, głównie takich, którzy reprezentowali pewną rangę literacką, jak Kuśniewicz i Nowak, albo demonstrowali w ostatnim okresie pewną samodzielność, jak Bratkowski. Podobnie — jeśli chodzi o proporcje — wyglądały wyniki walnych zebrań w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu. Korzystniej dla partii — w Łodzi, Katowicach i mniejszych oddziałach związku. W sumie wyłoniono taki skład delegatów, że już kilka tygodni przed zjazdem stało się oczywiste: tym razem partia nie będzie w stanie zjazdowi niczego narzucić, niezależni literaci będą mogli wybrać władze Związku wedle swego uznania, dysponują też kwalifikowaną większością głosów do przeprowadzenia poprawek statutowych, w tej liczbie — do przywrócenia w pełni obieralności zarządu głównego.

Działacze POP, którym nie w smak była taka sytuacja, pomstowali na zakulisowe działania tajemnych sił (powtórzył to z trybuny zjazdu Andrzej Wasilewski, mówiąc o „nacisku politycznych grup nieformalnych”, czyniących ze związku „narzędzie ukrytej dominacji”). Partia bardzo lubi być na każdym terenie jedyną zorganizowaną strukturą, mającą do czynienia ze zdeintegrowanym tłumem. Nawet pozostając w mniejszości, może wtedy wyzyskać dla swoich celów jego rozproszenie, czasem wręcz skłócenie. Ale nauka, jakiej partia przez tyle lat udzielała kolegom spoza swoich szeregów, nie poszła w las. Koledzy zorientowali się w końcu, że przeciwstawić się jednolitej, zdyscyplinowanej organizacji mogą jedynie gdy utworzą nie organizację wprawdzie, ale jakieś porozumienie, przemyślane skupienie sił wokół sprawy do załatwienia. Wydaje się, że powstałe w Warszawie, Krakowie i gdzie indziej grupy inicjatywne zapobiegły rozproszeniu głosów w wyborach. Ale przecież — w przeciwnym razie do partii — nikogo nie mogły one zmusić do głosowania tak lub inaczej. Jeżeli ich usłuchano, to dlatego, że solidaryzowano się z tym, co proponowały. Nie proponowały zaś nic innego, prócz zapewnienia Zjazdowi warunków do swobodnych, nie podległych żadnym naciskom obrad. Na dalszą metę chodziło o powołanie odpowiadających ogółowi władz związku i o pozbawiony pułapek statut.

Mimo pomstowań, partia zdawała sobie sprawę z reprezentatywności „grup nieformalnych” dla szerszej opinii związkowej. Niedługo przed zjazdem spróbowała z nimi pertraktacji, ale nawet wówczas nie potrafiła się pozbyć złych przyzwyczajęń. Wbrew poczuciu rzeczywistości Andrzej Wasilewski wystąpił „z pozycji siły” i w tonie ultimatywnym wysunął cztery żądania: 1) zagwarantowanie partii 25 % miejsc w przyszłym zarządzie, 2) przedstawienie partii do akceptacji kandydatów na pozostałe miejsca, 3) zrezygnowanie z poprawki do statutu, likwidującej automatyczny udział w ZG prezesów terenowych, 4) złożenie deklaracji (sędzia Kościelniak się śkłania) w imieniu przyszłego zarządu, że będzie „stał na gruncie konstytucji”, przyjmując do związku wyłącznie autorów książek „mieszczących się w ramach przyszłej ustawy o cenzurze”. Ultimatum spokojnie odrzucono, a Wasilewski złożył nazajutrz raport w KC, że w Związku Literatów zwycięża wróg i porozumienie jest niemożliwe. Prawdopodobnie wtedy przyjęto koncepcję odpowiedniego potraktowania zjazdu. Rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie: na miasto runęła fala plotek, że na zjeździe będzie „gorąco”, że dojdzie do prowokacji politycznych, a w rezultacie — do zawieszenia działalności Związku i utworzenia nowego na modłę czeską, w innym zaś wariancie — do rozbitcia Związku i powołania konkurencyjnego wobec ZLP stowarzyszenia pod przewodnictwem partii i w oparciu o obrażone na Warszawę (za prezesów) ośrodki terenowe.

Wbrew tym prognozom — przebieg zjazdu był na ogół spokojny. Przemówienia — poważne i pełne treści. Poczynając od powitania przez Seweryna Jaworskiego, wyżarzacza z huty „Warszawa” i wiceprzewodniczącego NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, aż do zamknięcia zjazdu przez Jana Józefa Szczepańskiego, po prostu rozmyślano na głos o społeczeństwie, o Polsce, o najnowszej historii, o koniecznościach i możliwościach literatury, o krzywdach, które trzeba naprawić, o strukturze związku, o demokracji. (Mowy te — decyzję nowego zarządu — będą wydane w jednym tomie, którego zredagowania podjął się Paweł Hertz). Poprawki do statutu — włącznie z tą najważniejszą — uchwalono przytłaczającą większością głosów. Jeżeli zdarzyło się coś, co można było poczytać za próbę prowokacji, to wyszło to ze strony partyjnej. Epizod, o który chodzi, związany był z wyborami nowych władz związku.

Powołana przez zjazd komisja-matka (przewodniczył jej Wiktor Woroszyński) postanowiła — inaczej niż na poprzednich zjazdach — wpisać na listę wszystkich kandydatów, zgłoszonych przez poszczególnych członków komisji bądź przez innych delegatów i zgadzających się kandydować. Tak powstała lista obejmująca prawie 50 osób, z której trzeba było wybrać w tajnym głosowaniu 32 członków zarządu (a z odrębnych list — prezesa ZLP, komisję rewizyjną i główny sąd koleżeński). Większość zjazdowa miała, oczywiście, swoje wyobrażenie o tym, komu z listy będzie specjalnie sprzyjała. Wśród „typów” bezpartyjnej

większości znalazło się również kilku kolegów partyjnych — nie tylko dlatego, że ludzie ci byli cenieni przez środowisko, ale i ze względów ogólniejszych — że żadnego odłamu Związku nie należy dyskryminować ani stwarzać pozorów dyskryminacji, że wreszcie — całkiem praktycznie — partyjni członkowie zarządu, jeżeli zechcą, mogą zrobić dla Związku dużo dobrego. I raptem w drugim dniu Zjazdu, niedługo przed wyborami, kilku partyjnych literatów wycofało swoje nazwiska z listy komisji-matki. Należało się spodziewać, że pozostali pójdą za ich przykładem. Nie wiadomo było, co się za tym kryje, ale łatwo było przewidzieć, jakie będą skutki wybrania zarządu ZLP, do którego nie wszedłby ani jeden członek PZPR. Zostałoby to przedstawione w ten sposób, że ich nie dopuszczono — i już nazajutrz środki przekazu „bratnich krajów”, a może nie tylko one, głosiłyby, że „siły antysocjalistyczne” opanowały Związek Literatów. Czyżby o to właśnie chodziło?

Podczas kiedy w kuluarach komisja-matka przekonywała partyjnych kolegów, żeby nie wycofywali swoich kandydatur, w sali obrad wkroczył na mównicę Andrzej Wasilewski. Dla niego sprawa wydawała się już przesądzona — i całe patetyczne przemówienie godziło w nietolerancyjny, rozpolitykowany Związek, który brutalnie „wyłącza”, „eliminuje” towarzyszy z PZPR. Za tym oskarżeniem postępowały obelgi i pogrożki w znajomym stylu, a gdy schodzącego z mównicy Wasilewskiego prowadzący obrady Artur Międzyrzecki zapytał, co oznacza używana przez niego forma „my”, ten oświadczył, że przemawiał w imieniu całej obecnej na zjeździe grupy partyjnej. I tu zaszła rzecz bez precedensu: podniósł się Witold Zalewski i zaprzeczył twierdzeniu sekretarza POP — według Zalewskiego, Wasilewski przemawiał jedynie we własnym imieniu, nie uprzedzając innych partyjnych delegatów o swoich tezach! Mniej więcej w tym samym czasie na sali stało się wiadome, że komisja-matka przekonała swoich rozmówców. Podobno istotnym argumentem była tu obietnica Władysława Bartoszewskiego (członka komisji), że zaapeluje do Zjazdu o lojalne potraktowanie w tajnym głosowaniu wszystkich kandydatów, niezależnie od tego, jaką mają legitymację w kieszeni. A więc partyjni obawiali się, że przepadną w wyborach... Jeszcze tego dnia wszakże zaczęły krążyć pogłoski, że chodziło nie tylko o zaciętrzewienie Wasilewskiego i lęk paru innych osób przed upokorzeniem. Z aluzji i półsłówek wynikało, że osobom tym jacyś funkcjonariusze KC „odradzili” kandydowanie. Nieco później nadszedł podobno telefonogram z sekretariatu Kani, odwrotnie, zalecający wejście, o ile to będzie możliwe, do władz Związku. A więc u podłoża tego, co się działo, leżałyby nie tylko rozgrywki i ambicje wewnątrzpartyjne, lecz — trwająca wciąż walka frakcyjna na szczytach partii. Wasilewski i anonimowi funkcjonariusze reprezentowaliby w tym układzie frakcję dążącą do zaostrzenia sytuacji społecznej.

Wieczorem 29 grudnia Irena Lewandowska, jako przewodnicząca komisji skrutacyjnej, ogłosiła wyniki wyborów. Prezesem

ZLP został Jan Józef Szczepański, wybitny pisarz, nieposzlakowany człowiek, współpracownik *Tygodnika Powszechnego*, od paru lat — członek Towarzystwa Kursów Naukowych, m.in. autor programowego referatu o edukacji narodowej, wygłoszonego na zebraniu TKN w czerwcu 1980 roku i opublikowanego w *Zapisie* nr 16. Już pierwsze przemówienie nowo-wybranego prezesa zwiastowało nowy styl, nowy ton w obyczajach związkowych. W ciągu miesięcy, jakie upłynęły od śmierci Jarosława Iwaszkiewicza, wielokrotnie słyszało się frazes o kontynuowaniu „tradycji Iwaszkiewiczowskiej” w ZLP — otóż wypowiedzi Szczepańskiego (nie tylko ta jedna) najdalej są, na szczęście, od tradycji dyplomatyzowania, dworskości, pochlebstw — cechuje je prostota i skromność, a zarazem odwaga i szczerość w mówieniu o tym, o co naprawdę chodzi. W tej pierwszej nie zabrakło np. przypomnienia, że właściwa literaturze „bezinteresowna intencja dania prawdziwego świadectwa naszym czasom... wyklucza zarówno uniformizm przekonań, jak i pełne zaspokojenie doraźnych wymagań władzy”. Była też mowa o tym, że najprzyskrzejsze konflikty w środowisku pochodzą z zewnątrz, „od ludzi usiłujących wygrywać to środowisko, wygrywać nawet literaturę polską dla celów złe rozumianej polityki kulturalnej”, że z dalszej perspektywy „wiele poczyni, piętnowanych dziś przez niektórych jako buntownicze, znajdzie swe uprawnione miejsce w głównym nurcie polskiej kultury, przejdzie na karty jej dziejów jako chlubny przykład woli ocalenia jej suwerenności”, że wreszcie „sama zasada cenzury przeciwna jest naszym aspiracjom” i że pisarze nie wyrzekną się „prawa do stosowania stałego nacisku dla poszerzania granic naszych swobód”. Pełny tekst tego pięknego przemówienia można zresztą znaleźć gdzie indziej.

Wiceprezesami Zarządu Głównego zostali: Andrzej Braun (który trzy lata temu, na zjeździe katowickim, wygłosił był mowę pełną gorzkich prawd o sytuacji w kulturze i spotkały go za to ze strony władz najpierw afronty, a następnie represje), Tadeusz Drewnowski (PZPR), Leszek Prorok i Jerzy S. Sito. Sekretarzem generalnym — Zbigniew Kubikowski, a jego zastępcą — Kazimierz Dziewanowski. Skarbnikiem — Andrzej Jarecki, a zastępcą — Marek Nowakowski. Przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej — Andrzej Kijowski, jego zastępcą — Jacek Łukasiewicz, a sekretarzem komisji — Tomasz Burek. Przewodnictwo komisji zagranicznej objął Marian Grześczak (PZPR), a komisji funduszu literackiego — Anna Trzeciakowska. Członkami prezydium zostali ponadto: Julia Hartwig, Paweł Hertz, Władysław L. Terlecki i Jacek Woźniakowski, a zarządu — Edward Balcerzan (PZPR), Jan Błoński, Jacek Bocheński, Marian Brandys, Lech Bądkowski, Leszek Elektorowicz, Irena Jurgielewiczowa, Anna Kamińska, Stefan Kisielewski, Urszula Koziół, Stanisław Misakowski (PZPR), Egon Naganowski, Tadeusz Nowak (PZPR), Kazimierz Orłowski oraz Jan Pieszczachowicz (PZPR). Członków partii jest w tym 32-osobowym gremium sześciu — jak widać, Bartoszewski spełnił swoją obietnicę, a delegaci go usłuchali.

Osobno wybrano główny sąd koleżeński, którego prezesem został Igor Newerly, i główną komisję rewizyjną — prezesem został Andrzej Szczypiorski.

8 stycznia 1981 odezwała się *Trybuna Ludu*... ogłaszając przemówienie Wasilewskiego zdezawuowane przez jego towarzyszy na sali zjazdu. W tekście drukowanym zachowano wszystkie pogroźki i obelgi, nie zabrakło również zamaskowanego (bez nazwiska) ataku na nowego prezesa ZLP — jego to dotyczył fragment o czyichś gorszących zdaniach na temat udziału członków partii we władzach Związku „ze względów użytecznych”. A więc po dziesięciodniowym namyśle postanowiono wypowiedzieć wojnę Związkowi Literatów i jego nowemu prezesowi. Był to znowu manewr w większej wojnie ze społeczeństwem: tego samego dnia Stefan Olszowski, po dłuższej nieco przerwie, wygłosił w radio i telewizji pierwszą z cyklu swoich filipik przeciwko „Solidarności”. Ale *Polityka*, która ukazała się również tego dnia (z datą 10 stycznia), przyniosła przychylniejszą i prawdziwszą wizję zjazdu warszawskiego. I w tej sprawie, jak w tylu innych, nie ma zatem w partii jedności. Pewnie nadal wokół Związku będą się kłębiły i zderzały ze sobą koncepcje, rachuby polityczne, koniunktury frakcyjne i personalne. Na szczęście, sytuacja wewnętrzna ZLP wydaje się wreszcie czysta. Byle nowemu zarządowi starczyło zimnej krwi i dystansu do tego kłębowaśnika na zewnątrz.

SCRIPTOR

Na co wydajemy (niepotrzebnie) dewizy?*

Noworoczny numer *Kuriera Polskiego* przyniósł niezwykle interesujący „Alfabet dewizowej bez troski”. Siedzimy po uszy w długach zagranicznych i pytanie — skąd się to ujemne saldo naszego handlu zagranicznego wzięło, zadają sobie nie tylko politycy i działacze gospodarczy, lecz przede wszystkim społeczeństwo. „Alfabet dewizowej bez troski” odpowiada — kupowano zachłannie za granicą, w wielu przypadkach rozrzutność osiągnęła pułap marnotrawstwa. Rzeczywiście, zdumienie ogarnia czytając tylko mały procent pozycji z tej listy nonsensu.

A — to antybiotyki. Od 10 lat nie zbudowaliśmy w kraju ani jednej fabryki leków. Fakt ten oraz opóźnienia w rozbudowie tarchomińskiej „Polfy”, powodują konieczność sprowadzania antybiotyków za ok. 200 mln złotych dewizowych rocznie.

* SZTANDAR LUDU, 6 stycznia 1981.

B — jak bielizna. W jednym z sąsiednich krajów nasi handlowcy zakupili ponure, ciemne, „nietwarzowe” halki dederonowe. Kupili także halki dziecięce — nie przepuszczające powietrza i nie wchłaniające potu! Po co? Ogromne ilości tych „atrakcyjnych” towarów trafiły z powrotem do magazynów.

C — jak chrzan. Na rynku brakuje chrzanu. Kiedyś dostarczano go w odpowiednich ilościach. Musimy więc sprowadzać z CSRS, NRD i Wielkiej Brytanii 1.000 t chrzanu rocznie, kosztem ponad 3 mln zł dew. „Do chrzanu z takimi wydatkami!” — komentuje *Kurier Polski*.

E — elektrofiltry zainstalowane w podkrakowskiej miejscowości Łęg zakupiono za dewizy w RFN. Nie pracują jednak, bo węgiel dostarczany elektrocieplowni jest zbyt zasiarczony.

F — to ciągnik Ferguson, przysłowiowy już niewypał licencyjny. Inwestycja w Ursusie opóźniona jest o 4 lata i dlatego zamiast 55 tys. zaplanowanych ciągników, w 1980 roku zmontowano z importowanych części ok. 2 tys. sztuk traktorów. Koszt produkcji każdego z nich — 2 razy większy od jego ceny!

H — hotelem, zbudowanym za dewizy, nie wiadomo po co, jest obiekt w Mrągowie. Szwedzi postawili tu supernowoczesny obiekt o 600 miejscach. Dla kogo? Może przez 2-3 miesiące w roku przyjedzie tu trochę cudzoziemców... H — to także herbata. Kupujemy ją za dewizy, zwiększyliśmy w minionym 10-leciu 3-krotnie import herbaty, ale tylko dlatego, że jakość jej pogorszyła się i trzeba zużywać jej więcej, by uzyskać pożądany smak, moc i kolor. A jakość jest zła, bo 80 % herbaty nadchodzi luzem, przetrzymywana w portach w skrzyniach — wietrzeje, pleśnieje, traci wartość.

J — jak Jowisz, czyli odbiornik TV kolorowej. Fabryka w Piasecznie może wytwarzać 100 tys. kineskopów rocznie, produkuje 10 razy mniej, bo brakuje środków na import części. Kiedy więc zamortyzuje się „Polcolor”?

L — czyli licencje, ok. 450 zakupionych w ostatnich latach za 2 mld dolarów. Ale aż 18 mld zł dew. to koszty związane z licencjami importu materiałowo-kooperacyjnego i inwestycyjnego. Połowę wszystkich licencji zakupił przemysł maszynowy, w którym stworzono system nagród za aktywność w licencyjnych zakupach i kary za opieszałość w nabywaniu licencji. Specjaliści obliczają, że co najmniej 1/3 naszego zadłużenia dewizowego jest efektem bez troski o zakupywanie licencji.

Ł — to łożyska toczne, na których, niestety, nie robimy interesu. Łożyska te kupujemy i sprzedajemy za granicą. Ale na ich zakup wydajemy 2 razy więcej niż uzyskujemy ze sprzedaży łożysk.

M — czyli miód, bezskutecznie poszukiwany w naszych sklepach artykułu spożywczego. Zaniedbanie pszczelarstwa kosztuje nas rocznie 8 mln zł dew. — kupujemy bowiem 2 tys. ton miodu rocznie w Chinach, na Kubie i w ZSRR.

O — obrabiarki sterowane numerycznie — zakupiono ich sporo na Zachodzie, potem przetrzymywano w skrzyniach na deszczu i śniegu, by wreszcie przekazać je do składnicy złomu. Takie fakty zarejestrowano m.in. na budowie Ursusa II.

P — jak piasek, dla hut szkła sprowadzamy go z Zachodu, choć na Dolnym Śląsku mamy go sporo. Ale ten krajowy trzeba poddać uzdatnianiu, nie ma gdzie tego robić, bo w kraju nie ma odpowiedniego zakładu. Sypiemy więc dewizy za piasek...

R — czyli rumianek, sprowadzany do Polski aż z Egiptu, choć w naszym kraju to ziele bardzo popularne. A w ogóle to aż 70 % surowców dla potrzeb krajowej farmacji dostarcza import.

T — tarflen produkują tomaszowskie „Azoty”. Tylko 500 t rocznie,

choć mogą o wiele więcej, ale nasze zakłady wolą kupować za dolary amerykański odpowiednik tarflenu — teflon.

W — wyroby czekoladowe i cukiernicze kupujemy w ilości ok. 6,5 tys. ton rocznie z Jugosławii, Holandii, Grecji, Węgier i in., kosztem ok. 60 mln złotych dew. Mogłby je z powodzeniem produkować „Wedel” i „Goplana”, ale brakuje surowców.

Z — złom, trafiają nań bardzo cenne przedmioty. Np. wśród złomu przywiezionego do Huty „Pokój” znajdowały się 2 tony części zamiennych do samochodów... „Rolls-Royce”!

Ż — to żywność, importowana w 1979 roku już kosztem 7.222 mln zł dew., to jest 4 razy większym niż w 1970 roku. Warto przypomnieć — w 1970 roku eksport produktów rolnych i spożywczych był w naszym kraju wyższy od importu.

Oto alfabet nonsensu. Niepełny, ale i tak wołający o pomstę do nieba. Czyż można się dziwić, że kupując takie towary, marnotrawiąc licencje i sprowadzane z zagranicy kosztowne urządzenia, nie rozwijając rodzimej produkcji i bazy surowcowej, zadłużyliśmy się tak bardzo?

(Opr. — j.)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 321 — JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280.

Cena F. 80,00.

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki

„Baśki i Barbary”

i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce w literaturze emigracyjnej.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

„SOLIDARNOŚĆ” NA ZIEMI WŁOSKIEJ

Preliminaria i formuła wizyty

Geneza wyjazdu do Rzymu: obietnica dana Lechowi Wałęsie przez Prymasa Polski 7 września — ponowiona wobec delegacji „Solidarności” 10 listopada po zatwierdzeniu statutu — umożliwienia mu realizacji pielgrzymki. Sam Wałęsa, interpelowany przez dziennikarzy zachodnich, uparcie powtarzał: „Kiedy czas na to pozwoli pragnę złożyć hołd Ojcu Świętemu”. Syndykaliści włoscy nie wytrzymali i pospieszyli się z zaproszeniem delegacji „Solidarności” włączając się w inicjatywę Kościoła. Trzeba podziwiać intuicję Prymasa Polski, kiedy ostrzegał Wałęsę: „To nie Ty ich potrzebujesz, ale oni Ciebie”. Dla ludzi zorientowanych tutaj intencja UIL-u i CISL-u była jasna: wykazać, że jedna lub druga jest uprzywilejowanym partnerem „Solidarności” na Zachodzie. Ks. Prymasowi przypisywana jest również inna przestroga: „Już Otton III usiłował uwikłać Bolesława Chrobrego w właśnie rzymskiej arystokracji”. Dziś we Włoszech arystokracja to Federacja Jednościowa która, w warunkach chronicznego kryzysu systemu, spełnia rozstrzygającą funkcję polityczną, niezależnie od tego, iż stanowi potęgę ekonomiczną. Syndykalno-włoska podszewka zaproszenia „Solidarności” polegała w skrócie na rozgrywaniu przez UIL karty KOR-u w funkcji antykomunistycznej (PCI) i ostemplowania „Solidarności” pieczęcią socjalistyczną we włoskim wydaniu; ze strony CISL-u na próbie przypierania do muru Berlinguera (w kierunku ewolucji eurokomunistycznej) i wygrywaniu chrześcijańskiej inspiracji „Solidarności”, dyskutowaniu ewentualnej afiliacji w lokalnych konfliktach. Komunistyczna CGIL stała rozważnie na uboczu tych konkurencyjnych rozgrywek i właśnie od niej miało przyjść

istotnie ważne, choć też na pewno nie bezinteresowne, poparcie dla „Solidarności”.

Jak się zdaje, Ks. Prymas, oprócz nieufności do włoskich syndykalistów, wychodził z założenia, że należy wystrzegać się upolityczniania tej podróży z następujących względów: „Solidarność” jest wciąż w fazie formowania się, zachodzi ryzyko emocjonalnego zaangażowania się w sprawy sprzeczne z interesami narodowymi i prawdziwymi interesami niezależnego polskiego syndykatu, a działacze tego ruchu, jak i znakomita większość obywateli, są oduczeni od myślenia politycznego i pozbawieni znajomości zachodnich reguł gry.

Formuła powiązania charakteru pielgrzymkowego tej wizyty — na czym ostatecznie się skończyło — z częścią parapolityczną, tzn. syndykalną, okazała się w rzeczy samej niefortunna. W specyficznych warunkach polskich mogło to udać się jedynie pod warunkiem uzgodnienia programu i woli lojalnego realizowania go, oraz obustronnej atmosfery zaufania. Zabrakło jednego i drugiego. Strona kościelna nie była przygotowana odpowiednio do tego rodzaju przedsięwzięcia. Tutejsi kapłani, przyzwyczajeni do opiekowania się diecezjalnymi grupami pielgrzymów, często nie potrafili stanąć na wysokości zadania, mając do czynienia z grupą kwalifikowaną, złożoną głównie z gorliwych katolików, ale i paru osób niewierzących lub religijnie obojętnych, jak również z intelektualistów w roli doradców-ekspertów. Do ostatniej zresztą chwili przyjazd nie był pewny. Bp Wesoły i pomagający mu kapłani nie uniknęli co prawda polskiego bałaganu, starali się jednak o to, by program pielgrzymkowy — od grobu św. Piotra w pierwszym dniu, poprzez Monte Cassino i bazyliki rzymskie i grób św. Stanisława Kostki, aż do Assyżu — wypadł możliwie poprawnie mimo obstrukcji ze strony włoskich syndykalistów.

Dopiero w przeddzień przyjazdu delegacji, 13 stycznia, udało się nie dopuścić do tego, by na 6 dni zaplanowanego pobytu, tylko 2 były przeznaczone na program pielgrzymkowo-watykański (jak przewidywał komunikat włoskiej federacji). Watykan, ustalając że Jan Paweł II przyjmie delegację 15 stycznia, popuścił szyki syndykatom, które zakładały termin wcześniejszy. Do ostudzenia ich zapałów przyczynił się również wywiad z Wałęsą dla telewizji, przeprowadzony przed samą podróżą przez Jasia Gawrońskiego (opublikowany następnie w *International Herald Tribune*). Nie padło w nim ani jedno słowo o zamierzonych spotkaniach z włoską federacją syndykalną. Na lotnisku w Rzymie Wałęsa był najpierw powitany przez osobistego wysłannika Papieża abpa G. Coppa z Sekretariatu Stanu i bpa Wesołego, Delegata Prymasa Polski za granicą. Witającym go sekretarzem generalnym trzech central związkowych Wałęsa powiedział: „Przejeżdżam jako pielgrzym, by zobaczyć Papieża. Gdyby nie ten fakt, nie odbyłbym do Włoch mojej pierwszej podróży za granicę. Nie chcę być niegrzeczny, ale tak rzeczy wyglądają”.

Za Spizową Bramą

„Człowiek powinien być zawsze wolnym protagonistą pracy” — tak brzmiał nagłówek sprawozdania w *L'Osservatore Romano* z audycji papieskiej dla „Solidarności” 15 stycznia. Sprawozdawca organu komunistycznej partii *Unità* podniósł fakt, że Wałęsa został przyjęty z honorami, jakie protokół watykański przewiduje tylko dla szefów państw i głów ukoronowanych. A to oznaczało nie tylko wstępne spotkanie prywatne, ale i obecność na audycji publicznej w Sali Konsystorza setek dziennikarzy, fotoreporterów i operatorów telewizji. Papież najwyraźniej chciał nadać najwyższą rangę tej audycji i stworzyć wokół niej maksymalny rozgłos w światowej opinii publicznej. Trzyminutowe zaledwie wystąpienie powitalne Wałęsy i obszernie przemówienie Jana Pawła II były treściowo doskonale zharmonizowane i wzajemnie niejako integrujące się. Wykluczenie politycznego profilu syndykatu, prymat prawa człowieka do wiary i swobodnego jej wyznawania, zobowiązanie do kierowania się uczciwością i rozumą — u Wałęsy. Pochwała sposobu działania wolnego od przemocy, i solidarna odpowiedzialność, prawo do samorządnego zrzeszania się, apel do roztropności i umiarkowania, prawo Polaków do podejmowania wysiłku skierowanego ku wspólnemu dobru — u Ojca Świętego.

Drugą okazją do spotkania z Papieżem była niedzielna, wczesna msza św. w Jego Kaplicy prywatnej, w przeddzień odjazdu delegacji. W czasie tej mszy, koncelebrowanej z bp. Wesołym, bp. Kluzem, sufraganem gdańskim, ks. Jankowskim i dwoma innymi kapłanami z Wybrzeża, którzy towarzyszyli delegacji, Jan Paweł II mówił w kazaniu o kwestii robotniczej, o „olbrzymim warsztacie polskiej pracy”. Podczas wspólnego śniadania, jakie odbyło się „w atmosferze rodzinnej”, przemówił adw. W. Siła-Nowicki, zastrząsłony obrońca w procesach politycznych, który jako rzeczoznawca doszlusował w Rzymie po trzech dniach do delegacji. Po oczywistym stwierdzeniu, że Kościół był zawsze związany z narodem, na czym polegała i polega jego siła, wyraził obawę, że obecnie na skutek zbliżenia Kościoła do Państwa może wystąpić tendencja osłabienia więzi ze społeczeństwem. Niektórzy członkowie delegacji zrozumieli to jako aluzję do znanego wystąpienia ks. Orszulika, które wywołało falę protestów.

Sądzę, że nie będzie niedyskrecją, jeśli powołując się na światłych przedstawicieli tutejszego polskiego kręgu kościelnego ujawnię punkt widzenia papieża, wynikający zresztą z Jego działalności: obecność w „Solidarności” różnych nurtów i orientacji, włączając niewierzących („oni też na swój sposób wierzą”), jest rzeczą cenną, świadczy bowiem o ogólnym przebudzeniu spo-

łeczeństwa, o odradzającym się pluralizmie. Jedność tego ruchu powinna górować nad wszystkimi partykularnymi różnicami, sympatiami, interesami. Inaczej bowiem — przybierając formy skrajne — może wyrodzić się w piniactwo, w rozmaite egocentryczne tendencje. I dlatego rola Kościoła w tym trudnym procesie konsolidacji i w zachowaniu jedności ruchu jest tak ważna, byle nie zbaczająca na teren bezpośrednio operatywny. Pierwiastek jedności jest obecny również w innym członie wielkiego „projektu” Papieża: przywrócenia jedności Europy, pojednanej w oparciu o walory chrześcijańskiej kultury, Europy pojmowanej przez niego jako zwornik równowagi w dzisiejszym skołatany świecie. Jego wezwanie do aktualizacji misji i symbolów tej jedności, św. Benedykta i nowych, proklamowanych przez Papieża jej współpatronów, świętych Cyryla i Metodego (o czym mówił ponownie 26 stycznia), nabiera szczególnej wagi, jeśli wyciągnięte się należyte wnioski z tego, co stało się i wciąż dzieje się w Polsce.

Ludzie z innej planety w ojczyźnie Machiavellego

Jeśli bilans wizyty — mimo rodzącego się w bólach i realizowanego z oporami — kompromisu pomiędzy kapłanami (liczącymi się z watykańskimi implikacjami tej wizyty) a włoskimi syndykalistami, wypadł w sumie pozytywnie, zawdzięczamy to przede wszystkim Wałęsie, jego wspaniałej intuicji, naturalności i absolutnej odporności na wszelką manipulację. „Robię to wszystko, co dyktuje mi sumienie, kieruję się świadomością interesów narodowych i moim instynktem, obojętnie czy znajduję się w kraju czy w Rzymie” — oświadczył w jednym z wywiadów. Wałęsa, ale i inni syndykaliści, zwłaszcza Anna Walentynowicz, zachowywali się na grząskim terenie włoskim tak jak ludzie przybyli z innej planety: zupełnie nierozeznani w tutejszych mechanizmach, regułach gry i zawiłościach psychologii swych rozpolitykowanych partnerów. I dlatego odnieśli sukces. Eksperci natomiast — szczególnie katolicy ze „Znaku”, którzy Zachód znają (rzymskie i watykańskie meandry dość połowicznie), byli obciążeni uwarunkowaniami swej przynależności do analogicznych czy bliskich sytuacji ideologicznych, a ponadto, zbyt układowi, unikali powiedzenia rzeczy przykrych swym rozmówcom. Jedynie Karol Modzelewski, rzecznik prasowy delegacji, zachował dystans i nie dał się wodzić za nos włoskim gospodarzom. Podobnie jak Wałęsa „potrafił utrzymać równowagę w grze pomiędzy Watykanem a syndykatem” — jak to określił pewien bystry obserwator. Ogólnie biorąc „eksperci niemal znikli, przyćmieni indywidualnością Wałęsy” — stwierdzali komentatorzy. Wałęsa mówił prawdę i chociaż ubierał ją w formę dyplomatyczną, potrafił zdobyć się na krytykę swych syndykalnych gospodarzy. Nie przejawiał kompleksu niższości. Przykład: „U nas etatowi syndykaliści otrzymują pracę od syndykatu, nie tak jak u was oddelegowani przez zakłady pracy i płaceni przez pracodawców”. Świtoń z

Katowic i Wądołowski ze Szczecina ujrzeni we włoskiej Federacji zburokratyzowaną instytucję „tak jak u nas CRZZ”. Według nich nie jest to model do naśladowania, przeciwnie, jest odstraszaający, bliższe są natomiast i więcej się można nauczyć z doświadczeń syndykatu szwedzkiego czy zachodnoniemieckiego.

Włoscy związkowcy zastosowali początkowo wadliwe podejście proletariacko-lewicowe z przyprawą „bizantyjskiego” żargonu, typowego dla tutejszego świata politycznego i syndykalnego. Usiłowali podważyć — zwłaszcza ci z UIL-u — sens chrześcijańskiej inspiracji i religijną symbolikę „Solidarności”. Nie mogli przełknąć syndykalizmu przesiąkniętego Ewangelią. Wałęsa replikował spokojnie: „Jeden wierzy w pieniądź, drugi w stano-wisko i władzę, są i tacy, którzy wierzą w Boga. Człowiek musi w coś wierzyć. Nasza wiara nie stanowi przeszkody, przeciwnie, pomaga nam w walce. Bez niej nie byłoby mnie tutaj”. Przykład dialektycznej zręczności Wałęsy: „Nie chcemy narzucać nikomu szczęśliwości, ale nie chcemy również być uszczęśliwiani przemocą”.

Na spotkaniach z syndykalistami Wałęsa przede wszystkim był leaderem wolnych związków, czującym międzynarodową więź ludzi pracy w chwili kiedy dosłownie wbiegł na trybunę w czasie meetingu: „Robotnicy na całym świecie musieli zawsze walczyć, nigdy nie otrzymali nic za darmo”. Podkreślał niekonfesyjony charakter „Solidarności” („w której są też ludzie innych wyznań i niewierzący”) i jej niezależność od Państwa i Kościoła. W jednym i drugim przypadku wykazał koherencję, brak sprzeczności pomiędzy obydwojema rodzajami zaangażowania.

Bilans

Ks. Baget Bozzo, błyskotliwy politolog i publicysta, *enfant terrible* włoskiej hierarchii (zwłaszcza jej konserwatywnego skrzydła), dokonując bilansu wizyty na łamach lewicowego, niezależnego dziennika *La Repubblica* stwierdza, że bez czynnika „W” (Wojtyły) nie byłoby Gdańska. Jego zdaniem — podzielnym przez licznych obserwatorów — „jedność w spontaniczności mas polskich może być zagwarantowana jedynie w oparciu o porękę Wojtyły. Na tym polega znaczenie wizyty 'Solidarności'”. Inwestytura papieska ma ponadto niewątpliwie ogromną wagę jako jeden z elementów „zaporowego ognia” przeciwko ewentualnej „bratniej pomocy”. W jakim stopniu ten *deterrent* skutkuje — to inna sprawa. Nie jest to inwestytura jedyna. Udzielił jej również komunistyczny sekretarz generalny CGIL, Lama, bliski Berlinguerowi. Przywódca najsilniejszej włoskiej centrali związkowej (tej właśnie, która nie usiłowała nikogo z „Solidarności” przeciągnąć na swą stronę) oświadczył na zebraniu publicznym na cześć delegacji, że „zmiany społeczne dokonane w Polsce są nieodwracalne” i potępił — po raz wtóry — „każdą formę ingerencji w sprawę Polski”, zaznaczając, że „na-

sze stanowisko odnosi się nie tylko do interwencji wojskowej, ale też do presji politycznych ze strony innych krajów". Przyjmując wizytę delegacji „Solidarności” u Jana Pawła II, Lema złożył hołd Kościołowi w Polsce, który „działa z roztropnością dla pokojowego rozwoju waszego społeczeństwa i dla pozytywnych stosunków z instytucjami politycznymi, co umacnia zgodę narodową”.

Podwójne poparcie Papieża i przywódcy komunistycznego syndykatu wzmacnia „Solidarność” nie tylko w samym wymiarze krajowym, lecz i międzynarodowym, jako rodzaj uwierzytelnienia poza granicami bloku.

Dominik MORAWSKI

Pisane 7 lutego 1981 r.

DALSZY CIĄG DYWERSJI

Jak wiadomo powołano do życia „Polski Związek Katolicko-Społeczny” (PZKS). Jest to nowa koncesja udzielona kolaborantom z rozłamowej grupki „neo-Znak”. Otóż rejestracja tego tworu — z prawem do zakładania oddziałów wojewódzkich — nastąpiła 12 stycznia (w przeddzień wyjazdu delegacji „Solidarności” do Rzymu). W ciągu ostatniej dekady stycznia w Wałbrzychu, Krośnie i Tarnowie, a na początku lutego w Białymstoku, władze wojewódzkie odmówiły rejestracji klubów inteligencji katolickiej — emanacji niezależnego ruchu „Znak”. Władze powołują się na to, że PZKS „obejmuje swoją działalnością całe terytorium PRL... powstanie zatem KIK-u (w danym województwie) prowadziłoby do rozdrobnienia ruchu stowarzyszeniowego”. W Tarnowie urząd wojewódzki proponuje założycielom klubu możliwość „realizowania planowanych celów w ramach PZKS-u”. W Wałbrzychu natomiast miejscowy urząd wojewódzki cofnął decyzję w sprawie rejestracji klubu po kilku godzinach, tłumacząc się pomyłką — „otrzymaliśmy z Warszawy instrukcję, że wolno nam zarejestrować jedynie oddział PZKS-u”. Mamy więc do czynienia z wyraźnym faworyzowaniem organizacji o dywersyjnych założeniach. Tymczasem trwają nadal kontakty pomiędzy tą grupą a Światową Unią Chrześcijańsko-Demokratyczną. Delegat PZKS-u wystąpił również jako reprezentant „Solidarności” na międzynarodowym kongresie chadeckim w Rzymie w dniu 7 lutego, nie mając mandatu od Krajowej Komisji NSZZ „Solidarność”. Pismo *Proposta* (nr 2 z 17 stycznia 1981), organ grupy włoskich chadeków postulujących odnowę tego stronnictwa, które — jak pisze w artykule wstępnym redaktor — „toczy śmiertelny rak”, stwierdza, że „Chrześcijańska Demokracja powinna przede wszystkim położyć kres praktyce stosowanej dotąd przez Sekretariat Światowej Unii Chrześcijańskiej Demokracji pod kierunkiem posła Rumora popierania katolickiej grupy rozłamowej i kolaboranc-

kiej, tzw. neo-Znak. Jest to bowiem grupa zdyskredytowana w społeczeństwie polskim jako narzędzie manipulowane przez służbę bezpieczeństwa... Sekretariat Unii, mimo ponawianych ostrzeżeń, nie przeciwstawił się akcji dezinformacyjnej i dywersyjnej, narażając w ten sposób na szwank dobre imię oraz moralny i polityczny kredyt Chrześcijańskiej Demokracji w Polsce i w całej orbicie sowieckiej”. Jeśli władze państwowe liczyły na PZKS i wicepremiera Ozdowskiego jako na mediatorów w konfliktach z „Solidarnością”, to przekonały się szybko, że jest to czyste złudzenie. W Bielsko-Białej porozumienie zawarto przy roztrzągającym udziale bp. Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu i doradców Wałęsy, Mazowieckiego i Geremka. W Jeleniej Górze natomiast mediacja p. Ozdowskiego zakończyła się fiaskiem i trzeba będzie znowu uciec się do sukursu Kościoła i doradców „Solidarności”.

„HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”

W serii „niebieskiej” wydawanej przez Księgarnię „LIBEL-
LA” pod auspicjami Towarzystwa Historyczno-Literackiego
w Paryżu z Komitetem Wydawniczym w składzie:

Czesław Miłosz, Piotr Wandycz, Henryk Wereszycki,
Jacek Woźniakowski i Czesław Zgorzelski

ukazała się nowa książka:

Ryszard Przybylski

„WDZIĘCZNY GOŚĆ BOGA”

Esaj o poezji Osipa Mandelstama

Stron 190.

Cena F. 50,00.

Dotychczas ukazały się w tej serii:

Henryk Wereszycki

„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”

1864 - 1918

Stron 336.

Cena F. 60,00.

Andrzej Micewski

„WSPÓLRZĄDZIC CZY NIE KŁAMAĆ”

Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron 269.

Cena F. 50,00.

Marcin Król

„STYLE POLITYCZNE MYŚLENIA”

Wokół *Buntu Młodych* i *Polityki*

Stron 128.

Cena F. 30,00.

Roman Zimand

„DZIENNIK” ADAMA CZERNIAKOWA

W nocy od 12 do 5 rano nie spałem.

Próba lektury.

Stron 79.

Cena F. 25,00.

Koszta przesyłki + 10 %

Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na
Emigracji, u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris

Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.

Telefon: 326-51-09.

Sąsiedzi

Zesłaniec Sacharow

Elena Bonner Sacharowa opowiada w tygodniku paryskim *L'Express* o życiu swego męża na zesłaniu w Gorki. „Sytuacja Sacharowa jest bez precedensu. Żaden zesłaniec nie jest pilnowany dniem i nocą przez strażnika pod drzwiami. Niestety, nic się pod tym względem nie zmieniło od roku”. Warunki zesłania zostały zakomunikowane laureatowi pokojowej nagrody Nobla przez generalnego prokuratora Gorki 22 stycznia 1980: przede wszystkim zakaz kontaktów z cudzoziemcami i z „elementami kryminalnymi”. Kogo określa się tym mianem, nietrudno odgadnąć. W praktyce więc Sacharow widuje tylko żonę, która mieszka w Moskwie i regularnie co jakiś czas przyjeżdża do Gorki. Małżeństwu towarzyszy wszędzie trzech „aniołów stróżów” (a gdy Sacharow odprowadza żonę na dworzec, pięciu): podczas zakupów, na spacerach, w kinie. Nieliczne listy zaadresowane do Sacharowa docierają do rąk adresata, większość ginie. W domu nie może używać telefonu, próby telefonowania z urzędu pocztowego kończą się na ogół fiaskiem. Raz, wykorzystując chwilową dystrakcję nadzorców, zdołał zatelefonować do swojego moskiewskiego instytutu naukowego z prośbą o książki. Rezultat: wyłączono w tym instytucie telefon na trzy dni. Sąsiedzi wiedzą kim są Sacharowowie, ale traktują ich jak trędowatych. Z wyjątkiem, i to rzadko, pijanych („Rosjanin nabiera odwagi po pijanemu”): „Sacharow, hm, szanujemy, szanujemy...”. Radiostacje zagraniczne zagłuszane są w Gorki bardzo silnie, o wiele silniej niż w Moskwie, toteż jedynym źródłem informacji Sacharowa o wydarzeniach na świecie jest żona natychmiast po przyjeździe ze stolicy. „Problem: emigrować czy nie, nie istnieje dla Andrieja, jedyne czego obecnie oczekuje od Zachodu, to konkretnej pomocy w sprawie Lizy, naszej przybranej córki, której uniemożliwiają wyjazd do Stanów Zjednoczonych, do narzeczonego. Jeśli Liza dostanie paszport, przeniosę się na stałe do Gorki i do Moskwy będą jeździć jedynie po żywność. Podobnie

jak wielu mieszkańców Gorki, przywożę prawie wszystko z Moskwy, z wyjątkiem jabłek, kartofli i chleba". Od sierpnia zeszłego roku Sacharowowie śledzą z najwyższą uwagą wypadki w Polsce. Ton prasy i telewizji sowieckiej nastraja ich pesymistycznie. W ogonkach w Gorki słyszy się niekiedy: „Polacy skarżą się, że im źle... Trzeba by ich trochę przetrzepać. Myślą może, że nam żyje się tu lepiej?”. Konkluzja artykułu: „Odnosnie przyszłości jestem pesymistką, byłam nią zawsze. Jestem pesymistką, bo w moim przekonaniu nasi przywódcy dochodzą zawsze do końca tego co przedsięwzięli. Dotyczy to Czechosłowacji, dotyczy Afganistanu, dotyczy także Sacharowa”.

Przypominają się słowa z *Mojej podróży do Moskwy* Zbigniewa Romaszewskiego (krajowy *Biuletyn Informacyjny i Kultura* z lipca-sierpnia 1979): „Sacharow nie jest politykiem... Jest naprawdę bardzo zmęczonym człowiekiem, który postanowił za wszelką cenę wytrwać na swym stanowisku, broniąc pokrzywdzonych, broniąc ludzkiej godności, broniąc człowieczeństwa”. To prawda. Lecz stał się również, zwłaszcza odkąd jest zestrąconym, wspaniałym i przejmującym symbolem, podziwianym przez wszystkich wolnych ludzi na świecie. Będzie stopniowo zapomniany? Czy do tego właśnie „końca” zmierzają przywódcy sowieccy? Jedno mamy prawo powiedzieć w *Kulturze*: nie będzie nigdy zapomniany przez wolnych Polaków.

W sowieckiej prasie

Poprzedni przegląd prasy sowieckiej pisałem równo dwa miesiące temu. Przeglądając wycinki z gazet i czasopism, jakie od tamtego czasu zebrałem, widzę, że wszystko układa się w jasny, precyzyjny program: zaprowadzić w Polsce porządek! Program ten komunikaty TASS-a podają pod nagłówkiem „O położeniu w Polsce”; artykuły korespondentów własnych pod nagłówkami: „Na straży zdobyczy socjalizmu”, „Prowokacyjne żądania”, „Rewanżyści podnoszą głowę”; programowi poświęcone są teoretyczne rozważania o „związkach zawodowych w warunkach społeczeństwa socjalistycznego” i artykuły „prawdziwych polskich komunistów” typu Ignacy Krasicki czy Stanisław Wroński („S. Wroński” jest przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej).

W miarę jak skracał się w Polsce cykl „konflikt-odprężenie” i zbliżał termin konfrontacji w sprawie „Solidarności wiejskiej”, ton prasy sowieckiej stawał się coraz ostrzejszy i bardziej jedno-

znaczny. Wroga nazwano z imienia i z nazwiska. W grudniu 1980 roku zaczęły się pojawiać w gazetach sowieckich nazwiska „J. Kuronia” i „Michnika”. *Literaturnaja Gazeta* opublikowała 10 grudnia artykuł przetłumaczony z *Argumentów* pt. „Kogo broni J. Kuroń?”. Nie wnikając w „niekoherentną i mętną filozofię Kuronia”, *Literaturnaja Gazeta* ograniczyła się do etykiety: „zażarty wróg socjalizmu”. W grudniu i na początku stycznia prasa sowiecka myli się jeszcze przy nazwie organizacji, której „ideologami” mają być „J. Kuroń” i „Michnik”. Raz nazywa ją „komitetem obrony robotników”, raz „komitetem samoobrony społecznej”, raz „KOR-em”. Jeszcze 22 grudnia *Prawda* uważa za konieczne wyjaśnić co znaczy „KOR”: „Jedna z organizacji antysocjalistycznych”. Jednak w styczniu czytelnik sowiecki jest już na tyle uświadomiony, że gazety ograniczają się do krótkich charakterystyk: „osławiony J. Kuroń”, „antysocjalistyczna organizacja KOR”.

Nazwano też drugiego wroga — „Solidarność”. W tym przypadku sowieccy propagandiści stali przed nieco trudniejszym zadaniem: jak ogłosić, że dziesięciomilionowy związek zawodowy — to wróg? Co więcej, w pierwszych miesiącach miano nadzieję, że związek okaże się wewnętrznie słaby albo że uda się zdyskredytować jego przywódców itd. Dlatego też w grudniu i styczniu używano jeszcze formuły „siły antysocjalistyczne najczęściej działają pod przykrywką hasła związku zawodowego 'Solidarność'” (*Prawda* z 2 stycznia 1981). Szybko jednak pojawił się zwrot „'niezależny' związek zawodowy 'Solidarność'” (*Prawda* z 10 stycznia 1981). Słowo „niezależny” ujęto w cudzysłów; czytelnik sam zrozumie: „Znamy tę 'niezależność’”. Zdecydowanie wrogi stosunek do „Solidarności” wyraża się w końcu ubiegłego roku w ostrzeżeniach przed zgubnymi działaniami „niektórych działaczy 'Solidarności’”, „szeregu przywódców 'Solidarności’” itp.

22 stycznia *Prawda* ogłasza korespondencję TASS-a z Warszawy, w której donosi — powołując się na marszałka sejmu S. Gucwę — że część przywódców „Solidarności” znajduje się „pod wpływem antysocjalistycznej organizacji 'Komitet Samoobrony Społecznej’”. W ten sposób wiąże się w jedną całość dwóch „wrogów socjalizmu”: KOR i „Solidarność”.

Jesienią 1980 roku propaganda sowiecka, starając się objaśnić wydarzenia w Polsce, powtarzała — powołując się stale na prasę polską — że doszło do „pewnych błędów” w „pracy ideologicznej” „pewnych” polskich przywódców. Począwszy od stycznia 1981 zarzucono poprzednie objaśnienia: „Działacze 'Solidarności’” świadomie pogarszają i tak trudną sytuację gospodarczą Polski — pisze *Prawda* 12 stycznia. Twierdzenie to staje się formułą oficjalną: kryzys społeczno-gospodarczy w Polsce „spowodowany jest nie tyle niedostatkami w gospodarce co nieodpowiedzialnymi wystąpieniami elementów, dążących do zaostreżenia wewnętrznej sytuacji politycznej w PRL” (*Prawda* z 22 stycznia).

Lista zarzutów pod adresem „Solidarności” i KOR-u, których

sowiecka prasa związała mocną nicią („działacze antysocjalistycznej organizacji KOR wraz z prawicową grupką w kierownictwie 'Solidarności'...” — *Prawda* z 7 stycznia) wciąż się wydłuża: „wrogowie socjalizmu” ponoszą winę za kryzys ekonomiczny, jaki przeżywa kraj, „dopuszczają się aktów samowoli”, naruszają przepisy PRL, terroryzują „uczciwych robotników”; oni też „zastraszają kadry przywódcze” i tym samym „dezorganizują życie gospodarcze, państwowe i polityczne”. 11 stycznia gazety sowieckie opublikowały streszczenie wystąpienia Stefana Olszowskiego, szczególnie wybijając informację o „pewnych działaczach 'Solidarności'”, którzy „sporządzają teraz spisy i wystawiają tak zwane oceny przywódcom w gospodarce, aparacie państwowym i życiu politycznym”. Wiadomość ta musiała wzbudzić uczucie zgrozy w szeregach sowieckiej „nomenklatury” — a nuż komuś zechce się i w ZSSR sporządzić spis i wystawić „tak zwane oceny” kadrom przywódczym! „Przywódcze kadry” tak przywykły do wystawiania „tak zwanych ocen” wszystkim „niższym kadrom”, że sama myśl o ocenie ich własnej działalności, i to nie przez „górze” a przez „doły”, budzi w nich paniczny strach. Nietrudno sobie wyobrazić, że i w polskich „kadrach przywódczych” myśl o „spisie” i „ocenie” budzi taki sam zwierzęcy strach.

Nie wystarczy wszak oskarżyć „pewnych działaczy” o chęć „wystawienia ocen kadrom przywódczym”. A i nalegać na tę sprawę nie jest zbyt poręcznie. Dlatego „wrogów socjalizmu” oskarża się o winy, które „naród” pojmie, bo do nich przywykł i dobrze je zna.

Przed wszystkim oskarża się więc „Solidarność” i KOR o związki z „zachodnioniemieckimi rewanżystami”. A że dowodów żadnych na te związki oczywiście nie ma, *Prawda* twierdzi (13 stycznia), że „neofaszystowska organizacja w RFN” domaga się „bezwzględnego nawiązania kontaktów z przywódcami nowopowstałych polskich niezależnych związków zawodowych”. *Prawdzie* więcej nie trzeba, aby oskarżyć „Solidarność” o odpowiedzialność za „obłąkańcze marzenia o powrocie wschodnich ziem” do Niemiec.

Następnie oskarża się „Solidarność” o utrzymywanie bliskich związków z polską emigracją na Zachodzie. Do zarzutów o utrzymywanie związków z *Kulturą* doszły oskarżenia o „związki z polskim rządem na wygnaniu”. Korespondentowi *Literaturnoj Gazety* (7 stycznia nie udało się przeprowadzić wywiadu „na Eton Place nr 43 w Londynie”, który to adres odkrył, choć „nie ma go w żadnej stołecznej książce telefonicznej”). Wie on jednak niezbicie, że „stąd cienie przeszłości starają się kierować antypatriotyczną, wywrotową działalnością polskiej emigracji”. Moskiewskiemu korespondentowi udało się za to porozmawiać z właścicielem firmy eksportowej „Tazab”, Tadeuszem Zabłockim, któremu przedstawił się jako korespondent włoski. Tadeusz Zabłocki też mu niczego nie powiedział, jeśli nie liczyć informacji, że ilość przesyłek do Polski „wzrosła o 500 %”. Ale moskiewski korespondent i bez wywiadów dawno wszystko wiedział: „Na

rozkaz z *osobniaka* na „Placu Etona” płyną „pieniądze i cenne dary” dla związków zawodowych „Solidarność”, a emigracja stara się „stworzyć z 'Solidarności' polityczną przeciwwagę dla konstytucyjnych organów państwa polskiego” — wnioskuje korespondent *Literaturnoj Gazety* na podstawie swej „misji zwiadowczej”.

Żeby odkryć tę tajemnicę nie musiał on — rzecz jasna — jechać do Londynu. Wszystkie oskarżenia pod adresem „wrogów socjalizmu” — „Solidarności” i KOR-u — sprowadzają się do jednego: że chcą przechwycić władzę w Polsce.

Począwszy od drugiej połowy stycznia coraz natrętniej powraca straszne słowo „dwuwładza”. „Działacze 'Solidarności'”, znani ze swych antysocjalistycznych poglądów i ekstremistycznych pozycji... starają się w praktyce stworzyć system dwuwładzy w kraju” — donosi *Prawda* z 5 lutego. W słowniku politycznym sowieckiej „kadry przywódczej”, który składa się z dwu dziesiątków pojęć, „dwuwładza” jest pojęciem najstraszniejszym. Wychowana na historii KPZS, jedynej wykładni „myśli marksizmu-leninizmu”, „kadra przywódcza” wie: „dwuwładza” jest warunkiem zdobycia władzy, ale i utraty władzy. Synonimem „dwuwładzy” stało się w prasie sowieckiej wyrażenie „rozmywanie istniejącego w Polsce ustroju”.

„Antysocjalistyczne siły” oskarża się, że chcą przejąć władzę w Polsce przede wszystkim po to, żeby wystąpić z Paktu Warszawskiego. Ignacy Krasicki napisał dla organu armii sowieckiej *Krasnaja Zwiezda* specjalny artykuł-donos, w którym twierdzi: „'Solidarność' pomaga NATO 'oderwać Polskę' od Paktu Warszawskiego”.

„Rozbuchane antysocjalistyczne siły” wiodące Polskę ku katastrofie gospodarczej i kontrrewolucji to jedna strona polskiego medalu na łamach prasy sowieckiej. Druga strona to parada „przyjaciół Związku Radzieckiego”. Wśród „przyjaciół” znajdziemy, rzecz jasna, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, ale też „weteranów”. W ciągu 18 dni *Prawda* dwukrotnie opublikowała komunikaty z Polski pod niemal identycznymi tytułami: „Apel weteranów Partii” (30 grudnia 1980) i „Apel weteranów” (18 stycznia 1981). W pierwszym doniesieniu mowa była o spotkaniu „weteranów ruchu robotniczego”, w drugim — o działalności Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD). Korespondenci gazet sowieckich wyszukują też robotników, którzy im wyrażają wdzięczność za pomoc sowiecką. Rocznicą wyzwolenia Warszawy dała sowieckiej prasie okazję do sławienia „wyzwolicielei” i „wielkiej pomocy w odrodzeniu Warszawy”, jaką Polsce okazał Związek Sowiecki. Przypomniano w szczególności, że „ludzie sowieccy, od ust sobie odejmując skąpy kawałek chleba, posyłali warszawiakom mąkę, kaszę, cukier i inne produkty” (*Prawda* z 17 stycznia).

Lektura tych artykułów przypomina lato 1968 roku, kiedy prowadzono wielką kampanię sławienia bratniej pomocy ludzi sowieckich dla Czechosłowacji w 1945 roku i wypominano czarną

niewdzięczność „niektórych” Czechosłowaków, którym zamarzyła się „ludzka twarz” socjalizmu.

Spora część informacji o Polsce przyjmuje w prasie sowieckiej formę wypowiedzi „przyjaciół”: cytuje się polskie gazety i polskich działaczy. Porównując te materiały z korespondencjami sowieckich dziennikarzy, odkrywamy charakterystyczne zjawisko: nie sposób odróżnić tekstu polskiego od sowieckiego. Można by to wytłumaczyć niwelującym działaniem tłumaczenia. Jeśli jednak spojrzymy na tekst polski, spostrzeżemy, że naprawdę nie można odróżnić oryginału od tłumaczenia (chyba że po alfabecie). W obu językach powtarzają się magiczne formuły: „zasada centralizmu demokratycznego”, „niedoceniające działalności wrogów socjalizmu”, „nie dopuścić do kapitulancstwa wobec ataków na Partię” itp.

Informacje o Polsce w prasie sowieckiej doskonale ilustruje wyrażenie „mówią tym samym językiem”.

10 lutego, w dniu w którym zamykam ten przegląd, sytuacja w Polsce znowu się zaostrzyła: generał Jaruzelski został premierem, a Sąd Najwyższy odmówił rejestracji „Solidarności wiejskiej”, w której stworzeniu, jak pisała *Prawda* już 12 stycznia, uczestniczą „ludzie nie związani z życiem wsi, ludzie, którzy nie ukrywają swych antysocjalistycznych a nawet kontrrewolucyjnych zamiarów”. I znów odwołam się do doświadczenia z 1968 roku. Były sekretarz KC KPCz Zdenek Mlynař, obecnie na emigracji, opisał w książce „Nocne mrozy” ostatnie spotkanie Breżniewa z przywódcami Czechosłowacji, 26 sierpnia 1968 roku. Rozmowa między przywiezionymi na Kreml aresztowanymi czeskiimi przywódcami i sowieckimi władcami toczyła się bez ogródek. Breżniew machnął ręką na zarzuty o pobłażliwość wobec „sił kontrrewolucyjnych” i „zdradę socjalizmu”, których pełne były sowieckie gazety. Zarzucił natomiast Dubczekowi, że jako pierwszy sekretarz KC KPCz nie konsultował się w kwestiach polityki wewnętrznej z generalnym sekretarzem KPZS. Niemal ze łzami w oczach żalił się Breżniew: „Ja ci ufałem i broniłem cię. Mówiłem — nasz Sasza to prawdziwy komunista. A ty nas strasznie zawiodłeś”. Zdaniem Breżniewa wszystkie nieszczęścia Czechosłowacji wyniknęły z braku konsultacji z Moskwą.

„My na Kremlu nie mamy już do was zaufania — ciągnął Breżniew. — Lecz kraj wasz znajduje się w naszej strefie. Wasze granice są naszymi granicami. Stworzenie tych granic drogo nas kosztowało, toteż w imię naszych śmiertelnych ofiar mamy prawo postać wam nasze wojska, żebyśmy się czuli bezpiecznie w obrębie naszych granic. Skutki wojny światowej są definitywne. Będziemy ich bronić nawet za cenę wojny. Nawet w obliczu takiej ewentualności posłalibyśmy wojska do Czechosłowacji”. Po czym dorzucił, że w danej chwili żadnego ryzyka wojny nie ma, jako że Johnson na pytanie Moskwy odpowiedział 18 sierpnia: Możecie wchodzić.

Sytuacja zmieniła się w stosunku do roku 1968 pod jednym względem: w Białym Domu nie ma Johnsona. Od stycznia 1981

roku urzęduje tam Ronald Reagan. Za wcześniej jeszcze, by sądzić o jego polityce zagranicznej. Natomiast politykę krajów zachodnioeuropejskich znamy. Breżniew oświadczył Dubczekowi, że Związek Sowiecki gotów jest bronić swych posiadłości w Europie nawet za cenę wojny. Europa Zachodnia kategorycznie odmawia ryzyka wojny. Londyński *The Economist* poświęcił w lutym duży wstępny artykuł zagrozeniu, jakie dla pokoju na świecie stanowi Związek Sowiecki. „Nigdy jeszcze — pisze autor artykułu — dwie połowy Paktu Atlantycznego nie były tak rozdarte, jak teraz”. Rzecz w tym, że USA i Europa Zachodnia mają inny pogląd na zagrożenie sowieckie. *The Economist* tłumaczy zachodnioeuropejski punkt widzenia przyczynami „psycho-politycznymi”. Stany Zjednoczone nie rozumieją jakoby psychiki ludzi, „żyjących w tym samym lesie co niedźwiedź”. Jest i inna „psychologiczna” przyczyna, decydująca o postawie Europy Zachodniej. Niedawno miałem okazję przeczytać artykuł, w którym wyjaśniono, że Holendrzy (mam nadzieję, że nie wszyscy) tak długo nie będą sobie przyznawali prawa do krytykowania sowieckiej polityki represji wewnętrznych i interwencji zewnętrznych, dopóki warunki mieszkaniowe w Amsterdamie nie będą odpowiadały wszystkim wymogom nowoczesnego komfortu, dopóki kobiety holenderskie będą eksploatowane a małżeńskie pary homoseksualistów pozbawione wszystkich przysługujących im praw, takich samych jakie przysługują małżonkom heteroseksualnym.

Sposób w jaki prasa sowiecka przedstawia wydarzenia w Polsce w okresie od grudnia do lutego bież. roku pozwala na dwa wnioski: 1) w Moskwie narasta niezadowolenie z powodu sytuacji w Polsce i jej niestabilności i 2) w Moskwie sporządzony został spis „wiernych przyjaciół”, na których można polegać. Bez wątpienia sporządzono tam również szczegółowy spis „sił antysocjalistycznych”.

Kryzys w Polsce psuje nieco świąteczny nastrój Breżniewa, szukającego się do otwarcia 23 lutego XXVI Zjazdu Partii. Będzie to czwarty zjazd partii za breżniewowskiego panowania. Ton wystąpień zjazdowych jest już ustalony: dobiega on ze zjazdów partii w poszczególnych republikach. Sekretarz KC Kazachstanu, członek Biura Politycznego KC KPZS, bliski przyjaciel Breżniewa, D. A. Kunajew uroczystie oznajmił w Alma-Atie (w oczekiwaniu na dzień kiedy to samo powie w Moskwie): „Nigdy jeszcze nie udało się tyle zrobić w jednej pięcioletce. Imponujące przemiany dokonały się w każdej dziedzinie życia — czy to w produkcji państwowej, czy w życiu duchowym podwyższono dobrobyt wszystkich warstw społeczeństwa, praktycznie każdej rodziny”.

Cień Polski, krnąbrnego członka szczęśliwej socjalistycznej rodziny, chmurą kładzie się na święto...

Adam KRUCZEK

10 lutego 1981

Polscy kapucyni w Estonii

Artykuł o pracy duszpasterskiej i o Polakach w Estonii wymaga uzupełnień w tym celu, ażeby Czytelnik mógł zorientować się ogólnie w całości problematyki.

Otóż w związku z ogłoszeniem niepodległości Estonii (1918), Stolica Apostolska erygowała Administraturę Apostolską w tym kraju. Najpierw pracowali w duszpasterstwie katolickim jezuiti. Jeden jako administrator apostolski w Tallinie, drugi w Tartu. W 1931 roku zostali wezwani do pracy duszpasterskiej także kapucyni z bawarskiej i krakowskiej prowincji. W Bawarii przybyło trzech niemieckich kapucynów, dwóch księży i jeden brat. Osiedli oni w Tartu, a przełożony kapucynów w Estonii o. Robert wydawał czasopismo *Kiriku Elu* (Życie Kościoła) w latach 1933-1935. Napisał również Mszę opartą na motywach polskich pieśni religijnych. Wykonywał ją chór założony przez o. Tadeusza Krausa. W mieście Narva kapucyni z Holandii prowadzili misję w obrządku bizantyjsko-słowiańskim.

Wówczas Estonia liczyła 1.124.000 mieszkańców. Przeważali protestanci. Mniej było prawosławnych i trochę różnych sekt religijnych. Zaledwie dwa tysiące wiernych należało do Kościoła katolickiego. Wśród nich najwięcej było Polaków, potomków dawnych zesłanych patriotów polskich, którzy powrócili z Rosji. Po nich szli Niemcy, Litwini, Estończycy, Łotysze i Rosjanie. Z czasem powstało dziewięć parafii. Z tych tylko cztery posiadały własne kościoły, pozostałe mieściły się w domach prywatnych.

Z Polaków dwóch kapucynów pracowało w duszpasterstwie Administratury Apostolskiej w Estonii: o. Tadeusz Kraus i o. Łucjan Ruszała, obydwaj z krakowskiej prowincji.

Pierwszy z nich to lwowianin. W roku 1931 z Krakowa wyjechał do Estonii. Przez krótki okres czasu pracował w parafii Valga (w kościele zbudowanym przez polskich kolejarzy przed pierwszą wojną światową), a potem objął parafię w Narva. Kazania wygłaszał w języku estońskim, polskim i rosyjskim. Dzieci uczył w domu parafialnym (plebanii) w języku estońskim i rosyjskim. W okolicznych miasteczkach i wioskach odwiedzał rodziny katolickie, w domach odprawiał Msze św. i udzielał sakramentów świętych. Raz w miesiącu wyjeżdżał z polskim kazaniem i spowiedzią do Tallina i Tartu. Z nastaniem drugiej wojny światowej musiał przenieść się do zakrystii. Z chwilą wycofania się armii niemieckiej został przez Niemców wyrzucony i osiadł w Tartu. Ponieważ drugi polski kapucyn zmarł w 1945 roku, a inni księża wyjechali, przez cały rok duszpasterzował w dziewięciu parafiach katolickich. Z czasem z Łotwy przyjeżdżało dwóch księży, ale mimo to dalej wyjeżdżał z pomocą duszpaster-

ską do Tallina. W latach 1945-1964 był wikariuszem generalnym Administratury Apostolskiej w Estonii. Prawdy wiary wykładał też luteranom. Przełożył na język estoński perykopy Ewangelii i Lekcji, mszał rzymski, Naśladowanie Chrystusa, Stary i Nowy Testament oraz kilka bardziej znanych powieści katolickich. Prace te pozostały w Estonii w maszynopisach. Po 33 latach pracy powrócił do Krakowa, ale nadal utrzymywał żywy kontakt z katolikami w Estonii od 1964 roku do chwili śmierci. Zmarł 18 kwietnia 1977 roku w Krakowie. Należy zaznaczyć, że w swojej pracy posługiwał się także językiem niemieckim, którym władał płynnie. Parafie bowiem były wielonarodowościowe.

Drugi kapucyn to o. Łucjan Ruszała, urodzony w m. Przedmieście Czudeckie, parafia Czudec, obecnie w woj. rzeszowskim. Do Estonii wyjechał z Krakowa w roku 1934. Najpierw pracował w duszpasterstwie w Tallinie, a potem otrzymał parafię w PETERSI. Oprócz pracy duszpasterskiej prowadził akcję patriotyczną celem wzmocnienia świadomości narodowej tamtejszych Polaków. O swojej pracy tak sam pisze: „Oprócz tego, będąc tylko jedynym kapłanem Polakiem w całej południowej Estonii, muszę także zaspakajać duchowe potrzeby rodaków w sąsiednich parafiach. Niekiedy przychodzi mi wyjeżdżać do Valga z kazaniem i języku polskim, słuchać spowiedzi tych, którzy nie mogą należycie się wyśłowić, lub też nie chcą spowiadać się w obcym języku. Większe skupienie Polaków zrzeszonych w związku JUTRZENKA znajduje się w Tartu, ich więc trzeba przede wszystkim często odwiedzać z pociechą duchową. Zwyczajnie co rok, przed świętami Wielkanocnymi, urządza się dla nich trzydniowe rekolekcje. Nadto, podczas rozmaitych świąt narodowych, jak Trzeci maj, imieniny zmarłego Marszałka, lub rocznica jego zgonu, rocznica odzyskania niepodległości i innych, trzeba wziąć udział, by z ambony Polakom na obczyźnie przypomnieć wielkie chwile naszego narodu i jego wielkich synów, aby przez to zagrzać ich do dalszej wierności dla wiary i ojczyzny, by pozostali tak wiernymi i ofiarnymi dla Boga i ojczyzny, jakimi byli lub są ich współbracia”. (Por. O. Łucjan [Ruszała], *Z niwy misyjnej. W siedzibie Robinsona. Wzlot Seraficki*. R. 2: 1936 nr 7/8, str. 42). Zmarł 30 stycznia 1945 w Tallinie.

Obydwaj opublikowali kilka artykułów o swej pracy misyjnej w następujących czasopismach: *Kiriku Elu*, *Wzlot Seraficki* (Kraków), *Pokój i Dobro* (Kraków).

W tym roku kapucyni polscy obchodzą 300-lecie przybycia do Polski i pracy w naszym kraju. Warto przy tej okazji podkreślić ich wkład w dziedzinie duszpasterstwa katolickiego w Estonii. Szkoda tylko, że nie umieszczono ich w tych ośrodkach, w których znajdowało się najwięcej Polaków jak Tallin i Tartu. Ale i wobec tamtejszej Polonii, mimo odległości, położyli wielkie zasługi.

Jan Ludwik GADACZ
ul. Nowotki 14, 67-100 Nowa Sól.
Polska.

MIŃSK LITEWSKI

W *Kulturze* nr 6/368, 1978 r., na str. 98, ukazał się materiał o sytuacji katolików w Mińsku, w którym jest mowa o „cichym żalu” miejscowych katolików (do abp. Gulbinowicza) w sprawie niewykorzystanej możliwości odprawiania nabożeństw w cerkwi prawosławnej, na co władze miejscowe wyraziły zgodę. Jest to informacja niecisła. Pomysł „koabitacji” katolików i prawosławnych był niebezpieczny z uwagi na bardzo prawdopodobne próby prowokowania waśni wśród wiernych obydwu wyznań. Natomiast w wyniku starań, katolicka ludność otrzymała do użytku dużą kaplicę na miejscowym cmentarzu. 23 listopada 1980 roku, w święto Chrystusa Króla, odbyła się tam pierwsza msza św. Duszpasterzem jest ks. Jan Adamowicz, proboszcz w Krasnym nad Uszą, który dojeżdża do Mińska i pełni wszystkie posługi kapłańskie. Oprócz niego działa tam podobno drugi kapłan polski. Jest to rozwiązanie prowizoryczne. Dalsze starania o uzyskanie odpowiedniego obiektu na własność są w toku. W prasie sowieckiej ukazała się w połowie lata ub. roku notatka o liście katolików z Mińska do Jana Pawła II. W liście tym nakreślona jest sytuacja miejscowych katolików. List podaje cyfrę mieszkańców Mińska na 1,5 miliona, w tym ok. 20 % katolików. Jest to liczba przesadzona: można ją szacować najwyżej na 120 tys. Prasa sowiecka podała ponadto wiadomość, że katolicy mińscy odwołali się do władz republiki Białorusi, motywując swą petycję argumentem, że tak wielka liczba wyznawców ma prawo do własnego kościoła. Fakty te nie stanowią jakiegos przełomu, ale wykazują że stopniowo coś zaczyna się ruszać.

Kronika niemiecka

W wychodzącym w Kolonii renomowanym kwartalniku *Beiträge zur Konfliktforschung* (nr 4/1980) ukazała się zródlowa praca Ody Beckmann pt. *Katyn — Moskau Kampf gegen die historische Wahrheit* (*Katyn: Moskwa walczy z prawdą historyczną*). Pracę uzupełnia osobno wydana chronologia wydarzeń związanych z Katyniem i licząca ponad 200 tytułów bibliografia (w oprac. Ody Beckmann i Haliny Markiewicz). Bibliografię wysłał bezpłatnie *Markus-Verlag*, Hohenzollernring 85/87, Postfach 190308, 500 Köln 1. Warto wymienić również obszerny artykuł Ody Beckmann pt. *Katyn* opublikowany w piśmie *Loyal* (nr 9/1980). Artykuł opatrzonej jest licznymi zdjęciami, m.in. fotografią obelisku wzniesionego ku czci pomordowanych w Katyniu na londyńskim cmentarzu Gunnesbury. ■ Wydawany w Bonn kwartalnik *Kontinent* (niemiecka wersja) opublikował apel paryskiej *Kultury* o udzielanie materialnej pomocy krajowemu *Towarzystwu Kursów Naukowych*. Ten sam apel został ogłoszony w bońskim dzienniku *Die Welt*; *Trybuna Odrzańska*, przytaczając *facsimile* protestuje przeciwko zbieraniu funduszy na jakieś „towarzystwa utrzymujące *Latające uniwersytety*”. ■ Kolońskie wydawnictwo *Kiepenheuer und Witsch* wznowiło niemiecką edycję *Zniewolonego umysłu, Rodzinnej Europy, Doliny Issy* i

Lied vom Weltende (Zbiór wierszy) Czesława Miłosza. ■ W okazałej szacie graficznej wydano w *Hoffmann und Campe Verlag* album Hansa Weniga — *Danzig/Gdańsk. Betrachtung der Stadt in vier Jahrhunderten* (Opis 400 lat historii miasta). Cena 168 marek. ■ Paczkową pomoc dla rodzin w Polsce, znajdujących się w trudnych warunkach materialnych, organizuje pod hasłem *Hilfsaktion Polen — Kolpingsfamilie St. Jakobus* (2000 Hamburg 53, Javelstedter Str. 111). ■ Również organizacja *PAX-Christi* z siedzibą we Frankfurcie (Windmühlenstr. 2), rozpoczęła akcję wysyłania paczek żywnościowych do Polski o wartości 100 marek każda. ■ Polska wywiązała się z umowy; w ostatnich czterech latach zezwolono 130 tys. polskich obywateli niemieckiej narodowości na wyjazd do RFN. Herbert Hupka, poseł do *Bundestagu* z ramienia *CDU* i przewodniczący *Ziomkostwa Ślązaków* podał do wiadomości, że jeszcze ok. 150 tys. etnicznych Niemców pragnie opuścić Polskę i przenieść się do Niemiec Zachodnich. ■ Sytuacja w Polsce była tematem rozmowy przewodniczącego *Niemieckiej Federacji Związków Zawodowych (DGB)* — Oskara Vettera, z szefem *Komunistycznej Partii Węgier*, Janosem Kadarem. Po tej rozmowie Vetter powiedział, że Kadar zgodził się z poglądem, że Polacy muszą sami mieć możliwość rozwiązywania swych problemów. ■ Msgr Juliusz Janusz, bratanek zmarłego przed dwoma laty w Mannheim duszpasterza *Oddziałów Wartowniczych przy US Army*, prałata Juliusza St. Janusza, jest sekretarzem *Nuncjatury Apostolskiej* w Bonn. ■ Redakcja dziennika *Die Welt* ogłosiła Lecha Wałęsę człowiekiem roku 1980. ■ Frankfurcka oficyna *Suhrkamp* wydała w tłumaczeniu Klause Staemmlera książkę Hanny Krall pt. *Schneller als der liebe Gott* (*Zdążyć przed Panem Bogiem*), poświęconą powstaniu w getcie warszawskim. Przedmowę do niemieckiego wydania napisał Willy Brandt. ■ Jan Koprowski, nadworny pisarz *Życia Warszawy* w wywiadzie udzielonym zachodniونيemieckiej telewizji powiedział, że *Blaszany bębenek* Güntera Grassa „wprawdzie nie został wydany w Polsce, ale można było go kupić w polskim tłumaczeniu”... Koprowski za żadne skarby nie chciał ujawnić nazwy wydawnictwa. Pomóżmy: „NOW-a wprawdzie nie istnieje, ale istnieje”... ■ Polska eksportuje do NRD liczniki zużycia prądu w cenie 288 zł za licznik jednofazowy i 666 zł za trójfazowy. Dla potrzeb krajowych centrale handlowe PRL importują dużo gorsze liczniki z Rumunii płaćąc odpowiednio 755 zł i 2.400 zł. ■ *Express Wieszczony*: „Zadłużenie Polski wobec zagranicy w walutach wymienialnych osiągnęło pod koniec bieżącego roku (1980 — przyp. A.J.Ch.) 23 mld dolarów. Sytuację płatniczą złagodziła pomoc krajów socjalistycznych: ZSSR udzielił nam kredytu 1,1 mld dolarów, a NRD — 125 mln dolarów”. Natomiast *Die Welt* dokładnie obliczyła zadłużenie i podała cyfry: 24 mld dolarów plus ubiegłoroczny deficyt handlowy w wysokości 1,7 mld dolarów. ■ Zachodniونيemiecka sekcja katolików świeckich *PAX-Christi* w oświadczeniu wydanym z okazji 10 rocznicy podpisania układu PRL-RFN, skrytykowała *Konferencję Biskupów Niemiec* za uniki stosowane nadal w sprawie granicy na Odrze i Nysie; „ani *Episkopat RFN*, ani *Centralny Komitet Katolików Niemieckich* nie opowiedziały się dotychczas jasno w kluczowej dla Polski sprawie. (...) Mimo, że przytaczająca większość katolików niemieckich stoi na gruncie uznania tej granicy”. ■ Willy Brandt: „Polacy nadstawiają garb a my to głośno i źle komentujemy”. ■ Odnaki *Zastużony dla Kultury Polskiej* otrzymali trzej reprezentanci świata kulturalnego RFN: założyciel i przewodniczący *Towarzystwa Chopinowskiego* w Darmstadt — Maciej Łukaszczyk (w latach 60-tych uzyskał azyl polityczny w Austrii!), artysta-rzeźbiarz z Düsseldorfu — Kurt Sandweg oraz kierownik działu muzyki rozrywkowej *Westdeutscher Rundfunk* w Kolonii — Hilmar Bachor. ■ Polscy konserwatorzy, których brakuje w Krakowie (!), rekonstrują obecnie tarasy parkowe w Poczdamie wokół pałacu *Sanssouci*,

dań Literackich w Warszawie Podręcznik polskiej literatury współczesnej (*Handbuch der polnischen Gegenwartsliteratur*). Projekt ten jest finansowany przez Fundację Volkswagena (165 tys. marek). Wydanie pierwszych dwóch tomów jest już zapewnione; całość zaplanowano na pięć tomów. Specjalistyczna biblioteka Instytutu w Darmstadtzie liczy obecnie ok. 3 tys. tomów (dar Karla Dedeciusa). W ciągu następnych sześciu lat zbiór ma się powiększyć do 10 tys. tomów. ■ *Heimat Breslau* (Wrocław — miasto ojczyste), pod takim tytułem ukazał się w Adam Kraft Verlag w Mannheim dokumentalny album (200 fotografii) opracowany przez Heinricha Trierenberga. ■ W ciągu 7 lat działalności katolicka Fundacja im. Maksymiliana Kolbe (Freiburg/Br.) udzieliła b. kacetowcom w Polsce pomocy materialnej na łączną sumę 11 mln marek. Według informacji zebranych przez Fundację w PRL żyje ok. 70 tys. b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Aktualnie Fundacja wspomaga 4.150 b. kacetowców; dalszych 1.000 podaje się w opracowaniu; miesięczna pomoc na osobę wynosi od 30 do 50 marek. Zasiłek wypłacany jest w Polsce w postaci bonów Pewexu. ■ Zapowiedziane dostawy polskiego węgla do RFN w 1980 roku zostały zrealizowane zaledwie w 80 %, mimo że w ostatnich dwóch latach Republika Federalna dostarczyła do Polski poważne ilości maszyn górniczych. ■ W Polsce przebywał z wizytą przewodniczący kuratorium Fundacji im. Alfreda Kruppa — Berthold Beitz. Przedmiotem rozmów były zagadnienia współpracy naukowej między Fundacją a polskimi placówkami naukowymi dotyczące w szczególności problematyki uszlachetniania węgla oraz podjęcia wspólnych prac badawczych i przedsięwzięć organizacyjnych w tym zakresie. ■ Nadwyżki EWG (30 tys. ton masła, 50 tys. ton cukru, 35 tys. ton wieprzowiny, 15 tys. ton wołowiny, 600 ton oliwy, 100 tys. ton jęczmienia, 100 tys. ton żyta i 25 tys. ton ryżu) dotarły zaledwie w drobnej części do Polski; PRL wstrzymała zakup ponieważ okazało się, że wymienione produkty (wysoko subwencjonowane) są sprzedawane do Związku Sowieckiego po dużo niższych cenach. Postawie z ramienia CDU/CSU w Parlamencie Europejskim mówią o „beprzykładnym skandalu i bezdusznej biurokracji panoszącej się w Brukseli”. ■ W ostatnich latach osiedliło się w RFN ok. 9 tys. uchodźców z Polski. Trwają obecnie pierwsze próby zrzeszania się (stary Związek Polskich Uchodźców istnieje tylko na papierze); w Stuttgarcie powstał Klub Kulturalno-Społeczny, któremu przewodniczy Tadeusz Leń; w Monachium rozwija działalność organizacja pn. *Solidarność Wolnych Polaków w Bawarii*. Przewodniczącym jest b. kapitan Marynarki Wojennej PRL — Janusz Urbanowicz.

Andrzej J. CHILECKI

Sprawy i troski

Szable Marszałka Piłsudskiego

Korzystam z gościnności *Kultury* i jej Redaktora, by wystąpić pod adresem Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Chicago z wnioskiem o zwrot szabel Józefa Piłsudskiego córkom Marszałka, które są jedynymi jego spadkobierczyniami i bezspornymi właścicielkami. Czynie to publicznie, bo wysunięcie tej propozycji przez Wandę Piłsudską w prywatnej rozmowie z prezesem Zjednoczenia i prawnym doradcą nie przyniosło niestety rozwiązania tej bardzo przykłej sprawy, ciągnącej się już od blisko 10 lat.

Proponuję także, by aktowi zwrotu tej pamiątki nadać formę uroczystości publicznej. Po pierwsze byłaby to sposobność uczczenia dominującej postaci historycznej naszych czasów. Po drugie uroczystość taka pozwoliłaby zwrócić uwagę na działalność i zasługi ważnej placówki, jaką jest Polskie Muzeum w Chicago i jego stoletniego patrona Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego. Uroczystość taka powinna być transmitowana przez RWE i Głos Ameryki na Polskę, gdzie osoba Piłsudskiego budzi rosnące zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodego pokolenia.

Alternatywą takiego zakończenia sprawy stanie się widowisko, które okryje wstydem nie tylko Polonię, ale nas wszystkich. Będzie nią sprawa sądowa o przywłaszczenie i związany z nią nieunikniony rozgłos w zachodnich środkach przekazu, tym większy, że w roli pozwanego wystąpiłaby jedna z trzech największych organizacji polonijnych przez swą nazwę związana z Kościołem katolickim. Historia tych szabel zaczyna się w drugą rocznicę wymarszu pierwszej kadrowej, 6 sierpnia 1916 roku we wsi Piaseczno. Po Mszy świętej i po rozdaniu przez Piłsudskiego żołnierzom 1 Brygady ustanowionej w tym dniu odznaki „Za wierną służbę”, szef sztabu ppłk Sosnkowski wręczył Komendantowi w imieniu wszystkich oficerów szablę honorową

z wrytym napisem: „6 VIII 1914 - 6 VIII 1916 oficerowie 1 Brygady Swemu Komendantowi”.

W niespełna rok później Piłsudski został aresztowany przez Niemców i osadzony najprzód w celi więzienia w Spandau a później w Magdeburgu. Wyrwany został nagle z wartkiego nurtu wypadków wojennych i niezwykle czynnego życia. Jak sam później pisał: „Dla ludzi tak skrupulatnie izolowanych, jak ja byłem odcięty od świata w Magdeburgu, życie staje się nie do zniesienia”. (Z przedmowy do „Moich pierwszych bojów”, cyt. na podstawie W. Jędrzejewicz, *Kronika życia J. Piłsudskiego*, T. I, str. 372). W listach do Aleksandry Szczerbińskiej wspomina kilkakrotnie, że czuje się źle i obawia się poważnej choroby. Niepokoi się, że może życie będzie musiał zacząć od kuracji zanim stanie się zdolny do solidnej pracy. Miał wtedy pięćdziesiąt jeden lat. Nie przeczuwał, że w pół roku później zamiast kuracji czeka go okres nadludzkich wysiłków, w którym wykaże nieprawdopodobny zasób sił i energii. Ogarnęły go natomiast inne przeżycia. W liście z 24 kwietnia 1918 roku pisze do Aleksandry: „W ostatnich czasach z powodu bólów serca mam na myśli możliwość nagłej śmierci przed wyjściem z więzienia. Ostatnie moje myśli pewnie będą z Tobą, moja droga i z córką. Ale przede wszystkim chcę zostawić swoje ostatnie życzenia, dotyczące się córki”.

List ten poza notatką skreśloną w ostatnich dniach życia, w której wyraża życzenie, by jego serce złożone zostało obok grobów żołnierskich w Wilnie, jest jedynym zachowanym testamentem Marszałka. Zawiera drobne zlecenia w sprawie wyznaczenia opiekunów dla dziecka w osobie brata, Jana Piłsudskiego i płk. Edwarda Rydza. Córka Wanda urodziła się 7 lutego 1918 roku w sześć miesięcy po aresztowaniu Piłsudskiego). Po czym następuje zdanie: „Do córki a zatem i do ciebie ma należeć moja pamiątkowa szabla, ofiarowana mi przez oficerów mojej Brygady, 6 sierpnia 1916 roku i złoty zegarek, który mam przy sobie ofiarowany mi przez tychże oficerów na imieniny 1915 roku”.

Człowiek, który w pół roku później został Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem nie miał innego majątku prócz tej szabli i złotego zegarka. Jedną z właściwości jego charakteru było zupełne lekceważenie materialnej strony życia. W późniejszych latach legionową szablę traktował Piłsudski jako pamiątkę. Nosił do końca inną szablę, na której trawiony był jego monogram i herb.

Obie te pamiątkowe szable, największe osobiste pamiątki po Marszałku wraz z siedmiu innymi, ofiarowanymi Piłsudskiemu przy różnych okazjach, i dwoma puginami — znajdują się dziś w posiadaniu Muzeum Polskiego w Chicago. W październiku ub. roku Wanda Piłsudska udała się z Anglii do Chicago, by upomnieć się o swoją własność. Zaraz na wstępie spotkała się z odmową udzieloną w takiej formie, że nie zdołała pokazać owego listu-testamentu z Magdeburga i innych dokumentów.

Droga, którą szable Piłsudskiego zawędrowały z Belwederu na Millwaukee Avenue w Chicago była długa, niebezpieczna i dramatyczna.

Jeszcze za życia Marszałka na górnych piętrach Belwederu powstało coś w rodzaju prywatnego muzeum. Składano tam przeważnie prezenty, które Piłsudski otrzymywał z całego kraju na imieniny i przy innych okazjach. Po jego śmierci wdowa i obie córki przeniosły się do prywatnego mieszkania na Kłonowej, zabierając ze sobą tylko przedmioty osobistego użytku. Wszystko inne nie wyłączając najbardziej osobistych pamiątek po Piłsudskim — pozostało w Belwederze.

W dn. 4 stycznia 1936 roku prezydent Mościcki wydał dekret o „Utworzeniu muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze”. Zadaniem muzeum miało być „gromadzenie i przechowanie po wieczne czasy pamiątek związanych z osobą Józefa Piłsudskiego”.

Utworzenie muzeum nastąpiło za zgodą marszałkowej Piłsudskiej, która decyzję Prezydenta przyjęła z ulgą, bo ani przechowywanie licznych pamiątek w prywatnym mieszkaniu ani wystawienie ich na widok publiczny nie leżało w granicach jej możliwości. Całe skrzydło Belwederu, które stanowiło prywatne mieszkanie Piłsudskiego i jego rodziny pozostawione zostało w stanie nienaruszonym i udostępnione zwiedzającym. Nie było żadnego aktu przekazania muzeum przedmiotów stanowiących bezsporną własność spadkobierczyń. Jak stwierdza żyjący dziś naoczny świadek, córka kustosa muzeum śp. płk. Adama Borkiewicza — p. Anna Borkiewicz Celińska, szable Piłsudskiego oznaczone były w inwentarzu jako depozyt.

„Wieczyste czasy” trwały zaledwie trzy lata. W pierwszych dniach wojny płk Borkiewicz został zmobilizowany. W ogólnej zawierusze znaleźli się jednak ludzie, którzy pomyśleli o ocaleniu pamiątek po Piłsudskim. Do wielkiej, brunatnej walizy włożono marszałkowski mundur, buławę, ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej znad Łódki, ów złoty zegarek wspomniany w liście z Magdeburga, binokle w srebrnym futerale i srebrną papierosnicę, w której pozostało 13 papierosów oraz kilkadziesiąt innych przedmiotów. Szable i puginy włożono do worka a korespondencję i rękopisy, brownning z czasów Organizacji Bojowej, rewolwer, który Piłsudski nosił przy sobie i mauser z 1905 roku do czarnej walizki. Wszystko razem pod eskortą wachmistrza Władysława Kozery i chorążego Walentego Wójcika, działających z upoważnienia gen. J. Głuchowskiego wywiezione zostało z Belwederu i dotarło szczęśliwie do poselstwa RP w Bukareszcie.

W miarę narastania nacisków niemieckich sytuacja poselstwa w Rumunii stawała się z każdym dniem bardziej niebezpieczna. Przekazanie pamiątek pod konwojem do Paryża okazało się niemożliwe. Postanowiono je rozdzielić. Adam Tarnowski, poseł RP w Bułgarii przybył do Bukaresztu i podjął się przewiezienia dwóch walizek do Sofii pod osłoną swego immunitetu dyplomatycznego i w towarzystwie wachmistrza Kozery jako konwojenta. Z Sofii obie walizki w dn. 19 marca 1940 roku dotarły bezpiecznie.

nie do Pignerolles pod Angers, przewiezione tam przez mjr. Antoniego Miszewskiego i ppłk. inż. Leopolda Torunia. Natomiast duże pakiety z szablami dzięki niezwyklej życzliwości gen. Faury, attaché francuskiego w Warszawie przewiózł do Paryża francuski oficer, kpt. de Winter.

Prezydent Raczkiewicz za zgodą właścicielki — marszałkowej Piłsudskiej przebywającej już z córkami w Anglii — przekazał szable jako depozyt Bibliotece Polskiej w Paryżu. Nastąpiło to 28 października 1939 roku z zachowaniem wszystkich formalności wraz z dokładnym spisem szabel i puginatów. Na końcu wymienione są dwie pozycje: „szabla legionowa, klinga damasceńska z napisem: „6 VIII 1914-6 VIII 1916, oficerowie 1 Brygady swemu Komendantowi”. „Rękojeść srebrna z jaszczurem, temblak srebrny” oraz „Szabla osobista z rapcami. Ostatnio noszona. Klinga trawiona i czerniona z herbem Piłsudskiego, jego monogramem z napisem: 'Fabrica de Toledo'. Rękojeść brąz złożony, temblak złoty”.

Wszystkie inne pamiątki, które dotarły później do Pignerolles zostały, zgodnie z życzeniem marszałkowej Piłsudskiej, przekazane przez prezydenta Raczkiewicza do Anglii tuż przed upadkiem Francji i znalazły się w posiadaniu wdowy i córek Marszałka. Dzięki pośrednictwu Jana Jundziłły Balińskiego złożone zostały jako depozyt w Royal Institute of International Affairs, w Lloyds Banku i w Muzeum of Natural Science w Londynie.

Losy szabel potoczyły się inaczej. Raz jeszcze po zdobyciu Paryża przez Niemców trzeba je było w pośpiechu ratować. Przechowywane były i z wielkim ryzykiem kilkakrotnie przenoszone z miejsca na miejsce przez dyrektora Biblioteki — Franciszka Pułaskiego, kustosza Czesława Chowańca i ks. Jakubisiaka. Przez pewien czas ukrywane były w podziemiach muzeum Carnavallet w Paryżu. Po wyzwoleniu Paryża i doprowadzeniu zdemolowanego budynku na Quai d'Orléans do stanu użytkowości wróciły szczęśliwie do Biblioteki Polskiej w dn. 21 listopada 1944 roku.

Niestety niebezpieczeństwo zagrażające szablom Piłsudskiego nie ustało w dniu zwycięstwa nad Niemcami. Po zbioru Biblioteki Polskiej wyciągnął rękę reżym warszawski. Zdawało się w roku 1947, że władze PRL są bliskie swego celu. Sędziwy dyrektor Biblioteki Franciszek Pułaski w trosce o uratowanie historycznej pamiątki w pośpiechu zawiózł osobiście szable do Chicago i w dn. 17 stycznia 1947 roku w czasie VII Zjazdu ZPRK złożył je uroczyście jako depozyt na ręce prezesa Józefa L. Kani i kustosza muzeum Mieczysława Haimana. Obaj podpisali pokwitowanie, które ma kluczowe znaczenie w obecnym sporze. Odbiorcy na samym wstępie wyraźnie stwierdzają: „Niniejszym potwierdzamy, że w dniu dzisiejszym otrzymaliśmy od p. Franciszka Pułaskiego, Dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, 9 szabel i dwa puginaty Marszałka Józefa Piłsudskiego, dawniej przechowywane w Muzeum Belwederskim, jako depozyt, a mianowicie: (następuje wyliczenie szabel przyjętych w depozyt)”.

Decyzja Pułaskiego, powzięta w pośpiechu, została *ex post*

aprobowana przez Aleksandrę Piłsudską. Zachował się jej list do Pułaskiego, w którym pisze: „Najserdeczniej dziękuję Panu za przechowywanie szabel mego męża w czasie okupacji niemieckiej... Cieszę się bardzo, że obecnie — zawdzięczając Panu — znajdują się w bezpiecznym miejscu i pod właściwą opieką”. Ani A. Piłsudska ani Biblioteka Polska nie przeczuwali, że Muzeum odmówi w przyszłości zwrotu pamiątek powierzonych z całym zaufaniem znanej i zasłużonej placówce Polonii Amerykańskiej.

Nie było natomiast po wojnie żadnych trudności z odzyskaniem innych pamiątek zdeponowanych w obcych instytucjach: Chatham House i Museum of National Science. Anglicy, niezwykle wyczuleni na prawne aspekty każdej sprawy nie mieli żadnych wątpliwości, do kogo te przedmioty należą.

Spadkobierczyni Piłsudskiego przez długi czas nie upominała się o zwrot swej własności zdeponowanej w Chicago. Pani Aleksandra ze starszą córką mieszkały w dwóch pokojach w Edynburgu, żyjąc ze skromnych oszczędności. Wanda kończyła medycynę mając stypendium 12 funtów miesięcznie. Młodsza córka, Jadwiga, po wyjściu za mąż za por. marynarki Jaraczewskiego zaczynała dopiero pracę jako architekt. W tych warunkach przechowanie i wystawienie szabel na widok publiczny w polskim Muzeum stanowiło doskonałe prowizorium.

Po śmierci matki Wanda i Jadwiga przeprowadziwszy formalne postępowanie spadkowe zdecydowały wszystkie pamiątki po ojcu zebrać razem, by móc wystawić je na widok publiczny w jednym z dwóch Instytutów im. Piłsudskiego działających w Londynie i w Nowym Jorku. Zapewne na ich prośbę książę Andrzej Poniatowski — gdy tylko sytuacja prawna Biblioteki Polskiej została wyjaśniona — postanowił upomnieć się o zwrot depozytu. Z jego upoważnienia występował p. Wiesław Domaniewski, delegat Biblioteki Polskiej w Stanach Zjednoczonych. W rozmowie z ówczesnym prezesem Zjednoczenia w dn. 21 stycznia 1971 roku Domaniewski po raz pierwszy zwrócił się z prośbą o zwrot szabel.

Reakcja była zaskakująca. Okazało się, że nieżyjący już wtedy Mieczysław Haiman wkrótce po przyjęciu depozytu sporządził dwie notatki. Jedna z nich w języku angielskim datowana 23 lipca 1947 ma brzmienie następujące: „Dokumenty dotyczące szabel Piłsudskiego złożone anonimowo w archiwum i Muzeum Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w 1947 r. Zgodnie z wolą depozytora niniejsza koperta NIE MOŻE BYĆ OTWARTA przed 1 stycznia 1972 r.”.

Zapieczerowane moją ręką 23 lipca 1947 r.”.

Podpis: M. Haiman.

Jak wiadomo szable złożone były pół roku przedtem wcale nie anonimowo lecz publicznie na VII zjeździe Zjednoczenia przez Franciszka Pułaskiego. Podpis jego nie figuruje obok nazwiska Haimana i nic nie wiadomo, by dyrektor Biblioteki Polskiej zgłosił podobne żądanie. Jednakże władze ZPRK i dyrek-

cja Muzeum stanęły na stanowisku, że nie mogą niczego postanowić przed otwarciem tajemniczej koperty. Cóż można było zrobić innego jak czekać.

Koperta została otwarta w Chicago 13 marca 1972 roku. Zawiązała w środku wspomniane już pokwitowanie odbioru depozytu, list Franciszka Pułaskiego z 17 stycznia 1947 wyraźnie stwierdzający, że składa do depozytu 9 szabel i 2 pugiwały należące niegdyś do Marszałka Piłsudskiego a stanowiące własność Muzeum Belwederskiego. To ostatnie stwierdzenie było oczywistym błędem. Ani słowa o przechowywaniu dokumentów w zapieczętowanej kopercie do 1972 roku. Najbardziej jednak zdumiewa znaleziona w kopercie notatka sporządzona ręką Haimana w dniu, w którym odebrał szable z rąk Pułaskiego a więc 17 stycznia 1947 roku.

„W dniu dzisiejszym p. Franciszek Pułaski, Dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu przekazał mi 9 szabel i 2 pugiwały Marszałka Józefa Piłsudskiego jako depozyt. Pochodzą one z Muzeum Belwederskiego. P. Pułaski przekazał mi też następującą historię uratowania tych pamiątek:

Z końcem roku 1939 przywiózł je do Biblioteki Polskiej pewien mężczyzna, którego tożsamości p. Pułaski już nie pamiętał. Zdaje mu się jednak iż był to jeden z żandarmów z przybocznej straży Marszałka. Prosił on o przechowanie szabel. Kiedy część zbiorów Biblioteki musiała być ewakuowana z Paryża z powodu postępu Niemców szable te p. Pułaski przewiózł na południe Francji i w miarę rozwoju wypadków przenosił je z miejsca na miejsce. Przez jakiś czas były one w prywatnych mieszkaniach p. Chowańca pracownika Biblioteki i x. Jakubisiaka, kiedy po ustąpieniu Niemców Dyr. Pułaski obawiał się najeścia policji francuskiej i urzędników ambasady rządu warszawskiego.

Z końcem roku 1946 Dyr. Pułaski przewiózł szable do Stanów Zjednoczonych. Fakty powyższe przekazuję dla potomności.

Mieczysław Haiman

Kustosż Archiwum i Muzeum ZPRK
17 stycznia 1947”.

Jaskrawe rozbieżności między notatką i faktami można tłumaczyć albo brakiem pamięci Pułaskiego albo też zapisać na karb złego zdrowia Haimana. Zasłużony historyk Polonii i współtwórca Muzeum był już człowiekiem chorym. Zmarł w dwa lata później.

W. Domaniewski czekać musiał jeszcze przez rok zanim otrzymał w końcu na piśmie odmowę zwrotu depozytu Bibliotece Polskiej popartą takim oto orzeczeniem radcy prawnego Zjednoczenia p. E. M. Kozy.

„Opinia w sprawie statusu prawnego szabel Piłsudskiego.

Zapoznałem się ze 'sprawą szabel Piłsudskiego' i nie sądzę, aby należało oddawać te szable Muzeum w Paryżu albo w Londynie jak tego domaga się Biblioteka Polska w Paryżu. Moim zdaniem owe 'szable Piłsudskiego' złożone zostały w depozyt przez przedstawicieli (*by the agents*) 'Muzeum Belwederskiego w Warszawie — Polska'. Wiedząc kim jest naprawdę właściciel wspomnianych szabel nie powinniśmy ich oddawać nikomu poza prawdziwym właścicielem na podstawie odpowiednio zrehabilitowanego żądania.

W moim przekonaniu 'szabel Piłsudskiego' nie należy oddawać.

Przedkłada z szacunkiem.

Edward M. Koza, Generalny Radca Prawny.

7 czerwiec 1972”.

Gdyby E. M. Koza radca prawny Zjednoczenia zapoznał się z tekstem dekretu Prezydenta RP z 4 stycznia 1936 — dowiedziałby się, że „Muzeum Belwederskie” nigdy nie istniało. Powołane zostało natomiast „Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze”, które przestało istnieć w chwili zajęcia Warszawy przez Niemców. W pałacu belwederskim nie ma dziś wystawionych na widok publiczny pamiątek po Piłsudskim a wszelkie ślady jego obecności w Belwederze zostały starannie zatarte. Belweder na zasadzie doktryny Breżniewa jest dziś siedzibą Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa, który pełni swe funkcje nie z wyboru ludności lecz z woli Kremla. Tylko postawie społeczeństwa zawdzięczać należy, że reżym komunistyczny w Polsce nie ośmiela się usunąć trumny Marszałka z Wawelskiej „Krypty Srebrnych Dzwonów”. Zwycięski wódz w wojnie z Rosją traktowany jest przez obecne władze jako wróg. Do niedawna milicja zdierała z bram kościelnych klepsydry zapowiadające nabożeństwa żałobne za jego duszę. Pismo p. Kozy można rozumieć jako groźbę: jeśli będziecie nadal nalegali na zwrot szabel — zwrócimy je ale do Warszawy. Byłoby to jaskrawym pogwałceniem woli depozytora: Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej, które po to właśnie z całym zaangażowaniem złożyły cenne pamiątki w Muzeum w Chicago, aby zabezpieczyć je przed groźbą zagarnięcia ich przez reżym w Warszawie.

Od czasu listu p. Kozy sprawa szabel raz jeszcze wypląnęła na powierzchnię, gdy nowojorski *Nowy Dziennik* podniósł w roku 1976 alarm, że szable rdzewieją i niszczeją na skutek braku należytej konserwacji. Zebrano na poczekaniu sumę dolarów 600 na ich odnowienie. Podjął się tego zadania i wykonał je bezinteresownie miłośnik i kolekcjoner polskich militariów Wincenty Gawron.

Ostatnim aktem była wizyta w Muzeum w dn. 20 października ub. roku Wandy Piłsudskiej. Córka Marszałka wystąpiła w charakterze pełnomocniczki Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej w Paryżu. List domagający się stanowczo zwrotu depozytu i wydania wszystkich 9 szabel i dwóch pugiwałów p. Piłsudskiej podpisany był przez dr. Jerzego Monda, Sekretarza Generalnego THL i inż. Józefa Handelsmana, Dyrektora Biblioteki Polskiej.

Wobec istnienia listu marszałkowej Piłsudskiej z dn. 2. VI. 1951, w którym błędnie zresztą pisze ona, że „dwie tylko szable są własnością moich dzieci, inne są własnością muzeum (w Belwederze)” Wanda Piłsudska prosiła, by zwrócono jej przynajmniej te dwie osobiste szable jej ojca. Nic nie pomogło. Piłsudskiej towarzyszył w charakterze świadka Zbigniew Marquart.

Związek i Muzeum reprezentowali: Prezes Drobot i radca prawny p. Dykła. Rozmowa trwała zaledwie kilkanaście minut.

Przytaczając fakty i dokumenty rozmyślnie powstrzymałem się od komentarza. Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w ciągu swego stuletniego żywota położyło ogromne zasługi dla utrzymania polskości kilku pokoleń urodzonych i wychowanych w Ameryce. Jednym z największych osiągnięć Zjednoczenia było utworzenie w roku 1935 polskiego Muzeum. Było ono często przedmiotem krytyk, które wydały mi się niesprawiedliwe, gdy przed laty oglądałem je po raz pierwszy. Dzięki nieustrudzonym wysiłkom Kani i Haimana zebrana została pomimo żałośnie małych środków poważna kolekcja, która obejmuje m.in. największy na świecie zbiór 73 listów Kościuszki, największy zbiór pamiętek po Paderewskim, listy Paderewskiego, Modrzejewskiej, Sienkiewicza, Mickiewicza i Krąszewskiego, kostiumy teatralne Modrzejewskiej, zbiór polskich strojów ludowych, bibliotekę i sporą galerię obrazów, w której znajdują się m.in. znane płótna Grottgera, Wyspiańskiego, Rosena i obu Kossaków. W czasie wojny wzbogaciły Muzeum ekspozyty na niedoszłą nowojorską wystawę światową przekazane Muzeum na własność przez rząd RP. Ekspozyty z prywatnych zbiorów zostały przez Muzeum skrupulatnie zwrócone. Od roku 1970, gdy kustoszem został Tadeusz Świągół, są nowe nabytki i kolekcja powoli się rozszerza.

Nie trzeba być prawnikiem, by po zapoznaniu się z pełną dokumentacją dojść do wniosku, że każdy sąd na świecie wyda w tej sprawie wyrok nakazujący zwrot depozytu. Czy ma się to stać dopiero pod sądowym przymusem? Instytucja, która powstała z ofiarności publicznej może rozwijać się tylko w atmosferze powszechnej życzliwości, unikając kontrowersji i złego rozgłosu.

Córki Marszałka Piłsudskiego zdając sobie z tego sprawę traktują możliwość wytoczenia procesu jako ostateczność. Ponieważ chodzi o organizację występującą pod szyldem katolickim (Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce pod Opieką Boskiego Serca Jezusa) a kustoszem Muzeum jest katolicki kapłan ks. Donald Biliński — Wanda i Jadwiga pragną zwrócić się z apelem do Jana Pawła II i prosić władze kościelne o pośrednictwo.

Zabierając głos w tej sprawie mam w tym swój osobisty motyw. Nie byłem Piłsudczykiem, nie należałem do Legionu Młodych, do rządów sanacyjnych miałem stosunek krytyczny. Przy różnych okazjach dawałem ostatnio wyraz przekonaniu, że dwóch antagonistów — Piłsudskiego i Dmowskiego — dzieliło wszystko prócz żarliwej miłości Ojczyzny. Wspólnota celów sprawiła, że choć podążali do niego innymi drogami — ich wysiłki, pozornie sprzeczne, uzupełniając się wzajemnie — przyniosły wspólny owoc. Lecz dokonania Piłsudskiego w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości są jego niepodzielną zasługą. W miarę upływu lat i zagłębiania się w historię czasów mego życia widziałem coraz jaśniej, że gdyby nie olbrzymi trud włożony przez

Piłsudskiego w zorganizowanie państwa i gdyby nie jego zwycięstwo w 1920 roku wychowywałbym się w komsomole na sowieckiego człowieka. Piłsudskiemu zawdzięczam 21 bezcennych lat w niepodległej Polsce. Ten artykuł, pisany w obronę jego ostatniej woli przekazanej z magdeburskiej twierdzy, traktuję jako symboliczną spłatę osobistego długu.

I jeszcze jedno. W moim pokoleniu każde dziecko wiedziało, że w pałacu belwederskim wychowują się dwie małe dziewczynki Wanda i Jagoda. Czasem widywało się ich zdjęcia w prasie lecz rówieśnikom wydawały się dalekie i niedostępne. Poznałem je obie w czasie wojennej wyprawy do Londynu i byłem zaskoczony ujmującą skromnością córek wielkiego człowieka. Po ludzku biorąc mogło im dawno przewrócić się w głowie. Nie usiłują budować własnego prestiżu na sławie swego ojca a wspomnienia o nim traktują jako sprawę bardzo osobistą i intymną. Żyją w cieniu unikając rozgłosu. Ta postawa budzi szacunek. Córki Marszałka Piłsudskiego zasługują na to, by w tym niewymownie przykrym sporze spotkały się z pełnym poparciem Polonii Amerykańskiej i całej polskiej opinii a w razie, gdyby doszło do ostateczności z pomocą w odzyskaniu swojej spuścizny na drodze prawnej.

Jan NOWAK

Niestety nie jest to pierwszy wypadek podobnego traktowania depozytów przez czołowe organizacje polonijne. W swoim czasie głośna była sprawa jachtu „Dal” Andrzeja Bohomolca, o czym pisaliśmy w *Kulturze* w 1973 roku. *Redakcja*.

Z Nowego Jorku, poza cenzurą

Historia „malin” Stanisława Głąbińskiego

Świat jest pełen niespodzianek. Nie wyobrażałem sobie, że nadejdzie dzień w którym z czytelnikami moich felietonów pt. „Rozmaitości Nowojorskie” przyjdzie mi się żegnać poprzez *Kulturę*.

Od sześciu prawie lat, z jedną kilkumiesięczną przerwą, pisałem je dla wychodzącego w Nowym Jorku *Nowego Dziennika*, dziedzica tradycji Nowego Świata. Sygnowałem je pseudonimem Bob. By brzmiało bardziej intrygująco.

Moja *freelanc'owska* współpraca z *Nowym Dziennikiem* skończyła się 12 stycznia w sposób dla mnie zupełnie nieoczekiwany. W poniedziałki zwykłem był przynosić moje artykuły do redakcji na numer wtorkowy. Poniedziałek 12 stycznia 1981 roku róż-

nił się od innych poniedziałków. Jeden z członków zespołu *Nowego Dziennika* powitał mnie oświadczeniem, że po ustąpieniu pani Ewy Czarneckiej funkcje *executive editora* objął p. Wojciech Dymitrow. Jemu więc mam oddać mój felieton, bo jak mnie poinformowano, wydawca i redaktor naczelny p. Bolesław Wierzbiański udał się do Waszyngtonu.

Przedstawiono mi p. Dymitrowa, o którego związkach z *Życiem Warszawy* dowiedziałem się od jego byłej koleżanki, pani Ewy Czarneckiej. Określiła go jako dobrego kolegę. Zacząłem więc rozmowę z p. Dymitrowem od kurtuazji: „Słyszałem bardzo dobrze o Panu”.

Na tych kilku słowach skończył się wersal między nami. Był jednostronny. Zanim p. Dymitrow zakończył lekturę mego felietonu nie miałem żadnej wątpliwości, że bardzo krytyczna ocena działalności dziennikarskiej „mini-Krasickiego” w Waszyngtonie, w osobie korespondenta PAP, p. Stanisława Głabińskiego, mu nie odpowiada. Stwierdziłem, że ołówek zatrzymał się po raz pierwszy na szóstym akapicie pierwszej strony.

Co to znaczy, że Głabiński „fasował maliny”? Dlaczego wprowadzam wojskową terminologię? Tonem jeszcze ciągle pojednawczym odpowiedziałem, że słownictwo żołnierskie wyniosłem z Drugiego Korpusu. Uciekając się do niego, pragnąłem podkreślić niezwykły talent p. Stanisława Głabińskiego do akumulowania najbardziej smakowitych „malin dziennikarskich”: po *job'ie* w United Nations w Nowym Jorku stanowisko korespondenta PAP w Waszyngtonie. Po wyrazie twarzy mojego rozmówcy, który od pierwszej chwili zachowywał się obcesowo, widziałem że go nie przekonałem. Ołówek nie ruszał się z „malin”.

Zaproponowałem cudzysłów. Bez skutku. P. Dymitrow powiedział, że nigdy nie słyszał o „fasowaniu malin”. Języka tak się nie kaleczy w *Życiu Warszawy*. Szwankuje też moja ortografia, dodał. Na takie dictum zrezygnowałem więc z pojednawczego tonu i stanowczo oświadczyłem, że korzystam w *Nowym Dzienniku* z przywileju: moje felietony idą do druku tak jak je oddaję. Bez zmian stylistycznych i merytorycznych. Ponośzę całą odpowiedzialność za „fasowane maliny”.

Na tę notę werbalną p. Dymitrow odpowiedział rzucając mi felieton przez stół. Gestem: nie mamy o czym więcej mówić.

Działając w przeświadczeniu, że jego decyzja zostanie unieważniona w trakcie dnia przez p. Wierzbiańskiego komunikującego się telefonicznie z redakcją, zostawiłem artykuł w rękach sekretarza redakcji. A kiedy późnym popołudniem dowiedziałem się, że nie idzie do numeru, wróciłem po rękopis do redakcji i na tym zamknęła się moja współpraca z *Nowym Dziennikiem*.

Redaktor Wierzbiański mógł całą sprawę załatwić unilateralnie puszczając felieton następnego dnia, dezawuuując z jednej strony p. Dymitrowa, z drugiej stawiając mnie w sytuacji „zrobił wiele hałasu o nic”. Redaktor Wierzbiański zatelefonował do mnie dopiero po 9 dniach. Zapraszał mnie do wznowienia współpracy. Nie było mowy o wydrukowaniu felietonu. W listach do

osób trzecich interweniujących w tej sprawie wyrażał gotowość opublikowania go po wprowadzeniu „małej poprawki” natury biograficznej o panu Głabińskim. W rozmowie ze mną, powtarzam — nie było o tym mowy. Tłumaczył postępowanie p. Dymitrowa tym „że nie wiedział kim ja jestem”. To samo powiedział mi kilka dni przedtem wiceprezes *Nowego Dziennika* p. Bolesław Łaszewski.

Pragnę stwierdzić, że w mojej długiej karierze dziennikarskiej od Warszawy, poprzez Drugi Korpus, Buenos Aires i teraz Nowy Jork, nie spotkałem się nigdy z taką impertynencją. W polskim dziennikarstwie, w którym się wychowałem, zwykle panowały dyscyplina, hierarchia i dobre formy. Przekraczając próg „pokoju sztabowego” *Expressu* stawałem prawie na baczność przed Bolesławem Henslem czy Janem Wielowieyskim. A oni nas — „narybek” — traktowali per „panie kolego”.

Moja praca w *Orle Białym*, *Dzienniku Żołnierza* pod Ludwikiem Rublem, później w charakterze korespondenta wojennego Polskiej Agencji Telegraficznej przebiegała zawsze w atmosferze tej tradycji z której jestem bardzo dumny.

Niektórzy — podobnie jak red. Wierzbiański — starają się tłumaczyć postępowanie p. Dymitrowa tym, że nie wiedział on kim jestem. Tak jak gdyby nieznanego można traktować po chamsku.

Moim zdaniem reakcja p. Dymitrowa na mój felieton uderzyła w klawisz znacznie głębszego zagadnienia.

Wydaje mi się, że mój felieton o Stanisławie Głabińskim, wymieniający Horodyńskiego, Ignacego Krasickiego i demaskujący haniebne kłamstwa korespondenta PAP w Waszyngtonie, trafił we wszystkie głęboko zakorzenione nawyki, nałogi i przyzwyczajenia dziennikarza wychowanego na *Życiu Warszawy*. P. Dymitrow jeszcze ciągle jest w kleszczach dialektyki. Na tym polega znamienność sprawy. Niemożliwością jest przeszczepienie bez kwarantanny dziennikarza z *Życia Warszawy* do dziennika polonijnego o innych tradycjach. Zanim się go zostawia na „gospodarstwie”, choćby na godzinę, powinien on przejść okres tego co się nazywa po angielsku *decompression* — odtajania. I jego *entry* do dziennikarstwa niezależnego musi się odbywać w duchu szacunku do tych, którzy od 1945 roku nie „fasują malin”.

A teraz zapraszam Czytelników do lektury ostatniego felietonu Boba.

Zdzisław BAU

ROZMAITOŚCI NOWOJORSKIE

(KIEDY KRAŃCOWOŚCI SIĘ STYKAJĄ: DZIENNIKARSTWO
I OCZYSZCZENIE MIASTA

Prasie krajowej (oficjalnej) daleko jeszcze do tego co cieszy, ale przyznaje, że w porównaniu z tym co było przed Odnową,

różnica jak między dniem i nocą. Najlepszym dowodem zmiany na lepsze jest to, że Polacy znowu czytają gazety. Do czego ich używali przedtem, wszyscy wiemy. Ale wolnego, nie krzyczymy hop, nie wszyscy nasi koledzy po fachu przeskoczyli rów dzielący ich od dziennikarstwa rzetelnego. Nie brak maruderów, na których długoletni nawyk podbijania partyjnych bębenków i mowy trawy na zamówienie wpływa hamująco.

Urok sygnetu

Skoncentruję się na jednym z nich, niepoprawnym recydywiście w tej dziedzinie, Stanisławie Głabińskim, korespondencie Polskiej Agencji Prasowej w stołecznym Waszyngtonie. Fakt, że przez tak długie lata prosperuje na niwie dziennikarskiej, i że „fasuje maliny” (po Nowym Jorku Waszyngton) wynika ze snobizmów na partyjnym Olimpie. Głabiński zajeżdża ich swoją genealogią i zupełnie baranieją. Na tej samej zasadzie ślizgają się Krasicki i Horodyński. A kiedyś także Krzysztof Radziwiłł — w dyplomacji. Ale między Krasickim, Horodyńskim i Głabińskim jest dostrzegalna gołym okiem różnica.

Hrabia K i półhrabia H naginają fakty do kolejnych tez i dogmatów, do czego niezbędna jest pewna intelektualna wyobraźnia. Czasami zdarza się, że wybiegają naprzód, ale to już sprawa nie sygnetu ale indywidualnej wazeliny w gaźniku.

Natomiast Stanisław Głabiński spokrewniony z senatorem i wielokrotnym ministrem Stanisławem Głabińskim (1862-1943) specjalizuje się w wymyślaniu faktów kiedy czuje, że jest na to „zapotrzebowanie socjalistyczne”. W związku z tym zdołał nawet zirytować swoich kolegów w Warszawie. Trzy lata temu Głabiński sięgnął do najczarniejszych barw by namalować skutki śnieżycy w Nowym Jorku. Przedstawił to jako białą apokalipsę w wielkim jabłku. W przeciwieństwie do radosnej idylli panującej w podobnych okolicznościach w Warszawie. Poruszyło to nawet tygodnik *Polityka*, nie tak skory do dziennikarstwa obiektywnego. Skwitował opis Głabińskiego w rubryce „Przeczytane — Zasyłane” pod płaszczykiem listu do redakcji. Brzmiał on tak: „Nasz czytelnik L.D. podejrzewa, że red. Stanisław Głabiński, korespondent PAP w Waszyngtonie, inspirowany jest i być może finansowany przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania w Warszawie. W korespondencji z USA pt. 'Katastrofalna zima w USA' zamieszczonej w Życiu Warszawy nr 33 Głabiński pisze co prawda, że w kraju, gdzie jest akredytowany: 'rozpętała się zamieć śnieżna o nie notowanych rozmiarach', odmalowuje zwały śniegu, które spadły na Amerykę, donosi o tym, że Stany Zjednoczone zasypało całkowicie. Komentuje to jednak tak: 'Obecna struktura społeczno-gospodarcza USA jest niezwykle czuła na wszelkie odejścia od normalnego stanu rzeczy (...) nawet niewielki śnieg, który w innej części świata byłby prawie niezauważony, w USA powoduje całkowitą dezorganizację życia'.

Śnieg był więc gigantyczny, czy niewielki? Zależy jak patrzeć: przez okno, czy też politycznie”.

Tak „stojało” w *Polityce* z dnia 18 marca 1978 roku.

Przez te ostatnie trzy lata kilkakrotnie gnębiła mnie myśl na czym właściwie etacie jest Stanisław Głabiński. Na przykład kilka miesięcy temu, z okazji wspaniałej wystawy fotograficznej Jerzego Tomaszewskiego poświęconej okupacji w Warszawie, która odbyła się w stolicy amerykańskiej, Stanisław Głabiński doniósł, że doszła ona do skutku dzięki staraniom Ambasady Polski Ludowej w Waszyngtonie i Kongresu Polonii Amerykańskiej. Było to niedokładnością na miarę dziennikarstwa już nawet nie z czasów Gierka, ale Bieruta.

Ambasada PRL nie miała nic wspólnego z wystawą Tomaszewskiego. Urządzona została staraniem ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie i Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Corpus delicti

Ale znacznie gorszego fałszerstwa dopuścił się Stanisław Głabiński w depeszy, którą *Trybuna Ludu* z dnia 11 grudnia 1980 r. wydrukowała na stronie siódmej pod tytułem *Zagranica o Polsce*.

Przytaczam dosłownie ten *corpus delicti* prozy Głabińskiego: „Jak donosi waszyngtoński korespondent PAP Stanisław Głabiński, największa amerykańska centrala związkowa, AFL/CIO nadal nie rezygnuje z ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski. Temu celowi ma służyć kampania propagandowa i akcja zbierania funduszy na polskie związki zawodowe. Nie kryjąc, że w rzeczywistości chodzi o materialne poparcie dla anty-socjalistycznej i antypaństwowej kampanii, jaką działacze amerykańscy związków zawodowych chętnie widzieliby w Polsce. Inne centrale związkowe w USA wykazują znacznie więcej wstrzeźliwości i realizmu. Kierownictwo Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Samochodowego jednego z największych związków zawodowych odmówiło przyłączenia się do tej kampanii. Wyraźnie i jednoznacznie odcięła się od niej administracja waszyngtońska, skrytykowała ją część kół polonijnych. Szczególnie krytycznie przyjęto projekt wydawania polskiego biuletynu, a więc podjęcia akcji propagandowej skierowanej na Polskę. Wobec niechętnego przyjęcia tej propozycji, wydano tylko jeden numer biuletynu, a dalszą edycję wstrzymano”.

Na czym etacie?

Jest to od początku do końca wierutne kłamstwo. Prezes Związku Robotników Przemysłu Samochodowego, Douglas Fraser, był jednym z głównych mówców na uroczystości wręczenia „Solidarności” nagrody Praw Człowieka za rok 1980.

Byłem, widziałem, rozmawiałem z nim. Powiedział, że robotnicy amerykańscy patrzą z podziwem na swoich polskich braci.

A jeśli chodzi o biuletyn wydany przez AFL/CIO, była to publikacja jednorazowa mająca charakter hołdu dla niezależnego ruchu robotników. W okienku na 16-tej stronie grubym drukiem jest wyraźnie zaznaczone, że jest to specjalny numer pisma Centrali Związków Zawodowych AFL/CIO „wydany również po polsku, żeby dać wyraz solidarności z wolnym ruchem związków w Polsce oraz żeby podkreślić wagę historycznych osiągnięć polskich robotników”.

Tekst publikacji został przygotowany przez Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich, co uwalnia mnie od obowiązku oceny poziomu tekstów. Głębiński mógłby się z niej dużo nauczyć. Spotkała się z doskonałym przyjęciem.

Nie wiem, gdzie Głębiński odnotował ten niechętny odbiór.

W świetle tego wszystkiego zaczynam się przychylić do podejrzenia „czytelnika L.D.” z *Polityki*. Może rzeczywiście Głębiński jest na etacie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Warszawie.

Przed odwołaniem do Polski, które powinno nastąpić jak najszybciej, warto by mu się wystarać o staż w *Sanitation Department* Nowego Jorku.

Zebrał i spisał BOB

WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU
123, Bd Saint-Germain
75006 Paris.

MICHAŁ BORWICZ
„**ŁUDZIE, KSIĄŻKI, SPORY...**”

Cena F. 38,00 (lub równowartość)



MICHAŁ BORWICZ
„**SPOD SZUBIENICY W TEREN**”

(z 32 fotografiami działaczy i oddziałów
w tekście)

Cena F. 36,00 (lub równowartość)

Wołanie na puszczy

Nadzieje i złudy

Warszawa, 25 stycznia 1981 r.

Powtórzę moje *credo*. Polska dzisiejsza leży po wschodniej, komunistycznej stronie Europy, co przewidziano w Teheranie i w Jałcie, a potwierdzono w Helsinkach 1975. Utrzymanie tego podziału czyli *status quo* leży w interesie obu stron, Zachodniej i Wschodniej, które wykluczają możliwość wojny atomowej w Europie, trzęsąc się o swe życie, z czego zresztą trudno im robić zarzut, cytując sobie co najwyżej na pociechę Fredrę: „Któż by się tam i łakomił na Waszmości nędzne życie!”. Co prawda nędzne to ono nie jest — przeciwnie.

W tej sytuacji współczesny Polak nie bardzo ma czego szukać na Zachodzie, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę. Można tam, owszem, szukać pieniędzy, reklamy (ostatnio rzeczywiście zrobił nam ogromną, choć nie wiadomo, czy to wyjdzie na dobre), wolności kulturalnych, odpoczynku. Tylko zdawać sobie trzeba sprawę, że dwa przez 35 lat oddzielone światy bardzo się od siebie oddaliły: Zachód uciekł nam cywilizacyjnie, technicznie, organizacyjnie, wyobcował się od nas (czy my od niego) psychologicznie i umysłowo. Żeby tam zostać, trzeba by się weń wtopić i wyrzec się własnej, wschodniej problematyki, albo też, jak Redaktor Giedroyc, stworzyć sobie własną, izolowaną Polskę w Paryżu — ale na taki wysiłek nie każdego stać.

A więc miejsce dzisiejszego Polaka jest na Wschodzie, z narodami wschodniej Europy łączy nas wspólność historii, cierpień, ustrojowego zniewolenia, pojęć i marzeń. Wobec tych narodów mamy również specjalną misję polityczną: pokazać im, że pozostając w Bloku Wschodnim (na co skazał nas i Zachód i Wschód) można walczyć o swoją tożsamość narodową i odrębność, można walczyć o EKSPERYMENT POLSKI, który na przestrzeni dzieściolecia odniósł niewątpliwe sukcesy.

Jakie? Oto, mimo wykorzenienia terytorialnego, zniszczeń demograficznych (hekatomba inteligencji realizowana przez Hitlera i Stalina, także przez emigracyjny wpływ krwi) i zniewoleń sowietyzacyjnych oraz degeneracji ustrojowych, Polska zachowała: a) strukturę wiejską, opartą na indywidualnym władaniu ziemią; b) powszechny katolicyzm, oparty na silnej i autorytatywnej organizacji Kościoła; c) odrodzoną młodą inteligencję, świadomą łacińskich tradycji polskiej kultury; d) zdolność do oddolnych zrywów, powodujących kolejne polityczne trzęsienia ziemi w latach 1956, 1968, 1970, 1976, 1980. Do tych „polskich odrębności” doszła od września 1980 jeszcze jedna, olbrzymia: wielomilionowe, niezależne związki zawodowe „Solidarność”. To już i Zachód zauważył!

Wszystko to dzieje się ciągle w ramach systemu oraz uznania imperatywów geopolitycznych: Paktu Warszawskiego, sojuszów i układów, oficjalnych rządów Partii, wspólności polityki zagranicznej. To są warunki, aby pozostać na Wschodzie i móc spełniać wobec jego narodów swą misję fermentacyjną czy ewolucyjną. Oczywiście: za taką czy inną, milczącą czy głośną zgodą Rosji. I tu wy badać trzeba jak daleko sięga nasze pole manewru, czy dla Rosji ważniejsza jest czystość doktryny komunistycznej czy też utrzymanie swych wpływów geopolitycznych przy dopuszczeniu różnych wariantów ustrojowych. Trzeba by to u Rosjan wy badać, oczywiście bez pośrednictwa tajnych z zasady kanałów partyjnych. Czy i dla kogo jest to możliwe?

Rzecznik sowiecki Falin w rozmowie z redaktorem *Spiegla* Augusteinem (*Spiegel*, 15.12.1980) powiedział, że nawet kraj kapitalistyczny mógłby być członkiem Paktu Warszawskiego, co zresztą nie tyczy się Polski, której przemiany są utrzymane w ramach socjalizmu. Oczywiście, może to być zagranie taktyczne, obliczone na spragnioną słownych fajerwerków prasę zachodnią, ale „słowo się rzekło, kobyła u płotu”. Jednocześnie przez parę tygodni sondażowo bawił w Warszawie sowiecki ekspert Zamiatin, który, jak słyszałem, szukał nawet kontaktów z kołami nieoficjalnymi. A więc moja idea społecznych pertraktacji z Rosją bez pośrednictwa komunistów nie jest tak absurdalna, jak nam to usiłowano wmówić. Dla tego jednak, aby opozycja mogła tu odegrać aktualną rolę, konieczne jest jedno: uznanie, jako założenia, trwałości SYTUACJI GEOPOLITYCZNEJ. Tę zresztą uznaje każdy Polak, który nie liczy na wojnę, a chciałby działać w realnych ramach z realnym skutkiem. Również i ja nie liczę na wojnę, uważam, że mam do tego prawo. Jeśli zaś wojna wybuchnie, to zapewne zgine, a nową polityką zajmą się ludzie nowi.

Od tych rozważań przejdźmy do aktualności — krajowych. Są one dziś nieco niepokojące. Pewien warszawski dziennikarz powiedział bystro, że Moskwa ma już powód do „interwencji”, wie o tym i żadne takie czy inne poczynania Polaków tej wiedzy nie zmieniają. Natomiast Moskwa nie ma jeszcze SYTUACJI do interwencji: sytuacji politycznej, tak międzynarodowej jak i pol-

skiej, odpowiedniego pretekstu i formy, co dla rosyjskich szachistów nie jest bez znaczenia. Wobec tego nasza z kolei sytuacja polityczno-psychologiczna może mieć wpływ na odraczanie decyzji, a co się odwlecze, to czasem uciecze.

Sytuacja owa jednak nie jest ostatnio korzystna. Wałęsa i „Solidarność” uwikłali się we własną frazeologię. Długo powtarzali, że nie są politykami, że polityka ich nie interesuje, tylko „prawo człowieka, prawo do człowieczeństwa, prawo do wiary...” (w Rzymie). Komicznie to trochę brzmi w ustach ludzi, którzy dokonali największego w dziejach Polski Ludowej przełomu POLITYCZNEGO, ale doradcy „Solidarności” uważali widać, że tak trzeba mówić, ze względów na ostrożność wobec Moskwy, zakładając najwidoczniej, że na Kremlu siedzą frajerzy, którzy głównie zwracają uwagę na słowa. Wmawianie ludziom, że można chcieć demokracji, dobrobytu, wolności bez żadnej zmiany ustroju a nawet nie włączając się w jego reformę, to przecież okropna bujda, której bujdowość widzi każdy — Rosjanie też. Nonsensem jest również myśl, że można reformować gospodarkę bez zmian politycznych. „Solidarność” zdaje się też nie rozumieć, że w okresie ekonomicznej plaży i kryzysu trudniej jest walczyć o podniesienie stopy życiowej, łatwiej i skuteczniej o reformy czy ustępstwa polityczne.

I oto władza, połapawszy się w tej argumentacyjno-dialektycznej, fałszywej ostrożnością podyktowanej słabości Wałęsy i towarzyszy, zrzeczenie wykorzystwała to przeciwko nim. Już to komuniści umieli odwracać uwagę od spraw ważnych i robić przeciwnika „w konia” — żebyż mieli taką zręczność w sprawach gospodarczych, mój Boże! Szybko a niedostrzegalnie zablokowali i zbimbali szereg spraw politycznych, jak ustawa o cenzurze, o związkach zawodowych, swobodę informacji, prasy związkowej, sprawę więźniów politycznych i inne. Także reforma gospodarcza, jak można sądzić z przedstawionego projektu założeń, pozbawiona będzie sankcji prawno-politycznej, ustawowej, apelując wyłącznie do dobrej woli i „słowa honoru” dotychczasowej administracji gospodarczej. Nowe związki nie chciały włączyć się w reformę, pójdzie więc ona ponad ich głowami...

Jednocześnie władze błyskawicznie, przez szybką, jednostronną decyzję, wmanewrowały przywódców „Solidarności” w spór o wolne soboty, odwracając uwagę od innych, niedotrzymanych warunków. Wybuchły strajki, ale nie całkiem przejrzyste i zrozumiałe, jak i cała sprawa, stanowiąca w okresie kryzysu najmniej przekonujący i popularny pretekst sporu. Zwłaszcza, że od razu z telewizji sypnięto lawiną zawiłych cyfr o stratach, przynoszonych przez samowolne respektowanie wolnych sobót, a zagraniczni korespondenci w Warszawie roztrąbili na cały świat wieści o zwariowanych Polakach, co nie chcą pracować, gdy zadłużony kraj się wali. I tak to wmanewrowano „Solidarność” w niejasny, dwuznacznie kłopotliwy impas.

Wałęsa, po powrocie z Rzymu, gdzie głównie modlił się, zwie-

dzał cmentarze i baczył, aby nie powiedzieć nic politycznego, połapał się wreszcie i podniósł krzyk, że nie chodzi o wolne soboty, lecz o niedotrzymanie przez Rząd szeregu politycznych warunków gdańskiego Porozumienia. Ale głos jego nie bardzo już dochodzi, Olszowski dość skutecznie zablokował telewizję, a prasę w ogóle trudno dostać. Zbyt długie unikanie problematyki politycznej zemściło się: „Solidarność”, ustawiona zrzecznie „do bicia” przegrała rundę, tracąc nieco ze swej popularności, zwłaszcza na owym zrzecznie przez Partię (kierownictwo?!) tumanionym Zachodzie. Pesymiści mówią, że po kilku takich rundach entuzjazm zachodniej opinii minie i opinia tamtejsza z ulgą przyjmie zmasakrowaną tak czy owak, „porządkującą” interwencję sowiecką, która ukróci „anarchię i nierówność” w zadłużonej po uszy Polsce. Postulaty polityczne mogą być w świecie zrozumiane, strajki (niejednomyślne zresztą) o wolne soboty — nie bardzo. O tym pamiętać winni specjaliści od propagandy wśród doradców „Solidarności”.

Na tle tych wydarzeń coraz niekorzystniej rysuje się rola kierownictwa politycznego polskiego Episkopatu. Mówię o kierownictwie politycznym, bo Kościół w Polsce jest dziś podzielony, wiem jakie wzburzenie wśród młodych księży budzi taktyka biskupa Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu. Robi on błąd taki, jak Chłopicki zostawszy dyktatorem Powstania. Gdy car po wyrzuceniu Kostantego wiedział już, że nie ma kompromisu i że tylko potrzeba mu czasu i sytuacji na przegrupowanie wojsk, Chłopicki dał mu ten czas, uderzając w pokorę i uległość. Podobnie oficjalny Kościół u nas stara się odpolitycznić „Solidarność” i tak samo jak Partia, odciąć ją od ruchów inteligencko-opozycyjnych, nie bacząc, iż tylko polityczne tło konfliktu może liczyć na zrozumienie i rezonans w świecie, nie zaś postulaty wyłącznie bytowe czy wyznaniowe. A z kolei tylko rezonans w świecie może wpłynąć na przyhamowanie sowieckiej okupacji, czyli opóźnienie „sytuacji”. Sztucznie przez władze wyizolowana sprawa wolnych sobót plus dwuznaczne stanowisko Kościoła, stawiające pod znakiem zapytania polityczną i ideową jedność narodu, na pewno dobrej taktyce nie służą.

W dodatku Kościół, zyskując administracyjnie, traci politycznie, i to na własnym terenie. Ostentacyjne ogłoszenie, że Polski Ruch Katolicko-Społeczny (grupa Zabłockiego) uzyskuje prawa organizacji ogólnopolskiej, mianowanie „katolickim wicepremierem” figuranta z minionego okresu, nie są to zjawiska pocieszające czy budujące. Fakt, że Kościół, powodowany schematyczną, fałszywą ostrożnością nie umie zaznaczyć w tych sprawach swojego stanowiska, nie podnosi jego prestiżu w opinii spragnionego odnowy społeczeństwa. Nie sprzyja to również narodowej jedności, a tylko ona, powtarzam, zapobiec może ewentualnej katastrofie.

Wiele też pomóc i doradzić mogłaby Emigracja, ale nie ta anachroniczna, lekko sobie kwestionująca dzisiejsze pryncypia

geopolityki i proponująca w zamian gruszki na wierzbie. Starajcie się rozumieć złożoność i płynność naszej sytuacji, oraz nie za wielką lecz istniejącą rolę Zachodu. Ciągłe też wierzę w zimny, sowiecki rozsądek, ale trzeba mu pomagać, a strach nie jest tu najlepszym doradcą. Skoro się już zaczęło, należy mądrze kontynuować.

KISIEL

NOWY TOM „NIEPODLEGŁOŚCI”

Ukazał się w druku nowy, kolejny XIV-ty tom „NIEPODLEGŁOŚCI”, wspólnego wydawnictwa Instytutów Piłsudskiego w Londynie i Nowym Jorku. Tom ten zawiera 8 dalszych nieznanych dotychczas listów J. Piłsudskiego (od Nr. 34 do 41), zakończenie autobiografii prezydenta Ignacego Mościckiego, dalszy ciąg pamiętników o Kampanii Wrześniowej 1939 roku gen. Kazimierza Sosnkowskiego, niezmiernie ciekawe rozprawy prof. Kay Lungreen-Nielsena z Uniwersytetu Odense (Dania) pt. „WIELKIE MOCARSTWA A POLSKA, 1918-1919”, prof. Ludwika Teclaffa pt. „ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI W ŚWIETLE PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO”, jak również rewelacyjne wspomnienie płk. Władysława Michniewicza na temat sowieckiej afery szpiegowskiej „TRUST” w latach 1921-1927. Tom uzupełnia szereg recenzji, sprawozdania z działalności Instytutów w Londynie i Nowym Jorku oraz streszczenie angielskie zawartości.

Powyższy tom zawiera 270 stron, stanowiąc niezwykle cenne źródło informacji dla osób i instytucji, zajmujących się najnowszą historią Polski.

Cena \$ 13,00 (z przesyłką). Czeki prosimy wystawiać na:
PIŁSUDSKI INSTITUTE OF AMERICA.

W razie zamówienia w Instytucie Londyńskim, należy przekazać równowartość w walucie angielskiej.

PAWEŁ ZAREMBA

„HISTORIA DWUDZIESTOLECIA” (1918-1939)

(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

W marcu br. ukaże się dawno oczekiwana w Kraju i na emigracji praca zawierająca m.in. rozdziały:

Tom 1-szy (str. 240), Cz. 1-sza: PIERWSZE LATA: U progu Niepodległości. — Rewolucja Październikowa i niepodległość Polski. — Komuniści. — Demokratyczne podstawy Państwa. — Rząd Moraczewskiego. — Rząd Paderewskiego. — Powstanie Wielkopolskie. — Polacy i Ukraińcy. — Polacy i Litwini. — Sejm Ustawodawczy. — Reforma Rolna. — Oświata. — Konferencja Pokojowa. — Górny Śląsk. — Wschód: początek konfliktu. — Po roku niepodległości. — Mikaszewice. — Przed wznowieniem wojny. — Sojusz z Ukrainą. — Wyprawa kijowska. — Rada Obrony Państwa. — Bitwa Warszawska. — Rozejm. — Wilno. — Pokój. — Powstania Śląskie.

Tom 2-gi (str. 423 plus Indeks nazwisk). Cz. II-ga: SPRAWY WEWNĘTRZNE: Początki. — Gospodarka. — Wieś. — Konstytucja Majowa. — Mniejszości narodowe. — Spór konstytucyjny. — Wybory 1922. — Zamordowanie prezydenta. — Prezydent Wojciechowski i rząd Sikorskiego. — Rząd Witosza. — Reformy Grabskiego. — Bank Polski obala rząd. — „Sejmowładztwo”. — Zamach majowy. — Piłsudski u władzy. — Piłsudski i opozycja. — Rządy Pułkowników. — Kryzys gospodarczy i społeczny. — Społeczeństwo lat trzydziestych. — Konstytucja kwietniowa. — Śmierć Marszałka. — Bez Piłsudskiego. — Kwiatkowski i polska gospodarka. — Rolnictwo w końcu lat trzydziestych. — Problemy społeczne. — Instytucje samorządowe. — OZON. — Ostatnie wybory. — Cz. III-cia: POLITYKA ZAGRANICZNA: Od Rygi do Rapallo. — Locarno. — „Zacisze pięcioletnie”. — Pakty nieagresji. — Pakt Wschodni. — W Lidze Narodów. — Dziedzictwo Piłsudskiego. — Nadrenia. — Rambouillet. — Ku wojnie. — Rokowania czy przetarg? — Polska i rokowania niemiecko-sowieckie. — Pakt Ribbentrop-Mołotow. — Ostatnie dni pokoju. — Czy była alternatywa?

HISTORIĘ DWUDZIESTOLECIA można nabywać tylko w całości.

Cena: T. I/II — F. 170.

Kronika kulturalna

Miłosz w Polsce na przełomie 1950/51

Pobyt Czesława Miłosza w Warszawie w grudniu 1950 miał przebieg osobliwy. Jako *attaché* kulturalny Ambasady PRL w Waszyngtonie został on pilnie wezwany do centrali w Warszawie na dwa tygodnie dla złożenia sprawozdania ze swej działalności służbowej. Mąż mój, ówczesny minister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski, od wielu tygodni chorował na ciężki zawał serca, w MSZ zastępował go wiceminister Stanisław Skrzyszewski.

Miłosza przyjął Skrzyszewski i od razu oświadczył, że zostaje on odwołany z placówki amerykańskiej i skierowany do pracy w ministerstwie, po czym odebrano mu paszport dyplomatyczny. Nie pozwolono mu choćby na krótko wrócić do USA dla uporządkowania jego spraw służbowych i rodzinnych — tymczasem żona Miłosza znajdowała się w końcowym okresie ciąży, oczekiwano rozwiązania w styczniu nadchodzącego roku.

Modzelewski jeszcze pozostawał oficjalnie kierownikiem MSZ, ale wskutek choroby faktycznie nie uczestniczył w pracy ministerstwa. Władzę sprawował tam Skrzyszewski, on też realizował odwołanie z USA Miłosza, działając za inspiracją i przy czynnej współpracy Jerzego Putramenta; ten ostatni przed pół rokiem został odwołany ze stanowiska ambasadora we Francji i skierowany do pracy ideologicznej w Związku Literatów Polskich.

O aktywnej roli, jaką odegrał w „sprawie Miłosza” Putrament dowiedziałam się najpierw od Czesława Miłosza, potem potwierdził to mój mąż, po zerwaniu zaś Miłosza z rządem PRL Putrament sam chętnie opowiadał o własnym aktywnym udziale w tej intrydze, zaliczając ją do swoich zasług obywatelskich, partyjnych i patriotycznych.

Miłosz był wstrząśnięty wciągnięciem go w pułapkę. Wiem, że protestował, domagał się zezwolenia na wyjazd czasowy do USA po rodzinę, a nie osiągnąwszy na to zgody w MSZ, zwracał się do Pawła Hoffma, Leona Kruczkowskiego i kilku innych wpływowych kolegów partyjnych o wstawiennictwo w KC, gdzie zatwierdzano podobne decyzje. Odpowiadano mu, że w jego sprawie nic się nie da zrobić. Możliwe, że nikt z tych kolegów nie mógł czy nie chciał ryzykować biorąc stronę Miłosza.

Po kilku dniach zatelefonował do mnie. Podczas poprzednich pobytów w Warszawie prywatnie odwiedzał nas, teraz jednak, ze względu na wciąż jeszcze niepewną rekonwalescencję mojego męża, na żądanie lekarzy ograniczałam wizyty u niego do niezbędnego minimum; nie mogłam więc Miłosza zaprosić. Powiedział, że bardzo mu zależy na rozmowie ze mną; zrozumiałam, że ma jakąś pilną sprawę i zobaczyłam się z nim w kawiarni.

Opowiedział mi, w jaki sposób ściągnięto go do Warszawy, odrywając od rodziny być może na zawsze, ponieważ żona nie miała ochoty wracać do Polski i tego przed nim nie kryła. Podstęp użyty wobec Miłosza (wezwanie niby tylko na dwa tygodnie) mógł ją tylko umocnić w nieufności do kraju, gdzie władze traktują obywateli jak notorycznych oszustów, wobec których dozwolone są najbrutalniejsze chwyt.

Miłosz znajdował się w stanie głębokiego wstrząsu psychicznego. Sądził, że Modzelewski wskutek choroby tylko chwilowo nie urzęduje w ministerstwie, miał więc nadzieję, że zabierze głos w jego sprawie, zakładając veto od decyzji Skrzyszewskiego. Musiałam mu wyjaśnić, że mąż niebawem przejdzie do pracy w Polskiej Akademii Nauk, Skrzyszewski zaś otrzyma oficjalną nominację na stanowisko ministra; wyjaśniłam też, że stosunki między Modzelewskim a jego zastępcą już od dawna są tak zepsute, że gdyby mąż chciał interweniować w MSZ na korzyść Miłosza, osiągnąłby skutek odwrotny.

Było to kolejnym ciosem dla pana Czesława, po wielu porażkach w poszukiwaniu poparcia. Tracąc nadzieję, tracił też równowagę psychiczną, poddawał się depresji, która nabierała coraz ostrzejszego charakteru. Spotykałam się z nim codziennie, bo codziennie telefonował do mnie, a już z głosu słychać było, że jest bliski kryzysu nerwowego. Byłam mu o tyle pomocna, że jakimś cudem udawało mi się wciągać go w rozmowę na inne tematy. Po zrelacjonowaniu nowych klęsk z ubiegłego dnia zaczynał jednak interesować się czymś poza tą sprawą. Żegnałam już nie chorego człowieka, lecz jakby rekonwalescenta.

Niestety, rekonwalescencja nie trwała długo, recydywy następowały w coraz krótszych odstępach czasu. Doszło do tego, że

pewnego dnia zatelefonował do mnie powtórnie po paru godzinach. Znalazłam go w stanie nie pozostawiającym żadnej wątpliwości, że jego odporność psychiczna się wyczerpała i zbliża się chwila ostatecznego załamania.

Dotychczas wstrzymywałam się od powiadomienia męża o sytuacji Miłosza. Po pierwsze ze względu na konieczność oszczędzania mu wiadomości denerwujących, po drugie — ze względu na umowę, jaką zawarliśmy na początku jego pracy w MSZ, mianowicie: że nie będę stosowała praktyki żon dygnitarskich, podejmujących się roli orędowniczek w sprawach należących do gestii ich mężów. Była to umowa sprawiedliwa, ponieważ do Modzelewskiego każdy mógł zwrócić się osobiście drogą oficjalną, sekretariat jego takie właśnie miał dyspozycje (co mogą potwierdzić byli pracownicy jego gabinetu, od dyrektora Franciszki Janiszewskiej-Żebrowskiej poczynając).

Naszedł jednak moment, kiedy musiałam naruszyć tę umowę. Powiedziałam mężowi, zgodnie z własnym najgłębszym przekonaniem, że jeżeli Miłosza zatrzyma się przymusowo w Polsce, odbierając mu tym samym rodzinę, nieuchronnie spowoduje się katastrofę: albo popełni on samobójstwo, albo postrada zmysły i trafi do domu wariatów. Dodałam, że jedno i drugie będzie głośną kompromitacją polskich władz w świecie.

— Zaproś go do nas — powiedział mąż.

Pan Czesław przyszedł po południu. Byłam milczącym świadkiem ich kilkugodzinnej rozmowy. Miłosz zrelacjonował swoją sytuację, nie kryjąc żadnego ze znanych mi już szczegółów, udzielając rzetelnych wyjaśnień na pytania Modzelewskiego. Po jego odejściu mąż powiedział:

— Być może uda mi się mu pomóc.

Szczęśliwie się złożyło, że wkrótce był u Bieruta w innych sprawach; poruszył też sprawę Miłosza i wyłożył swój na nią pogląd, który sprowadzał się mniej więcej do tego, że Miłosz nie jest dyplomatą, tylko pisarzem, że gdyby chciał dobrowolnie współpracować z rządem w kraju, byłby z tego pożytek, natomiast jeżeli koniecznie chce być za granicą, nie ma sensu go zatrzymywać siłą. (Identyczne podejście miał Modzelewski w wielu innych wypadkach, co mogłoby potwierdzić niemało ludzi, za jego właśnie sprawą znajdujących się obecnie za granicą). W rozmowie z Bierutem wskazał on też na szkodę, jaką przyniosłoby międzynarodowej opinii Polski tak brutalne zatrzymanie w kraju człowieka, którego sława poetycka sięga poza nasze granice.

Bierut dokładnie rozpytywał Modzelewskiego o różne szczegóły, zanim wyraził zgodę na wyjazd Miłosza z Polski. Przysłał

w końcu na sugestię, żeby przenieść Miłosza z USA na placówkę europejską, na przykład do Francji. Na zakończenie zapytał:

— Czy możecie ręczyć, że Miłosz później wróci do kraju?
Modzelewski odpowiedział:

— Ja myślę, że wróci. Ale gdyby nawet miał nie wrócić, jestem głęboko przekonany, że należy go wypuścić.

Po powrocie z Belwederu mąż szczegółowo powtórzył mi tę część rozmowy z Bierutem, która dotyczyła sprawa Miłosza. Należy zwrócić uwagę na jej zdania końcowe, które nabierają szczególnego znaczenia w zestawieniu ze złośliwymi plotkami, rozsiewanymi później przez Putramenta i jego otoczenie. Według lansowanej przez tych ludzi fałszywej wersji Modzelewski w odpowiedzi na pytanie Bieruta zapewnił go słowem honoru, że Miłosz bezsprzecznie wróci do kraju. Przeinaczenie miało na celu udowodnić, że Modzelewski nadużył zaufania Bieruta, bo sam łatwo wiernie zaufał Miłoszowi. O tych nader pomysłowych plotkach powiem obszerniej w następnej części mojej relacji.

Byłam świadkiem drugiej, ostatniej rozmowy Modzelewskiego z Miłoszem u nas w domu. Pan Czesław, już powiadomiony o pomyślnym zakończeniu sprawy, był mniej napięty, choć nie zupełnie odprężony. Myślę, że aż do chwili przekroczenia granicy nie całkiem wierzył, że uda mu się uwolnić z zastawionej pułapki.

Pamiętam, że Zygmunt, uwzględniając fobię pani Miłoszowej do PRL sugerował, że jako paroletni etap przejściowy byłaby dla Miłosza dobra praca w ambasadzie paryskiej. Pan Czesław przystał na tę propozycję, więc omawiali konkretne jej szczegóły. Zaglądając dalej w przyszłość, mąż rozważał możliwości przydzielenia Miłoszom zawczasu mieszkania w Warszawie. Mowa była też o tym, że i w późniejszym okresie Miłosz będzie miał możliwość czasowych wyjazdów za granicę.

Wiedziałam, że przed tą pożegnalną wizytą Jakub Berman zalecił Kruczkowskiemu i Hoffmanowi, żeby zobowiązali Miłosza solennym słowem honoru, że powróci do kraju; prosił o to również Modzelewskiego. Po odejściu pana Czesława powiedziałam do męża z pewnym zdziwieniem:

— Nie prosieś go o słowo honoru.

Wzruszył ramionami i odrzekł z niesmakiem:

— To byłoby poniżające zarówno dla niego, jak dla mnie.

To też godny zapamiętania szczegół, ponieważ we wspomnianych insynuacjach Putramenta powtarzano z uporem, że „Miłosz złamał słowo honoru (wariant: słowo honoru polskiego szlachcica), którym związał go Modzelewski”. *Nota bene*, Kruczkowski, Hoffman i może jeszcze paru innych istotnie na odgórne

polecenie zażądali owego słowa honoru — i je uzyskali. Właśnie ci, którzy uchyłili się od udzielenia mu pomocy, kiedy był na krawędzi katastrofy.

Ostatni raz zobaczyłam pana Czesława przed samym jego wyjazdem do Francji, na początku stycznia roku 1951. Żegnając go prosiłam, żeby kwestię powrotu czy niepowrotu rozważył w swoim sumieniu całkiem swobodnie, gdy przyjdzie pora decyzji. Powiedziałam to w przekonaniu (jak do dziś sędzę — słusznym), że dopiero w ten sposób powzięta przez Miłosza decyzja powrotu byłaby świadoma i cenna.

Dodałam:

— Ja osobiście wierzę, że pan wróci, bo wierzę w pana. Jest pan wielkim poetą, poeta zaś winien tworzyć na rodzimej glebie. Dlatego, gdyby pan zerwał z krajem, byłoby to klęską pana — a pośrednio i moją.

W niewiele lat później całkowicie zmieniłam pogląd na tę sprawę, o czym powiem za chwilę.

Tu kończę relację o ostatnim pobycie Czesława Miłosza w Polsce, opartą na faktach znanych mi z własnego doświadczenia lub zaczerpniętych z pierwszego źródła. Dalsze wypadki potoczyły się już poza moim polem widzenia.

O okolicznościach, w jakich się odbyło zerwanie Miłosza z ambasadą paryską, a tym samym z rządem PRL, piszę na podstawie danych uzyskanych od trzech osób: od Przemysława Ogrodzińskiego, który wówczas po odwołaniu Putramenta zastępował go w funkcjach ambasadora; od Adama Michnika, który w roku 1976 będąc w Paryżu dowiedział się od Miłosza szczegółów tego zdarzenia; od Andrzeja Miłosza, który również spotykał się za granicą z bratem i omawiał z nim tę sprawę.

Po przyjeździe do Francji Czesław Miłosz zamieszkał w jednym z pokoiów przeznaczonych dla urzędników ambasady. Do pracy jednak nie przystępował. Był nadal w stanie wielkiego napięcia nerwowego, bo otrzymywał alarmujące wiadomości od żony: końcowy okres jej ciąży przebiegał z komplikacjami, obawiano się ciężkiego porodu (co się sprawdziło 22 stycznia, kiedy wydała na świat drugiego syna).

Gdy zaczęły nadchodzić depesze z żądaniem, żeby przyjechał natychmiast, jeżeli chce zastać żonę jeszcze przy życiu, Miłosz poprosił Ogrodzińskiego, by mu zezwolono na krótki wyjazd do Waszyngtonu. Ogrodziński powiedział, że nie może zadecydować

o tym bez uzgodnienia z centralą i zwrócił się do MSZ. Przyszła odpowiedź odmowna. 1 lutego 1951 roku Miłosz opuścił ambasadę, by tam już nie wrócić.

Należy przypuszczać, że tym razem postarano się, żeby wiadomość o prośbie Miłosza nie dotarła do Bieruta: powzięto decyzję odmowną w ścisłym gronie, za akceptacją Jakuba Bermana, która w owych czasach w zupełności wystarczała. Na to, że tak właśnie się stało, wskazuje fakt, iż Bierut nie powiedział o tym nowym problemie Modzelewskiemu, który przecież uprzednio apelował do niego w sprawie Miłosza — i który ponadto oficjalnie nadal był jeszcze ministrem spraw zagranicznych.

Kiedy „ucieczka Miłosza” stała się warszawską sensacją, wybiła dla Putramenta godzina tryumfu. Nie krył się już z rolą konstruktora „pułapki na Miłosza” — przeciwnie, przechwalał się swoją przezornością i czujnością wobec wroga politycznego. Nie odmówił sobie też przyjemności przedstawiania Modzelewskiego jako człowieka naiwnego i krótkowzrocznego, który dał się omamić przez niewierną żonę działającą na korzyść kochanka. Ludzie tego typu nie wierzą w pomoc okazywaną komuś bezinteresownie, ponieważ w ich własnej praktyce to się nie zdarza.

Przez długie lata nie docierały do mnie te plotki, od których (jak dowiaduję się teraz) „huczała cała Warszawa”, a których twórcami i roznosicielami byli Putrament i „jego ludzie”. Moi przyjaciele milczeli, by mi zaoszczędzić przykrości, dalsi znajomi nie poruszali ze mną tego tematu ze zwykłej przyzwoitości, zaś osoby nieprzychylnie do mnie nastawione po prostu nie miały po temu okazji. Niewiedzę moją naruszył następujący akapit w dziele Putramenta „Pół wieku”, drukowany w roku 1958 bodaj we *Współczesności* (cytuje według drugiego wydania książkowego z roku 1980 — tom 4 pt. „Literaci”, rozdział „Miłosz, Lec”, str. 62):

„Miłosz swój 'wehikuł' (tj. paszport dyplomatyczny — N.M.) odzyskał przez kobietę. Zawsze miał jakiś swój młodzieńczy urok. Zakręcił się koło pani w pewnym wieku. Ta nakręciła swego męża. A ten poszedł do Bieruta. Nie wiem, czy gwarantował swoją głową uczciwość Miłosza, raczej wątpię. Oddanie paszportu po tym, gdy się go odebrało, było równoznaczne z wypchnięciem Miłosza z kraju na zawsze. W każdym razie historia ta utrudniła sytuację tego człowieka, bardzo rozumnego zresztą, przyzwoitego, miłego — i przyspieszyła odejście jego z wysokiego stanowiska”.

Mógłby sobie Putrament darować te komplementy pod adresem człowieka, który pod względem mentalności, etyki i praktyki po-

litycznej stanowił jakby jego przeciwieństwo i do „wysokiego stanowiska” nie przywiązywał wagi, odwrotnie niż autor cytowanej autobiografii.

Odnotujmy, że wobec insynuacji ustnych z początku lat pięćdziesiątych wariant drukowany jest przyzwoity, bardzo łagodny i zachowujący pozory obiektywności. Jednak i tu nie odbyło się bez ordynarnych zafałszowań.

1. Putrament może i wątpił w to, że Modzelewski ręczył za powrót Miłosza słowem honoru (prawdopodobnie znał faktyczny stan rzeczy), niemniej bardzo gorliwie rozpowszechniał tę właśnie wersję w lansowanych przez siebie plotkach.

2. Nieprawdą jest, że „historia ta przyspieszyła odejście Modzelewskiego z wysokiego stanowiska”. Jak już wspomniałam, decyzja o przeniesieniu męża na teren pracy naukowej zapadła znacznie wcześniej: jak sądzę, powodem był tu nie tylko ciężki stan jego zdrowia, ale też fakt, że w wielu wypadkach, podobnie jak w sprawie Miłosza, zajmował on stanowisko „nietypowe” dla kół partyjno-rządowych.

3. Aluzje pod moim adresem (dwuznaczne nawet w tej złagodzonej wersji) pominę milczeniem, sądząc że już ich styl poświadcza ich jakość. Ważne jest w tym kontekście jedno zdanie: „Ta nakręciła swego męża”.

Z części pierwszej tej notatki, gdzie relacjonuję dwa spotkania Modzelewskiego z Miłoszem, chyba dostatecznie jasno wynika, że Modzelewski postanowił zabrać głos w tej sprawie z własnego przekonania, opartego nie tylko na rozmowach z Miłoszem, ale też na znajomości sytuacji w ówczesnym MSZ, na dodatkowo zebranych informacjach oraz na właściwym mu ogólnym podejściu do analogicznych spraw, o czym pisałam wyżej. Dodam, że mąż w ogóle nie był człowiekiem, którego ktoś mógł „nakręcić”, bo działał zazwyczaj nie pod wpływem impulsów, tylko po rzetelnym zapoznaniu się z materiałem.

Poza przytoczonym cytatem, są w rozdziale „Miłosz, Lec” inne jeszcze zafałszowania. Na przykład na stronie 60:

„Gdy w kilka dni później (po przyjeździe Miłosza do Warszawy — N.M.) zadzwonił do mnie Berman i powiedział, że na skutek poufnych informacji obawia się dezercji Miłosza i zapytał co sądzę o zatrzymaniu go w kraju, stwierdziłem, że chyba nie ma innej rady. 'Ja też tak sądzę' — powiedział Berman i odłożył słuchawkę”.

W tych kilku na pozór niewinnych zdaniach bardzo sprytnie zasugerowano, że to właśnie Berman był inicjatorem przymuso-

wego zatrzymania Miłosza w kraju, i to dopiero *podczas* pobytu Miłosza w kraju. A przecież decyzja ta zapadła grubo wcześniej, wtedy mianowicie, kiedy Miłosza wezwano pilnie do centrali niby to dla złożenia sprawozdania, faktycznie zaś — żeby niezwłocznie odebrać mu paszport dyplomatyczny. I zapadła ta decyzja między innymi na skutek „poufnych informacji” nie kogo innego, jak właśnie Putramenta, co potem pozwoliło mu przechwalać się własną czujnością i przezornością.

Sam zresztą pisze w poprzednim akapicie, że Miłosz w roku 1945 wyjechał na placówkę amerykańską „za jego wstawienictwem” i że dlatego on, Putrament, „czuł się za niego odpowiedzialny *osobiście*”. I jeszcze: „o Miłoszu mówiono mi niedobrze, jeszcze gdy byłem w Paryżu”. Jakże to wszystko skoordynować z nową sugestią, że inicjatorem owego zatrzymania okazał się nie on, tylko wyłącznie Berman, i to dopiero po przyjeździe Miłosza do Warszawy?

Zwróćmy uwagę na datę Putramentowej publikacji: rok 1958. Przerzucając na Bermana całą inicjatywę owej intrygi w *dwa lata po VIII plenum KC PZPR*, na którym Bermana wykluczono z Partii i odsunięto od sprawowania władzy, mógł Putrament nie obawiać się żadnych sprostowań czy uściśleń ze strony tego wszechwładnego niegdyś sekretarza KC i członka Politbiura. I słusznie sądził, że Jakub Berman nie zabierze głosu w tej sprawie.

Na zakończenie chcę poruszyć kwestię natury ogólnej.

Powrócę do słów, które powiedziałam Miłoszowi przy pożegnaniu: „poeta winien tworzyć na rodzimej glebie”. To rozpowszechnione mniemanie ma zapewne potwierdzenie w wielu wypadkach, nie jest jednak wszechobejmujące. Po raz pierwszy zwątpiłam w tę prawdę rozmawiając z Marią Dąbrowską, która powiedziała z namysłem, ważąc każde słowo — jak zawsze, kiedy temat był doniosły:

— Gdziekolwiek tworzy polski artysta, pracuje dla kultury polskiej.

Ceniłam sobie ogromnie kontakt z panią Marią, jej zdanie zawsze było dla mnie autorytatywne. Wielokrotnie powracałam do tych słów. Stopniowo zrozumiałam i doceniłam ich prawdę.

Dziś już chyba bardzo nieliczni (przeważnie ci zaciętrzewieni ze względów czysto osobistych) mogą nie dostrzegać olbrzymiej roli, jaką odgrywa Miłosz na świecie i w Polsce jako pisarz, myśliciel i publicysta. Gdyby nie jego głos, Polska (właśnie Polska w pierwszym rzędzie) straciłaby bardzo dużo ze swego skarbcza kultury.

Mając na względzie, że Miłosz należy do polskiej i europejskiej historii kultury, poczuwam się do moralnego obowiązku dać świadectwo prawdzie w jego sprawie jako jedna z nielicznych dziś osób zorientowanych w jej rzeczywistym przebiegu.

Natalia MODZELEWSKA

Czesław Miłosz po zapoznaniu się z tekstem Natalii Modzelewskiej dodaje do niego następujące wyjaśnienie:

„Z inicjatywy Putramenta zostałem przeniesiony w jesieni 1950 roku z Waszyngtonu do Paryża, co zaakceptowałem po wielkiej walce wewnętrznej, zostawiając rodzinę w Ameryce z powodu komplikacji porodowych mojej żony. Zostałem akredytowany przy Quai d'Orsay jako I sekretarz Ambasady i zaraz potem pojechałem na święta Bożego Narodzenia do Polski (nie byłem wezwany). Cała sprawa ma więc charakter planowej akcji Putramenta zmierzającej do „stopniowego” wciągnięcia mnie w pułapkę. W tekście opuszczony jest szczegół: rozmowa pomiędzy mną i p. Natalią o „kacie Rosji”.

Książki

Portret dekady z wizerunkiem autora w lewym rogu

Zaczynam zawsze czytać *Kulturę* od *Dziennika pisanego nocą*¹, tak jak dawniej zaczynałem od *Dziennika* Gombrowicza, choć nic jednego z drugim nie łączy prócz formy, dającej całkowitą swobodę wyrazu. Nie jest chyba przypadkiem, że Gustaw Herling-Grudziński zaczął pisać swój *Dziennik*, kiedy zamilkł Gombrowicz. Po wydaniu pierwszego tomu, siedem lat temu z górą, nośłem się długo z zamiarem napisania o nim artykułu. Tym razem dobrze się stało, że częste u mnie odkładanie najlepszych chęci z dnia na dzień, aż do czasu gdy przestaną być aktualne, daje mi teraz okazję do zajęcia się obu tomami. Tak się bowiem składa, że mamy dziś do czynienia z jedyną w swoim rodzaju całością, stanowiącą odbicie w świadomości jednego pisarza dekady 1970-1980, przełomowej dla Polski, a bodaj również dla naszych czasów na skalę uniwersalną. Herling-Grudziński ma wyczulony zmysł historyczny, tym bardziej w moich oczach ważki, że nie przesłania mu on pozaczasowego wymiaru ludzkiej egzystencji. Spojrzenie historyka, nawet na jego własną epokę, ma zazwyczaj to do siebie, że jest spojrzeniem wstecz, co pozwala mu na dopatrzenie się sensu w minionych zdarzeniach, ale wywołuje podejrzenie, że sens ten jest narzucony *ex post*. Zaletą świadectwa Herlinga jest jego dosłowna współczesność, obserwuje on wypadki z miesiąca na miesiąc, sam jest pasażerem tego pociągu, nie może „jednym rzutem oka” z fikcyjnej galaktyki objąć trasy od stacji do stacji.

Każdy z nas w większym lub mniejszym stopniu waha się

1. Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą* (1971-1972), Instytut Literacki, Paryż 1973; *Dziennik pisany nocą* (1973-1979), Instytut Literacki, Paryż 1980.

między przekonaniem, że wszystko się zmienia i że, nie zmienia się nic. Nie zależy to (jak zwykło się mawiać) od wieku jednostki (młodzi czuli na zmianę, starzy bardziej wrażliwi na *déjà vu*). Inaczej powtarza się historia, oscylująca między tragedią i farsą, „lewicą” i „prawicą”, dążeniem do wolności i dążeniem do porządku, inaczej antropologiczny los człowieka, podległy odwiecznym cyklom natury. Żałuję, że względów estetycznych, że drugi tom *Dziennika pisanego nocą* kończy się na grudniu 1979. Wystarczy dodać rozdziały już napisane w roku 1980, a całość wyda się spięta misternie symetryczną klamrą odpowiadających sobie wypadków różnego gatunku. Pierwsza część tomu 1971-1972 obfituje w rozważania o rewolucji robotniczej na Wybrzeżu z grudnia 1970. Herling porusza tu „zakazany temat sowiecki” i — od Kadara i Gomułki do Gierka — wskazuje na motyw kolejnego apelowania do racji stanu: „Fali strajków robotniczych po grudniu nie powstrzymała kolportowana półgębkiem wersja urzędowa o rosnącej nerwowości bratnich czołgów sowieckich. Co w ustach Kadara mogło być uważane za odwołanie się do tragicznej wspólnoty w potrzasku, w ustach Gierka i spółki — po czternastu latach — stało się wyłączenie samozachowawczym wybiegiem, jeśli nie wręcz szantażem. Im dalej w las, tym gorzej spełniać będzie funkcję samoczynnego hamulca nasze zbrojne, sąsiedzkie Widmo”.

W listopadzie 1980, kiedy rozwój wypadków po sierpniu potwierdził słuszność jego przepowiedni, Herling przechodzi do kolejnego motywu zgubnej ostrożności: „Irytujące są częste ostatnio (u niektórych publicystów z Kraju, związanych z opozycją) wezwania do korowców, aby w imię nieobciążania 'Solidarności' swą hipoteką polityczną wycofali się chwilowo w cień. Rzecz tu nie w niemoralnym posmaku takich wezwań, zważywszy że wzywający deklarują z niewątpliwą szczerością swój podziw i respekt dla 'historycznych zasług' KOR-u. Rzecz w ich naiwności i krótkowzroczności. Postulat 'nieprowokowania władz' jest zawsze narzędziem w rękach władz, nigdy samoobronnym choćby narzędziem w rękach podwładnych”. (Dodajmy, że Herling pisze to przed całkiem już niemoralnymi wystąpieniami tego typu Orszulika i spółki).

Przypadek sprawy, że druga klamra *Dziennika pisanego nocą* dotyczy zjawisk poza ludzką kontrolą. Herling opisuje groźbę trzęsienia ziemi wiszącą nad Pozzuoli (15 km od Neapolu) w marcu 1970: na czterech stronach mamy wspaniałą opowieść o „trzęsieniu ziemi którego nie było”, a przy tej okazji błyskawiczne wprowadzenie do kluczowych aspektów włoskiego życia. Herling, który „pierwsze kroki we Włoszech stawiał w 1944 roku przy erupcji Wezuwiusza” nie zapomina jednak, opisując ten fał-

szywy alarm, że „kto się tu urodził lub zdecydował osiedlić; musi mieć wrodzone czy nabyte poczucie kruchości ziemi i ludzkiego życia”. W listopadzie 1980 przeżywa on po raz pierwszy *terremoto* w jego katastroficznym wymiarze: „Naraz ogarnęło mnie, a właściwie przeszło, uczucie którego nie umiem opisać... Tu otaczało coś bezkształtnego, nieodpartego i wszechobecnego, coś daleko poza mną, tu obok i jednocześnie we mnie”. Przypomina, że często w swym *Dzienniku* pisał na ten temat i dodaje: „Niby prawda, a jednak słowa, słowa, słowa”. Wreszcie konkluzja: „Zamiast słów, słów, słów, zdanie które zawiera może najwięcej: człowiek starty na proch jednym uderzeniem Nieznanej Ręki. To ona budzi uczucie inne niż strach, niemożliwe do opisania, obecne mgliście nawet w milczeniu”.

Przykładów kompozycyjnej symetrii jest w tym dzienniku dekady więcej. Zaskakuje ustęp poświęcony w kwietniu 1971 żalom Jarosława Iwaszkiewicza, że udzielona Sołżenicynowi nagroda Nobla „znów nas odetnie (od tej nagrody) na dłuższy czas” i „manii prześladowczej pisarzy polskich” na ten temat w zestawieniu z przenikliwą analizą możliwych *marginesowych* konsekwencji nagrody Nobla przyznanej Miłoszowi. Herling widzi tu jedno „niebezpieczeństwo”: „Nie trzeba nadmiernego daru przewidywania, aby sobie wyobrazić, że u szczytu euforii narodowej ktoś powiąże październikowe wyniesienie Miłosza na tron literacki z październikowym (dwa lata temu) wyniesieniem Wojtyły na tron papieski. Po czym rozepnie nad tymi dwiema datami tęczę 'Solidarności'”. Może rzeczywiście nie trzeba — w sensie przenośnym. Ale faktem jest, że kartka życzeń „Znaku” na ostatnie święta była graficznie dosłownym spełnieniem tych przewidywań: po prawej stronie rysunku tom wierszy Karola Wojtyły, po lewej tom wierszy Czesława Miłosza, a co nad nimi rozpięte? Tęcza „Solidarności”! Herling pisze, że zdarza mu się słyszeć zarzut „nocnego czarnowidztwa” pod adresem jego dziennika. Nasuwałyby się raczej „nocne jasnowidzenia” (nawet jeśli czasem — nie zawsze — „na czarno”).

Jeśli jednak zestawiam to, co Herling pisze — na progu i u końca dekady — o przemianach w Polsce i o trzęsieniu ziemi w Neapolu, nie to miałem na myśli. Chciałem tym skrótem wyrazić zasadniczą w moich oczach *osobliwość*, „zaangażowania” Herlinga w sprawy polskie, rosyjskie, wschodnioeuropejskie w ogóle, w ideologiczno-polityczno-społeczny wymiar współczesności. Na pozór to zaangażowanie Herlinga zajmuje dużo miejsca w jego dzienniku. Powziąłem nawet naiwny zamiar obliczenia, ile zajmuje stron w stosunku do „innych spraw”: metafizyki, sztuki, obserwacji natury, osobistych wspomnień. Wnet jednak zarzuciłem te mozolne rachunki, bo nie wystarczy natknąć się na

słowa „Wybrzeże”, „Herzen”, „Custine” (a nawet na słowa „Gierek”, „Żukrowski” czy *Trybuna Ludu*), aby wrzucić daną stronę do jednego z tych prymitywnych worków. Uświadomiłem sobie (dobre to polskie słowo, o wiele bardziej precyzyjne od *I realised* czy *je me suis rendu compte*, bo chodzi przecież o wydobywanie na jaw czegoś, o czym się już „po jakimś” wiedziało), że sednem *Dziennika pisanego nocą* nie są takie czy inne „tematy”, a jednolita wrażliwość moralna i estetyczna autora.

Zawsze mnie raziło tak rozpowszechnione wśród polskich (a jeszcze bardziej rosyjskich) pisarzy przekonanie, że mają monopol na pewien stopień wyższego wtajemniczenia za sprawą spowodowanych przez ustrój (czy historię) cierpień. Skrajnym przykładem tej postawy jest opowiadanie Iwaszkiewicza *Wzlot*, pomyslane jako odpowiedź na *Upadek* Camusa. Bohater tej noweli (najślabszej chyba w jego dziele, obok *Felka Okonia*), mający oczywiście za sobą maksimum konspiracji, walk, więzień, tortur i — pod torturą — zdradę towarzyszy, prześmiewa się (pijany jak narrator *Upadku*) z „jakiegoś francuskiego pisarza” (parafrazuję tu oczywiście, bo nie mam książki pod ręką), który kręcka dostaje dlatego po prostu, że nie uratował baby, która rzuciła się do Sekwany. Dla Herlinga nie istnieje tego rodzaju naiwna hierarchia nieszczęść i geograficzna subordynacja sumień. Wie on, że „obozem koncentracyjnym” może być dom starców, sierociniec czy choroba, niezależnie od politycznego ustroju. Ba! Nie zapomina nawet, że istnieje także „nędza szczęścia ludzi” (20 maja 1976). Najpiękniejsze bodaj strony *Dziennika pisanego nocą* poświęcone są właśnie bólowi ludzkiemu w jego codziennych, najmniej dramatycznych czy „malowniczych” przejawach. Herling rozumie natomiast znakomicie specyfikę zbiorowych nieszczęść natury totalitarnej — to że zbyt często zwalniają one od indywidualnej odpowiedzialności, wywołując reakcję nihilizmu i paraliżu, jeśli nie kłamstwa i podłości.

A jednak wydaje mi się, że osobiste doświadczenie totalitaryzmu w jego „skoncentrowanym” (w obu znaczeniach tego słowa) wydaniu zaważyło na tej jednolitej postawie autora, która jest dla mnie zasadniczą cechą *Dziennika pisanego nocą*. Nie trzeba nigdy zapominać (bo Herling niemal to przemilcza), że pisze go autor *Innego świata*, książki, którą cenię wyżej od jakiegokolwiek innego świadectwa o sowieckich obozach, nie wyłączając Sołżenicyna. Czesław Miłosz zarzucił kiedyś Herlingowi „moralizm”. Nie zgadzam się z tym sądem, może dlatego, że „moralizm” nie znoszę. Myślę natomiast, że trudno inaczej jak przeżyciem *Innego świata* wytłumaczyć to wyjątkowe współlistnienie w *Dzienniku pisanym nocą*, wyostrzonej inteligencji, subtelności, intuicji (i — nie lękajmy się tego słowa — miłosierdzia) z tak

pozornie prostym i niezachwianym sądem moralnym (chciałoby się powiedzieć „na zdrowe serce”, tak jak się mówi „na zdrowy rozum”). Nie, to nie jest moralizm. To jest plon doświadczenia *na własnym ciele* tego, co pozostaje człowiekowi, kiedy żyje w warunkach stworzonych właśnie na to, by odebrać mu wszystko.

Tytuł mego artykułu jest parafrazą ustępu, w którym sam autor wyjątkowo pisze o swoim dzienniku (Gombrowiczowi zdarzała się częściej ta gra w otwarte karty — z wręcz odmiennej talii): „Mój ideał dziennika, niedościgniony, to prawda, nie ma jednak powodu, by go nie wyznać. Przesuwa się w nim raz szybciej, raz wolniej, raz na scenie, raz w tle, „historia spuszczonego z łańcucha”, jak nasze czasy znakomicie określił Jerzy Stempowski. A w lewym dolnym rogu, wzorem niektórych malowideł renesansowych, miniatury i ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza”. To prawda, że ten autoportret jest „ledwo naszkicowany”, gdyż Herling podziela niechęć Miłosza do zbyt osobistych wyznań. Ale (znów podobnie jak u Miłosza) nieraz niedomówione wyznanie przekazuje wymiar i gatunek przeżycia tak dokładnie, że czytelnik rozpoznaje w nim z wdzięcznością własne najtrudniejsze do sformułowania doświadczenie psychiczne:

„Czytam w odnalezionych niedawno fragmentach dziennika Szestowa: 'Albo doświadczenia wewnętrzne, nawet najprostsze, tak są święte, że sama natura stoi zazdrośnie na ich straży; albo tak nędzne, że nie warto odsłaniać ich przed innymi'. Święte czy nędzne, w obu wypadkach alergiczne wobec kartki papieru. Ale posiadają własną formę, jest nią rodzaj szepcanej w myślach, bezładnej, urywanej spowiedzi. Takie wyznania, jak strzępy snu po przebudzeniu, nie mieszczą się w mowie artykułowanej. Czym więc są? Półmodlitewnym bełkotem skierowanym w ciemność, do jedyne go, niewidzialnego i milczącego słuchacza. W okresach jego nasilenia dziennik leży nietknięty”.

Pisząc artykuł o *Kulturze*, który ukazał się w lutowym numerze paryskiego miesięcznika *Le Débat*, nie wspominałem o tym, co było dla mnie najcenniejsze w ciągu trzydziestoparoletniej współpracy z tym pismem. Mam na myśli formę zbiorowej komunikacji z kilkoma ludźmi rozrzuconymi po świecie, z którymi przeważnie nie sposób było spotkać się raz na tydzień w kawiarni. Mimo że redakcja *Débat* zamówiła u mnie ten artykuł do działu *Lieux et milieux* (czyli mniej więcej „ośrodki i środowiska”, albo krócej „gdzie i z kim”), jak obcemu czytelnikowi nakreślić w paru słowach sylwetki (chciałem się w *Débat* ograniczyć do zmarłych) ludzi tak różnych i tak niezastąpionych jak Zygmunt Hertz, Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz, Aleksander Wat, Stefan

Zamoyski, Anatol Mühlstein? Żaden artykuł pisany do pisma obcego (łącznie z *Preuves*, gdzie byłem przecież członkiem redakcji) nie dawał mi tej satysfakcji co pisanie do *Kultury*, bo wiedziałem, że kilku ludzi przeczyta to z równą uwagą jak ja czytam ich teksty. Nie mam tylu zahamowań, pisząc dla czytelnika polskiego. Pozwoliłem już sobie w szkicu o *Ziemi Ulro* i we wspomnieniu o Zygmuncie Hertzu na ton bardziej osobisty, autobiograficzny, który dawniej nie przychodził mi łatwo. Jeśli chodzi o *Dziennik pisany nocą*, nie mogę tego wymiaru ominąć, gdyż jest on dla mnie wszechobecny przy lekturze.

Spośród ludzi piszących stale do *Kultury*, Gustaw Herling-Grudziński jest najbliższy mi wiekiem (jesteśmy niemal rówieśnikami). Wiele tych samych (choć nigdy jednoczesnych) stacji naszego wygnania: Londyn, Neapol, Rzym (w Monachium również mieszkałem, co prawda przed wojną). Łączy nas (to ważne) identyczny stosunek do Wenecji. Nie ma chyba w dzienniku Gustawa pejzażu, obrazu, zaułka, których bym nie znał, lub nie rozpoznał. Podobnie z ludźmi. Najważniejsza jest tu nasza wspólna przyjaźń z Nicolą Chiaromonte (znów niezależnie jeden od drugiego — co dziwniejsze, nigdy nie spotkaliśmy się w trójkę). Powiem więcej — Gustaw był „na własną rękę” przyjacielem mojej matki, kiedy mieszkała w Rzymie, a ja już w Paryżu: zaprzyjaźniliśmy się z nim właściwie dopiero po jej śmierci. Niemal co strona pojawia się w *Dzienniku* nazwisko, pod które mogę podłożyć twarz, albo anonimowa sylwetka, której mogę nadać nazwisko, a nie chodzi o ludzi „sławnych” (pamiętam neapolitańskie przyjęcia u starego Rinaldo Dohrna, znałem „Rosinę L., gwiazdę włoskiego filmu niemego”, wiem kim była naprawdę). Czytając *Dziennik pisany nocą* mam zatem dziwne wrażenie, jakby los wyznaczył nam na wygnaniu identyczną niemal marszrutę, pod warunkiem, że nie skrzyżują się na niej nasze drogi (Gustawa spotykałem i widuję właściwie wyłącznie w Paryżu). Podobnie z książkami. Nie mówię o dziełach, które są agorami kultury, bo spotkania na tym terenie są oczywiste (mimo że podział ludzi czytających na tych, którzy wolą Dostojewskiego i tych którzy wolą Tolstoją jest jednym z zasadniczych). Do ulubionych przeze mnie zbiegów okoliczności zaliczam natomiast odnalezienie w *Dzienniku* *pisany nocą* ukochanego przeze mnie Lichtenberga, barona Corvo, którego *The Desire and the Pursuit of the Whole* w antykwarskim wydaniu (bo był jeszcze wówczas całkowicie zapomniany) czytałem w czołgu na normandzkich postojach, i *Listu lorda Chandos* Hoffmannstahla, z którym się nie rozstaje.

Opisując katastrofalne pożary lasów w okolicach Dragonei, nieraz spowodowane zawieruszoną szkiełką, które w wyrębach między drzewami ogniskuje żar słońca w jednym punkcie

suchego poszycia, Herling dodaje: „Przyznaję, że podoba mi się szkielek. Jest trochę jak powieszony wróbel w *Kosmosie*”. Pełno dla mnie tego rodzaju szkielek w *Dzienniku pisanym nocą*. Widać w nich poszlaki nieokreślonych *Wahlverwandschaften*.

Na koniec suplika, wielokrotnie już ustnie przekazywana redakcji *Kultury*. Dla książek takich jak *Rodzinna Europa*, *Ziemia Ulro* czy *Dziennik pisany nocą* nieoceniony byłby indeks nazwisk (bo o tematycznym szkoda marzyć). Wiem dobrze, że jest to trud dosłownie ponad siły i tak już przepracowanego zespołu Instytutu Literackiego. Ale czy nie można by do tego zwerbować ochotników?

K. A. JELEŃSKI

Powieść o miłości

„Skrytki” — nowa powieść Zofii Romanowiczowej* — to utwór zbudowany z rzadko w naszej prozie spotykaną precyzją. Nie waham się nawet użyć innego terminu — ze skrupulatnością. Ta skrupulatność jest zresztą miejscami męcząca w trakcie lektury, zaczyna górować nad fabularnym mięszem utworu. Ale cóż — w końcu jest to praca wymagająca precyzji i skrupulatności: budowa i instalowanie skrytek.

Nadto książka jest tak zbudowana, tak skonstruowana, że streścić jej niemal niepodobna. Oczywiście — streścić można wszystko, lecz pewne utwory, właśnie te, w których liczą się drobne szczegóły, nagle zaczynające grać swoją rolę w dalszym etapie lektury, te właśnie utwory streścić się bez zdrugotania ich konstrukcji nośnych nie dadzą. A do nich właśnie wypada „Skrytki” zaliczyć.

Autorka notuje drobne gesty, półśłówka, detale, grymasy twarzy swych bohaterów. Z tych obserwacji składa się najistotniejsza materia tej powieści — opis miłości, która nie jest miłością, która jest natomiast dźwiganiem wspólnej, intymnej, wiążącej na śmierć i życie sprawy: tajemnicy?, nieszczęścia? Nawet to trudno nazwać. W każdym razie jedno tu już można powiedzieć: najistotniejszą materią „Skrytek” jest intymność, pewna specyficzna relacja łącząca dwoje ludzi, relacja powstała ze zderzenia nie tak bardzo wygórowanych marzeń o własnym, domowym

* „Biblioteka Kultury”, Tom 322, str. 200. Paryż 1980.

szczęściu z przerastającym wytrzymałością jednego człowieka uderzeniem losu. Los ten sprawił, iż ludzie ci, małżeństwo w dość już średnim wieku, żyjąc razem żyją osobno, będąc też zarazem skazani na nierozłączność.

Charakterystyczne: bohaterowie nie posiadają nawet imion. W tej chwili jeszcze raz kartkuję książkę, wydaje mi się to bowiem niemożliwe, może przeoczyłem — ale nie: tylko on i ona. On i ona — nawet nie z dużej litery. Jakiś on i jakaś ona — żadni bohaterowie, zwykli ludzie, których nie wydobydnie się wzrokiem z tłumu wysiadającego z metra. To może być każdy. Tyle, że owi nie będący bohaterami ludzie opierają swe życie na pewnych nie tak potocznie spotykanych postawach — na wierności, na poczuciu odpowiedzialności, uczciwości i prawdzie. Nie na tej wielkiej prawdzie wielkich spraw społecznych, lecz na trudnej prawdzie codziennosci.

Ich historia wpisana jest w historię ich mieszkania, w którym żyli przez lata nie podejrzewając nawet istnienia zamurowanej w nim niegdyś skrytki zawierającej... Nieważne, co zawierającej — niech to jednak pozostanie zagadką dla czytelnika. W każdym razie ta właśnie skrytka stanowi jeden z punktów odniesienia w konstrukcji powieści: od niej się sprawa zaczyna (lecz wówczas jeszcze niezbyt dokładnie wiadomo, o co chodzi), na niej też się kończy.

Bohaterów odwiedza wnuk poprzedniej właścicielki — dzieje się to niemal w przededniu ich wyjazdu na urlop. Pozwalają mu przenocować, chłopak korzysta z okazji, dorabia własne kłucze, wraca w czasie ich nieobecności, odnajduje skrytkę. Ale to tylko jedna z nitek tworzących ośnię tej książki. Konstrukcyjnie ważna, określa bowiem punkt wyjścia i punkt dojścia, jest pewnym zdarzeniem określającym przebieg akcji. Lecz nie jedynym, gdyż właśnie wokół niego nabudowane są liczne epizody, które wypełniają powieść.

Przy tym sprawa najistotniejsza: syn. Niedorozwinięte dziecko, z którym postanowili oboje pozostać, czasowo tylko oddając je nawet nie do zakładu — do rodziny, która potrafi mu zapewnić lepsze niż oni warunki. Tymczasem całe ich życie skoncentrowane jest wokół tego, by te warunki sobie i jemu stworzyć: poszukiwanie domu, odosobnionego, z dala od miasta, wśród ludzi, którym można ufać.

Jest taki dom i jest taka okolica: co roku jeżdżą tam na wakacje, do przyjaciół. W tym roku też tam się wybierają z zamierzeniem sfinalizowania sprawy, zadatkowania wybranego domu, powolnego zakorzeniania się w wiejskie życie. W powolnej, precyzyjnej narracji rekonstruuje Romanowiczowa dziwną, miejscami niesamowitą atmosferę okolicy, ciemnego klimatu wzajemnych więzi łączących mieszkańców, ponurej historii-mitu, która zdeterminowała los tych ludzi. I obudzone nagle niegodziwości, których istnienia nie podejrzewali tutaj — zawiści, nielojalności, kłamstwo.

I jeszcze to, co bohaterów z tym miejscem wiąże: ich — jak można sądzić: jedyny — przyjaciel. Tu znów drobiazgowa konstrukcja osobowości tego człowieka, kolei jego życia i wreszcie nagłego załamania, które decyduje o niepowodzeniu ich planów, o rozbiciu jeszcze jednego marzenia o spokojnym dojrzewaniu syna w oddali od nieżyczliwych oczu, o wspólnym, ale nie pozbawionym ciepła znoszeniu przeciwności.

Jak widać, nie uniknąłem jednak swego rodzaju streszczenia, opisu tej powieści. Ale to wszystko, oczywiście, jedynie sygnały spraw najbardziej istotnych, które wydobyte z gestwiny drobnych epizodów nic nie znaczą. Właśnie „akcja” książki toczy się bowiem poza wymiarem zdarzeń, w systemie opowiadania, w klimacie przez ten system konstruowanym. Opowieść dotyczy w gruncie rzeczy sposobu przeżywania — zarówno poszczególnych zdarzeń, jak ich dłuższych sekwencji. Dotyczy sposobu reagowania na świat — beznadziejności życia połączonej z ufnością wręcz niewytłumaczalną, niemożliwą do pełnego nazwania, a wynikającą z przyjętego i przestrzeganego w sposób naturalny systemu wartości.

I właśnie w operowaniu nastrojem, w konstrukcji niepochwytnej w nazwy atmosfery, nowa powieść autorki „Baśki i Barbary” jest popisem rzadkiego w naszej prozie kunsztu: misternej, drobiazgowej konstrukcji. Wszystko jest tu ściśle do siebie dopasowane, nie sposób z tej książki usunąć żadnego epizodu, liczy się każde zdanie. Stąd też trudności ze „streszczeniem”, z opisem „zdarzeń” czy „akcji”. Żadnego niechlujstwa tak dziś częstego w naszej pospiesznie pisanej literaturze, żadnych przypadkowości. Rzetelnie, bez zbędnych dodatków opowiedziana historia samotności dwojga samotnych ludzi. Nie jest to książka do „czytania”, ale przeczytana na pewno pozostanie w pamięci. I nie tylko ze względu na fakt tak precyzyjnej budowy.

Również ze względu na dystans: dystans wobec świata, który uzyskuje jej czytelnik. Ze względu na skupienie się na ludzkim, intymnym losie, nie uwarunkowanym wielkimi obrotami dziejów, pędem politycznych zdarzeń, tętnieniem historii. Właśnie spod tego języka doraźności wydobyła Romanowiczowa to, co jest udziałem nas wszystkich bez wyjątku, choć tak przecież różnie uwarunkowane — samotność istnienia, samotność przeżywania i (w drodze samodzielnego konstruowania systemu wartości, przestrzeganego nie tylko w życiu społecznym, lecz również prywatnym) konstruowania swego losu. I tu w ciemnej, miejscami ponurej materii epizodów składających się na świat, w którym żyją bohaterowie „Skrytek” pojawia się światło nadziei, jakim jest poczucie wspólnoty pozwalające przewyciężyć rozpacz. To poczucie wspólnoty, które uzyskuje się w obecności drugiego człowieka. Nawet bez rozmowy z nim. Taką wspólnotę tworzy ufność będąca czymś silniej, intymniej wiążącym niż zaufanie, a której korzenie mogą tkwić tylko w prawdziwej miłości, nawet jeśli ta miłość już wygasła: „Nagle, zamiast dalej się rozchodzić, jedno na lewo, drugie na prawo, zaczęły iść ku

sobie. Pustą ulicą de Turenne. Bez ludzi, bez świadków. O pozamykanych na lato żelaznych żaluzjach sklepów. O kamiennych głowach nad bramą co drugiej kamienicy, które patrzyły, ale nie widziały”.

Rzecz dzieje się, oczywiście, w Paryżu.

I jeszcze jedno: bardzo dużą rolę w tej książce odgrywa specyficzny styl narracji. Jeśli miałbym określić jej podstawową cechę, to chyba jest nią — jak w przytoczonym fragmencie — częste używanie równoważników zdań. Właśnie chyba dzięki temu uzyskuje Romanowiczowa dość istotny efekt: przy wszelkich opisach unika przegadania, zaś w pozornie bezbarwnych, suchych frazach — kumuluje sporo ekspresji.

Krzysztof ZAWRAT

Raul Wallenberg

Wyrok Międzynarodowego Trybunału brzmi: mamy wszelkie podstawy sądzić, że ten człowiek żyje. Trybunał zebrał się w Sztokholmie w styczniu 1980 roku dla rozpatrzenia sprawy R. Wallenberga, który 17 stycznia 1945 roku zaginął na Węgrzech.

Na krótko przed zwołaniem trybunału francuski dziennikarz Jacques Dérogy opublikował książkę pt. „Sprawa Wallenberga”; zebrał w niej najważniejsze materiały do jednej z najbardziej zadziwiających historii naszych czasów. Historia ta zaczęła się 17 stycznia 1945 roku. Po 54 dniach zaciętych walk stolica Węgier zostaje oswobodzona — sowieckie wojska wybijają w mieście hitlerowców i węgierskich nazistów. Wczesnym rankiem tego dnia szwedzki dyplomata Raul Wallenberg wsiada do samochodu i pożegnawszy się z kolegami z poselstwa wyrusza do Debreçyna, gdzie mieściła się kwatera główna wojsk sowieckich. Od tej chwili szwedzki dyplomata przepada na wieki. Zaczyna się „sprawa Wallenberga”.

Raul Wallenberg, potomek jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin szwedzkich, miał 32 lata, kiedy latem 1944 roku przyjechał do Budapesztu. Wiedział dokładnie, na czym polega misja, którą sam sobie wybrał: Wallenberg przyjechał ratować Żydów węgierskich.

Latem 1944 roku „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” było już uwieńczone sukcesem we wszystkich krajach zajętych przez wojska niemieckie. Wyjątek stanowiły Węgry. Z 787 tysięcy Żydów, którzy według spisu z 1941 roku mieszkali na Węgrzech 350 tysięcy jeszcze znajdowało się wśród żywych. Ponieważ jed-

nak zajmował się nimi Adolf Eichmann osobiście, było jasne, że niedługo przyjdzie im czekać. W tym właśnie momencie przybywa do Budapesztu Raul Wallenberg.

Jacques Dérøgy pierwszą połowę swej książki poświęca rozpaczliwie zachwalej, pomysłowej, chwytającej się wszelkich sposobów akcji szwedzkiego dyplomaty: wydaje on Żydom szwedzkie paszporty i nakłania przedstawicieli innych neutralnych krajów, np. San Salwadoru, żeby szli za jego przykładem, przekupuje esesmanów i węgierskich urzędników, ukrywa zbiegów. W ciągu sześciu miesięcy jakie mijają od dnia jego przybycia na Węgry do klęski nazistów udaje mu się uratować 30 tysięcy ludzi.

Raul Wallenberg należy do nielicznej grupy bohaterów XX wieku, którzy wstawili się nie mordowaniem, a ratowaniem ludzi. Po wyzwoleniu Budapesztu od hitlerowców misji swej nie uznał za skończoną: postanowił organizować pomoc dla tych, którzy przeżyli. Na przeoranych wojną Węgrzech, a przede wszystkim w ich stolicy, zaczął się wówczas głód. Szwedzki dyplomata, przedstawiciel neutralnego kraju, zamierza przedstawić władzom sowieckim plan pomocy dla ludzi pozbawionych dachu nad głową i strawy.

Autor „Sprawy Wallenberga” stara się dojść, jakie mogły być racjonalne powody aresztowania dyplomaty neutralnego kraju. Przypuszcza on, że sowieckie władze nie mogły sobie wyobrazić, żeby Szwed, który żył sobie jak u Pana Boga za piecem w Sztokholmie, „tak sobie” pojechał do Budapesztu i z narażeniem życia ratował ludzi; w ich oczach musiał mu przyświecać jakiś niejasny, ale niewątpliwie groźny dla ZSSR cel. Zdaniem francuskiego dziennikarza Wallenberga mogli oskarżyć o współpracę z Gestapo, z którym musiał prowadzić rozmowy, skoro jego podopieczni znajdowali się w jego rękach. Mogli go też oskarżyć o to, że był agentem wywiadu amerykańskiego — wojna z Niemcami zbliżała się ku końcowi, a wraz z nią kończyły się miodowe miesiące przymierza z krajami demokracji. Mogli mu przedstawić mnóstwo innych zarzutów. Sowiecki człowiek już na długo przed wojną wiedział: wystarczy człowieka, a paragraf sam się znajdzie.

O co oskarżono Wallenberga nie wie nikt. Nikt też nie wie dokładnie, co się stało. Dokładnie wiadomo tylko tyle, że szwedzki dyplomata i jego szofer, którzy 17 stycznia 1945 roku wyjechali samochodem z Budapesztu, przepadli bez śladu na zawsze.

Druga część „Sprawy Wallenberga” to dzieje poszukiwań. W tamtych latach dziesiątki tysięcy ludzi przepadały bez śladu. Znaleźć ślad Wallenberga nie było jednak trudno. Prowadził on wszakże tam, skąd wyjść było nieskończenie trudniej. Szwedzkie mu dyplomacie wyjść się nie udało.

Dziś, po wysłuchaniu świadków i zaznajomieniu się z dostępnymi dokumentami, wiadomo, że Raul Wallenberg został po wyjeździe z Budapesztu aresztowany w drodze przez specjalny oddział sowieckiej służby bezpieczeństwa „Smiersz” („Śmierć szpie-

gom”), odwieziony z powrotem do Budapesztu, przesłuchany, po czym odstawiony przez Rumunię do Moskwy. 31 stycznia dwóch Niemców, później zwolnionych, spotkało się z nim w celi wewnętrznego więzienia na Łubiance (Plac Dzierżyńskiego 2).

Wszystko to jednak stanie się wiadome później. Póki co Szwecja zaczyna szukać swego dyplomaty. Sztokholm zwraca się do Moskwy, śle listy, ustne pytania, nawet formalne noty. 15 czerwca 1946 roku posłowi Szwecji udaje się dopiąć najwyższego zaszczytu — audiencji u generalissimusa Stalina. Wódz narodów sowieckich, który po zwycięstwie nad Hitlerem stał się wodzem całej postępowej ludzkości, prośby o odnalezienie Wallenberga wysłuchuje — jak zwykle takich próśb — uważnie i z zainteresowaniem. Generalissimus podkreśla, że sam nic nie wie, obiecuje jednak wszystko wyjaśnić. Kilka lat przed spotkaniem z posłem szwedzkim Stalin miał już podobną rozmowę: generał Sikorski pytał go o los 12 tysięcy polskich oficerów siedzących w sowieckich łagrach. Stalin, który rzadko tracił przytomność umysłu, wyjaśnił szefowi rządu polskiego, że wszyscy polscy oficerowie zbiegli. Wyrzucił przy tym domysł, że uciekli do Mandżurii. Kiedy Stalin rozmawiał z generałem Sikorskim, oficerowie polscy byli już zabici i Stalin pozwolił sobie na żart. Kiedy rozmawiał z posłem szwedzkim, Wallenberg żył; tym niemniej Stalin powiedział, „zebrawszy wszystkie świadectwa”: „Mimo wszelkich poszukiwań, jakie podjęły armia i organy bezpieczeństwa, Wallenberga nie odnaleziono, ponieważ nigdy nie znajdował się on w ZSSR ani na terytoriach kontrolowanych przez ZSSR”. Tym razem nie było mowy o ucieczce do Mandżurii, wysunięto natomiast domniemanie, że szwedzkiego dyplomatę zabili hitlerowcy albo węgierscy naziści.

Stalin umarł, dowodząc tym samym, że nawet pierwsi sekretarze są śmiertelni. Nastąpił Chruszczow. Szwecja zwróciła się do niego z prośbą o poszukiwanie Wallenberga. Nikita Siergiejewicz obiecał pomóc. Ale i jemu nie udało się odnaleźć szwedzkiego dyplomaty. Powtórzył formułkę Stalina: na naszym terytorium Wallenberga nigdy nie było.

I oto nagle Wallenberg się odnajduje. Między lutym 1952 i lutym 1957 roku Sztokholm wystosował do Moskwy 15 pisemnych i 34 ustnych pytań o losy Wallenberga. Odpowiedź władz sowieckich była niezmiennie taka sama. Aż nagle 6 lutego 1957 roku, dwanaście lat po zaginięciu — dyplomata się odnajduje. Ścisłej mówiąc „odnajduje się” teczka z jego „sprawą”. Ze „sprawy” wynika, że kiedy „armia i organy bezpieczeństwa” na rozkaz Stalina szukały Wallenberga, znajdował się on całkiem niedaleko od Kremla — na Łubiance, która teraz nazywa się placem Dzierżyńskiego, w gmachu numer 2. Niestety — głosiła nota wystosowana do rządu szwedzkiego — zmarł on na zawał, w celi, 17 lipca 1947 roku. W „sprawie” — informowała dalej nota — znaleziono raport naczelnika szpitala więziennego pułkownika Smolcowa do ministra bezpieczeństwa wewnętrznego generała Abakumowa. Niestety — powtarzała nota — pułkownik Smolcow

zmarł. O ministrze nota nie wspominała, Moskwa jedna wie-
działa, że Sztokholm wie, że generał Abakumow został w między-
czasie rozstrzelany jako współnik wroga narodu, marszałka Berii.

Sowiecka nota z 6 lutego 1957 roku zamyka „sprawę Wallen-
berga”. Leczą, jak mówi przysłowie, kto raz skłamie, temu nigdy
nie uwierzą. Kłamstwo o Wallenbergu nie było pierwszym kłam-
stwem władzy sowieckiej. Ani drugim... Wątpliwości co do losu
Wallenberga nie rozwiązało. Tym bardziej, że i po 6 lutym 1957
roku na Zachód bezustannie dochodzą wieści, że w rozmaitych
więzieniach i obozach niezmiernie sowieckiej dzierżawy spo-
tyka się Szweda, który siedzi już dziesiątki lat.

Ostatnia wiadomość o Wallenbergu pochodzi z Moskwy: pe-
wien więzień po zwolnieniu opowiedział swej żyjącej obecnie
w USA córce, że w więzieniu na Butyrkach spotkał jakiegoś
Szweda. Powiedział jej to przypadkiem, nie podejrzewając, jakie
to pociągnie za sobą skutki: człowiek ten został natychmiast
aresztowany i przepaść bez wieści.

Dziesiątki milionów ludzi przeszły przez sowieckie więzienia
i łagry. Miliony przepały w nich na zawsze. Zdawać by się
mogło, że los jednego człowieka — to już nie tak wiele. Trage-
dia Raula Wallenberga, który ratował ludzi a potem spędził
dziesiątki lat w sowieckich lochach i tam umarł albo umiera —
jest symbolem nieludzkiej zbrodniczości ustroju, który sam siebie
nazywa „światłym jutrem ludzkości”. Jest on też symbolem
siły tego ustroju: przez 35 lat Szwecja zadowalała się nieśmia-
łymi „ustnymi” lub „pisemnymi” pytaniami, gościła u siebie so-
wieckich władców, rewanżowała się wizytami za wizyty. Nigdy
nie zdecydowała się zażądać zwolnienia Wallenberga.

Los Raula Wallenberga to symbol okrucieństwa, któremu
przyświeca jeden jedyny cel — przstraszyć, przerazić przeciwnika
tak, żeby zamarł, podobnie jak królik zamiera pod wzro-
kiem węża-dusiciela.

Michał HELLER

Dzieje stosunków kanadyjsko-polskich

Monografia Aloysiusa Balawydery*, historyka z uniwersytetu St. Francis
Xavier, jest pierwszą próbą przedstawienia stosunków kanadyjsko-polskich
na przestrzeni lat 1918-1978, a więc od odzyskania niepodległości. Autor

* Aloysius Balawyder, *The Maple Leaf and the White Eagle: Canadian-Polish Relations, 1918-1978*, East European Monographs, Boulder,
Distributed by Columbia University Press, New York 1980, pp VIII+300.

nie ograniczył się do pewnych zagadnień ani też nie pokusił się o synte-
tyczne ujęcie, natomiast oparł się głównie na archiwalnych oraz innych
oficjalnych źródłach i materiałach zaprezentował chronologię wzajemnych
odnoszeń.

Balawyder wykonał iście mrówczą pracę, przebadawszy całą koresponden-
cję dyplomatyczną, prasę, przeprowadziwszy szereg wywiadów celem uzyska-
nia dodatkowych informacji, wyjaśnień, skonfrontowania pewnych danych
itp. Niezależnie od tego oczywiście zaznajomił się z ogłoszonymi pracami
dotyczącymi problematyki polsko-kanadyjskiej. Autor słusznie stwierdza we
wstępie, że stosunki między obu państwami regulowały przesłanki czysto
realistyczne, funkcjonalne, a nie idealistyczne, uczuciowe.

Przed wojną Kanada potrzebowała imigrantów, aby załudnić obszary
przeryjne, budować szosy i szlaki kolejowe, po wojnie zaś potrzebowała rąk
do pracy dla szybko rozwijającego się przemysłu. Operowano wprawdzie —
zresztą nie tylko po wojnie — hasłami humanitarnymi, które w niektórych
wypadkach istotnie odgrywały rolę, ale przypływ imigrantów był i jest nadal
ściśle regulowany sytuacją na rynku pracy.

Prof. Balawyder myli się, twierdząc, iż rząd R.P. nie zdołał zdobyć po-
parcia społeczności polonijnej, gdyż była wrogo nastawiona do „autorytatyw-
nego reżymu Piłsudskiego i jego pułkowników, mimo wysiłków konsulatów,
które usiłowały przedstawić Piłsudskiego w dobrym świetle”. Organizacyjnie
Polonia była w tym okresie nieliczna. Ówczesna centralna organizacja
Zjednoczenie Zrzeszeń Polskich w Kanadzie skupiała jednak większość sto-
warzyszeń, jakkolwiek brakło w niej z zachodnich prowincji Stowarzyszenia
Polaków a z Ontario Związku Polaków. Zrzeszenie było jak najbardziej
prorządowe, utrzymywało jak najściślejsze stosunki z władzami R.P. czeło
Marszałka Piłsudskiego. Stowarzyszenie Polaków miało poprzez władze ko-
ścielne łączność z Polską, a wystąpienie przeciwko rządowi R.P. kler katolicki
nie organizował. Związek Polaków dopiero po Brześciu stanął na łamach
swego organu Związkowiec w opozycji wobec rządów pomajowych, ale Pił-
sudski pozostał nadal najwybitniejszym i najbardziej zasłużonym przywódcą
narodu polskiego. Opozycja Związkowca nie była skrajna. Tylko stowarzy-
szenia komunistyczne występowały przeciwko rządowi R.P., ale ich stano-
wisko nie było bynajmniej zarezerwowane dla „reżymu Piłsudskiego i jego
pułkowników”, lecz odnosiło się do wszystkich. A stanowili komuniści
nikłą mniejszość społeczności polonijnej.

Balawyder odnotowuje ściśle każdy oficjalny kontakt między stronami,
wymieniając nazwiska wszystkich uczestników rozmów, spotkań itp. Otrzy-
mujemy w ten sposób wiele zbędnych szczegółów i szczególików. Wstrzy-
muje się natomiast od krytycznej analizy i ocen, prezentując każdą sprawę
według oficjalnych wersji obu stron, zachowanych w korespondencji dypl-
matycznej lub innych źródłach.

Jeden rozdział swej pracy poświęca Balawyder problemowi mniejszości
narodowych w Polsce, ściślej ustosunkowaniu się do niego Kanady. Histo-
ryczne wprowadzenie nie jest pozbawione nieścisłości, a ponadto opiera się
niemal wyłącznie na jednostronnym materiale, jako że drugiej stronie autor
użytył bardzo skąpo miejsca. Na dalszych stronach Balawyder relacjo-
nuje akcję posłów oraz innych rzeczników ukraińskich w Kanadzie na rzecz
Ukraińców w Polsce oraz rzeczników ludności żydowskiej, protestujących
przeciwko dyskryminacji Żydów w Polsce. Autor zauważa, iż rząd kanadyj-
ski niechętnie zabierał w tych sprawach głos, wypowiadał się dopiero, kiedy
czuł się do tego zmuszony, a i wtedy ostrożnie, przyjmując do wiadomości
wyjaśnienia i sprostowania rządu R.P. Końcowe natomiast uwagi autora
do tego rozdziału są miejscami wręcz fałszywe jak np. twierdzenie, że bata-
lion galicyjskich Ukraińców brał udział w najbardziej bestialskich akcjach
podczas Powstania Warszawskiego.

Bardzo szczegółowo relacjonuje Balawyder okres wojenny i powojenny, ze specjalnym uwzględnieniem depozytu polskiego znanego jako „Skarby Wawelskie”. Zdumiewające jest, że Balawyder mając za złe dr. A. Fiderkiewiczowi, pierwszemu przedstawicielowi PRL w Ottawie, iż po powrocie do Warszawy mówił o Kanadzie jako o zacofanym pod względem politycznym i oświatowym kraju, zaznacza iż był „człowiekiem o międzynarodowym doświadczeniu i szerokiej kulturze, ale nie był zdolny wnieść się ponad ciasną politykę”. Bardzo dyskretnie natomiast przedstawił osławiony wy czyn Fiderkiewicza, a mianowicie jego wezwanie do rejestracji wszystkich obywateli polskich w Kanadzie oraz deklarację głoszącą iż odmawiający powrotu do Polski żołnierze i deportowani przez Niemców to faszyci albo nawet osoby, które były na usługach niemieckich. Balawyder ograniczył się do przytoczenia protestu i oświadczenia rządu kanadyjskiego, lecz nie przedstawił głośniejszej i burzliwej reakcji społeczności polonijnej, głosów prasy polonijnej, podczas gdy np. nie poskąpił cytatów z prasy krajowej, komentarzy owa prostackie wywody tępego partyjniaka.

Rozdział o epopei tzw. Skarbów Wawelskich jest streszczeniem broszury autora na ten temat, która ukazała się oddzielnie przed dwoma laty. W prezentacji brak materiałów z kancelarii Prymasa Polski, które świadczą iż ks. kardynał Wyszyński wszczął akcję o odesłanie tego depozytu do Polski zarówno poprzez dygnitarzy kościelnych w Kanadzie jak i poprzez osobistości cywilne z emigracji polskiej.

„The Maple Leaf and the White Eagle” stanowi rodzaj kompendium i będzie zapewne pożyteczna dla uzyskania bardzo ogólnego obrazu stosunków kanadyjsko-polskich, zawężonego zresztą do płaszczyzny oficjalnej. Czytelnik znajdzie w niej wiele szczegółów, w tym mało znanych, ale niekoniecznie istotnych. Praca byłaby bardziej wartościowa, gdyby autor zrezygnował z wniosków po każdym rozdziale, są one bowiem zarówno zbyt powierzchowne jak i często błędne, a to dlatego, że stara się on być przesadnie neutralny, by nikogo nie urazić.

Benedykt HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

KOZIEŁŁO-POKLEWSKI (Bohdan), WRZESIŃSKI (Wojciech). *Szkolnictwo polskie na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1919-1939*. Str. 268 i 2 nlb. Ilustracje. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 150).
Polskie lato 1980 (w karykaturze). Str. 40. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1980).
 PANKOWSKI (Marian). *La poésie polonaise crue*. (Nadbitka z *Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves*,

tom 23, str. 53-69, wyd. Université de Bruxelles, 1979).
 BONNIERES (de, Françoise). *Guide de l'étudiant en polonais*. Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1980).
 MAREK (Edmond). *La littérature polonaise. I — du Moyen Age au Positivisme*. (Wyd. Université de Lille III, Lille 1980).
 August 1980 — *The Strikes in Poland*. (Wyd. Radio Free Europe Research, Monachium, październik 1980).

LUCZYSCHYN (I.). *Die Nationalitätenpolitik der russischen kommunistischen Partei*. Str. 36. (Nadbitka z „Aufbau”, Zurych 1968).

Vykupitel človeka. *Encyklika Redemptor Hominis*. (Wyd. po czesku w niezależnym obiegu wydawniczym redakcja *Spotkań*, Kraków - Lublin - Warszawa 1980).

MIŁOSZ (Czesław, tłum.). *Księga Hioba*. Str. 170 i 6 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1980).

Ewangelia Jezusa. Str. 407. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1980).

TRUSZKAWSKA (Maria Angela). *Wybór pism. Tom II, część I. Listy do O. Honorata Koźmińskiego*. Str. 334. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych. Rzym 1980).

KOŹMIŃSKI (Honorat, o.). *Listy okólne do sióstr Felicjanek, 1863-1907*. Str. 208. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1980).

Informations. Biuletyn Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych nr 2. Str. 125 i 5 nlb. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym-Warszawa 1980).

JAN PAWEŁ II. *Encyklika Dives in misericordia — O Bożym miłosierdziu*. Str. 88. (Wyd. Veritas, Londyn 1981).

TROJANOWSKI (Wojciech). *Ach, jaka szkoda...* Str. 295 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1980).

CZARNECKI (Zygmunt Jerzy). *Katakizm 1939-1942*. Str. 208 i 18 nlb. Ilustracje. (Wyd. Veritas, Londyn 1980).

KAMIŃSKI (Aleksander), WASILEWSKI (Antoni). *Józef Grzesiak „Czarny”*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka *Spotkań*, Paryż 1981).

CYBULSKA (Maja Elżbieta). *Próby liryczne*. Ilustr. Yvonne Skarżon. Str. 30 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

GONCZYŃSKI (Franciszek). *Vayn nad Parsq*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

LITWIN (Aleksander). *I bogowie błędzili...* Wiersze. Str. 84 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

ZORKOT (Aleksander). *Poryw. Program Renesansu Współczesności*. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. nakładem autora, Sztokholm 1980).

Papież we Francji. Spotkanie Polonii z Janem Pawłem II na Polu Marsowym. Album przyg. Michał KWIATKOWSKI. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Narodowiec, 1980).

Panno Święta co Jasnej bronisz Częstochowy. Album. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Nasza Rodzina, Paryż 1981).

KUBIAK (Stanisław). *Wspomnienia. Pół wieku pracy społecznej wśród Polonii westfalskiej*. Str. 189. (Wyd. nakładem autora na prawach rękopisu, Essen 1980).

TABORSKI (Bolesław) *Miłość. Wybór wierszy*. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980 (cena zł 14)).

Puls nr 3. Nieregularny kwartalnik literacki, wychodzący w kraju poza cenzurą, na Zachodzie wyd. Puls Publications, Londyn 1980. Str. 166 i 2 nlb.

ŁUBIENSKI (Tomasz). *Pod skórą*. Str. 115. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1980, cena zł 20).

ŁAPIŃSKI (Zdzisław). *Między polityką a metafizyką (o poezji Czesława Miłosza)*. Str. 44. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN-u, Warszawa 1980).

JEDLICKI (Jerzy). *Forma i treść „umowy społecznej”*. Str. 27 (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN-u, Warszawa 1980).

DĄBROWSKI (Miroslaw). *Olsztynskie wspomnienia muzyczne z lat 1945-1948*. Str. 151 i 5 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1980, cena zł 30).

PIECHOCKI (Stanisław). *Przedostatni przystanek*. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn-Białystok 1980, cena zł 30).

HOZJUSZ (Stanisław). *Poezje*. Przeł. Anna Kamińska, wstępem opatrzył Wacław Odyniec. Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1980, cena zł 86).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-12-80

Zmarł w Warszawie gen. Stanisław Tatar. W czasie ostatniej wojny był szefem operacji Komendy Głównej A.K., a później zastępcą szefa sztabu Naczelnego Wodza dla spraw krajowych.

18-12-80

W Warszawie podpisano umowę między Instytutem Historii PAN i Akademią Nauk ZSSR w sprawie wspólnego wydania „Metryki Litewskiej”. Jest to zestaw archiwaliów złożony z 700 ksiąg z XV i XVIII wieku spisanych w językach: ruskim, polskim i łańskim.

1-1-81

W Warszawie zmarł w wieku 79 lat prof. Kazimierz Michałowski, archeolog światowej sławy. Zmarły był profesorem zwyczajnym emerytowanym archeologii śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektorem Polskiej Stacji Archeologicznej w Kairze, doktorem *honoris causa* Uniwersytetów w Strasburgu, Cambridge i Upsali, członkiem Polskiej Akademii Nauk i Akademii: Włoskiej *de i Lincei*, Brytyjskiej, Heideberskiej, Niemieckiej w Berlinie, i Saskiej, laureatem nagród *Académie des Inscriptions et Belles-Lettres* i nagrody Fundacji Herdera. Prowadził wykopaliska w Egipcie, na Krymie, na Cyprze, w Sudanie, Iraku, i Syrii. Prof. Michałowski był uczestnikiem kampanii wrześniowej 1939 roku; w Oflagu II C w Woldenberg zorganizował system nauczania uniwersyteckiego. ■ XXI walny Zjazd Związku Kompozytorów Polskich postanowił m.in. anulować uchwałę ZG związku kompozytorów polskich z 1951 roku na mocy której wykluczono ze związku Romana Palestra.

6-1-81

W Gdańsku powstawała Społeczna Rada do spraw intensyfikacji poszukiwań i zagospodarowania złóż ropy naftowej i gazu ziemnego w Polsce. Rada opracowała projekt rozpisania pożyczki narodowej dla sfinansowania prac poszukiwawczych.

15-1-81

Sekretarz Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Andrzej Wielowieyski, został kierownikiem Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych KKP NSZZ „Solidarność”. ■ Redaktorem naczelnym tygodnika *Solidarność* został Tadeusz Mazowiecki, dotychczasowy naczelny redaktor miesięcznika *Więź*. Jego zastępcami mianowano Bohdana Cywińskiego i Kazimierza Dziewanowskiego. ■ W Warszawie nadano ostatnio nazwy nowym ulicom: jest już ul. Kazimierza Wierzyńskiego, ul. Witolda Gombrowicza, ul. Eugeniusza Kwiatkowskiego, ul. Aleksandra Kamińskiego, aleja gen. Sikorskiego oraz aleja Wincentego Witosa.

25-1-81

Tygodnik Powszechny podaje, że „Obecną wydajność szybu 'Daszewo I' koło Karlina określono na 580 ton ropy naftowej na dobę”. Dawałoby to teoretycznie około 200 tys. ton rocznie. Polska przerabia około 16 mln ton ropy naftowej rocznie, z tego rodzime złoża dostarczały w ostatnich latach zaledwie 300 tys. ton ropy rocznie. ■ Najniższe emerytury w PRL będą wynosiły od 1. 1. br. zł 2.300,00 miesięcznie, dotychczas wynosiły zł 1.800,00. Natomiast renta rodzinna podniesiona została do wysokości zł 1.900,00 (do-

tychczas zł 1.400,00). Przeciętna miesięczna płaca w gospodarce uspołecznionej wynosi obecnie zł 6.203,00. ■ Obowiązkowa wymiana walut dla cudzoziemców, przybywających do PRL, została podniesiona z \$ 16,00 do \$ 19,00 dziennie.

5-2-81

Komisja Ustalania Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych wystąpiła do ministra Administracji z wnioskiem o uchylenie zarządzenia wydanego w 1977 roku w sprawie zmiany 120 nazw miejscowości w województwach krośnieńskim, nowosądeckim, przemyskim, rzeszowskim i tarnobrzeskim.

6-2-81

W Warszawie zmarł w wieku 76 lat Józef Prutkowski, poeta i satyryk.

ZACHÓD — EMIGRACJA

20-11-80

Dziennik Ustaw RP na uchodźstwie ogłosił nominację prof. Edwarda Szczepanika na stanowisko ministra.

3-12-80

Na walnym zebraniu Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu wybrano nowy zarząd na okres dwuletni. Prezesem został inż. Wasyl Mychalczuk, wiceprezesem p. Władysław Żeleński, sekretarzem dr Olga Wituszyńska, skarbnikiem p. Marek Franciszkowski, a członkami zarządu pp. inż. Kateryna Sztul, Zygmunt Hermaszewski, Piotr Jegliński i Wasyl Mulyk.

12-12-80

Wydawnictwo Ullstein zorganizowało wielkie przyjęcie i konferencję prasową dla uczczenia 50 rocznicy urodzin Władimira Maksimowa, znanego pisarza i redaktora miesięcznika *Kontinent*.

21-12-80

Znany niekonformistyczny pisarz sowiecki Władimir Wojnowicz przybył do Niemiec Zachodnich, gdzie przez rok będzie wygłaszał odczyty o literaturze rosyjskiej. W 1974 roku został on wykluczony ze Związku Pisarzy ZSSR. Prawdopodobnie będzie pozbawiony obywatelstwa sowieckiego.

25-12-80

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat płk Konrad Libicki, porucznik I Brygady Legionów, b. naczelny dyrektor Polskiej Agencji Telegraficznej i b. dyrektor Polskiego Radia.

2-1-81

Jan Paweł II przyjął na audiencji metropolitę prawosławnego Jerzego Khora z Patriarchatu Antiochii, przewodniczącego drugiej podkomisji dla dialogu pomiędzy Kościołami katolickim i prawosławnym. Podkomisja obradowała w Rzymie w dniach 27-30 grudnia 1980 roku. Ze strony prawosławnej w obradach wzięli udział archimandryta Voronov z Patriarchatu moskiewskiego i archimandryta Sidoroff z Finlandii, zaś ze strony katolickiej m.in. O. Jean Corbon, jezuita hiszpański Miguel Arranz i dominikanin francuski Jean Tillard.

12-1-81

Delegatem Rządu emigracyjnego w Londynie na Francję został mianowany p. Ksawery Rey.

25-1-81

Doroczną nagrodę teatralną *Dziennika Polskiego* w Londynie otrzymały zespoły taneczno-spiewacze: „Karolinka” z Londynu oraz „Młody Polonez” z Manchester. Każdy z tych zespołów otrzymał £100.00. ■ Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie zorganizowało odczyt prof. Z. A. Kruszeńskiego z Uniwersytetu of Texas na temat znaczenia zagadnień etnicznych w polityce Stanów Zjednoczonych. Prof. Kruszeński ufundował do dyspozycji P.T.N.O. roczne stypendium w wysokości £110.00 dla uczczenia pamięci swojej Matki.

1-2-81

Ukazał się najnowszy numer kwartalnika w języku angielskim *Polish Affairs*. Zawiera on komentarze na temat wydarzeń w Polsce oraz artykuły, m.in. o literaturze w kraju, o Katyniu i inne. Kwartalnik można zamawiać w: *Polish Affairs*, 43 Eaton Place, S.W.1 8BX, Wielka Brytania. Cena £1.00.

7-2-81

Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji wystąpiło ponownie do mera m. Paryża o przemianowanie ulicy i ślepego zaułka „Dantzig” w 15-ej dzielnicy miasta na ulicę i zaułek „Gdańsk”. Pierwsze starania, podjęte w tej sprawie w roku 1977 przez to stowarzyszenie i wiele innych organizacji polskich we Francji spotkały się z odmową m.in. pod pozorem trudności, jakie sprawi ludności wymawianie słowa „Gdańsk”. Jest nadzieja, że od tego czasu Francuzi zdołali się na tyle osłuchać z tą nazwą i nauczyć jej wymowy, że tym razem prośba będzie uwzględniona.

20-2-81

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór poezji Czesława Paszkowskiego „Anioł widzenia”. Poprzednio, 14. 2. br. miał miejsce odczyt płk. Tadeusza Wallicha pt. „Konflikt chińsko-sowiecki, a sprawa polska”, a 30. 1. br. dr Marcin Król mówił na temat: „Style politycznego myślenia a tradycje historyczne”. ■ W Instytucie Katolickim w Paryżu prof. Jan Myciński rozpoczął serię odczytów na temat Historii I Rzeczypospolitej.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

University of Notre Dame Press wznowił wydanie książki prof. K. Zawodnego „Death in the Forest”, historii masakry polskich jeńców w Katyniu. Cena książki — \$7.95. ■ Polish American Medical Society przyznała złoty medal *Medicus* prof. Zawodnemu i dr. Wasiutyńskiemu. ■ Biblioteka Millennium w Los Angeles zorganizowała wieczór poświęcony poezji i prozie Czesława Miłosza. ■ *New York Times Book Review*, niedzielny dodatek do *New York Times'a* poświęcony nowościom wydawniczym, zapowiedział w ostatnim numerze styczniowym ukazanie się w roku 1981 „nowej powieści” laureata Nobla, Czesława Miłosza pt. *Dolina Issy* oraz zbioru jego wierszy. W pierwszym numerze lutowym tego samego pisma pojawiła się niezwykle zycielna recenzja pióra Irvinga Howe'a z drugiego amerykańskiego wydania *Rodzinnej Europy*. Irving Howe jest znanym publicystą i pisarzem, wydawcą kwartalnika *Dissent*. Ostatni numer *Dissentu* (zima 1981) zawiera polski „blok tematyczny”, składający się z artykułów Abrahama Brumberga, Stefana Bratkowskiego (przedruk z *Le Figaro*), i Jacka Kuronia (przedruk z *Biuletynu Informacyjnego*). ■ Zbigniew Brzeziński objął funkcje doradcy Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych University of Georgetown w Waszyngtonie. Ponadto prof. Brzeziński obejmuje z powrotem

katedrę profesorską na Columbia University w Nowym Jorku. ■ W dniu 29. 1. br. Jan Paweł II mianował prałata Stepana Sułyka, proboszcza w Perth Amboy, N.J., metropolitą Filadelfii dla katolików ukraińskich oraz O. Inocentego Hilariona Łotockiego z zakonu bazylianów, proboszcza w Hamtramck (Detroit), biskupem ordynariuszem w Chicago. Ks. prałat Sułyk urodził się w 1924 roku w powiecie sanockim diecezji przemyskiej, a O. Łotockij w 1915 roku w powiecie Buczacz w diecezji stanisławowskiej. Nominacji znajdowali się na liście kandydatów przedłożonej w listopadzie 1980 r. przez Synod biskupów ukraińskich. — Sakra biskupia zostanie udzielona przez Kardynała Josifa Slipyja w dniu 1. 3. br. ■ W dniu 16. 12. 1980 r. Jan Paweł II przyjął na audiencji metropolitę Juvenaliego, przewodniczącego departamentu do spraw zagranicznych Patriarchatu moskiewskiego. ■ Na zaproszenie Departamentu Stanu Jan Nowak wygłosił w dn. 7. 1. br. referat o sytuacji w Polsce na tzw. „Otwartym Forum Sekretarza Stanu”. Odczyt zgromadził ok. 160 urzędników rządowych resortów interesujących się zagadnieniami polskimi. Po odczycie prelegent podejmowany był obiadem przez zastępcę podsekretarza stanu do spraw Europy wschodniej p. Roberta Barry w towarzystwie dziesięciu innych wyższych urzędników Departamentu Stanu.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

W Adelaidzie (stolicy stanu Południowa Australia), odbył się w dniach od 27 grudnia ub.r. do 4 stycznia br. Festiwal Polskiej Sztuki i Kultury pod nazwą POL-ART 81. W imprezach festiwalowych wzięło udział ponad 500 osób (głównie polskiej młodzieży urodzonej w Australii), przybyłych ze wszystkich stanów Federacji. W Festiwalu wystąpiły folklorystyczne zespoły taneczno-wokalne, zespoły muzyczne, chóry i soliści, zespoły teatralne oraz indywidualni artyści. Główne występy odbyły się w sali opery. Ponadto miały miejsce wystawy polskiego malarstwa i rzeźby w sali Królewskiego Towarzystwa Sztuki oraz „Polacy w Australii” w stanowej australijskiej bibliotece. Festiwal odbył się pod patronatem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii (centralnej reprezentacji ponad 100-tysięcznej australijskiej Polonii). Oficjalnego otwarcia dokonał gubernator stanu Południowa Australia, w obecności prezesa Rady Naczelnej inż. Krzysztofa Łanuciego. Pierwszy tego rodzaju festiwal odbył się w Sydney w 1975 roku, z inicjatywy Zjednoczenia Polek w Australii. Następne festiwale odbywać się mają co trzy lata, najbliższy ma być w Melbourne. Wydaje się, iż takie polskie festiwale w Australii są jedynymi na emigracji. ■ Na australijskiej liście noworocznej odznaczeń królewskich jest dwóch Polaków znanych z życia organizacyjnego australijskiej Polonii. Są nimi: Ryszard Krygier, były korespondent w Australii Polskiej Agencji Telegraficznej, w okresie drugiej wojny światowej, wydawca i współpracownik pism australijskich, były prezes Polskiego Koła Kult.-Artystycznego w Sydney — otrzymał *Order of British Empire* (OBE) oraz Alojzy Dziendziel, wieloletni działacz Związku Polaków w Hobart — otrzymał *Member of British Empire*. ■ W pierwszych dniach stycznia br. odbył się w Adelaide XVI Zjazd Delegatów Kół SPK w Australii. Prezesem Zarządu został ponownie wybrany Marian Dobek. Zjazd uchwalił deklarację ideologiczną wyrażającą poparcie wszystkim ruchom niepodległościowym w Polsce. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii liczy około tysiąca członków w 14 Kołach; posiada 3 własne Domy (Canberra, Brisbane i Geelong). ■ Po 15-letnim okresie starań i negocjacji polskie społeczeństwo w stanie Wiktoria doczekało się utworzenia lektoratu polonistycznego na uniwersytecie Monash (Melbourne). W bieżącym roku akademickim rozpocznie się na wymienionym uniwersytecie pierwszy zaawansowany kurs języka polskiego i polskiej literatury. Będzie

to drugi z kolei lektorat polonistyki w Australii. Pierwszy istnieje od szeregu lat na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberra. ■ Od października ub.r. rozpoczęto w Australii nadawanie programów z państwowej wielokulturowej stacji telewizyjnej. Inicjatorem i dyrektorem jest Bruce Gyngell, który w 1956 roku oficjalnie wprowadził telewizję w Australii. Australijski wielokulturowy program nadawany jest przez 35 godzin tygodniowo i zmierza do pozyskania odbiorców nie tylko w grupach etnicznych, ale również wśród Australijczyków (obcojęzyczne filmy posiadają angielskie podtytuły), którym chce przybliżyć tradycje, kulturę, środowisko i problemy krajów pochodzenia tutejszych osiedleńców. ■ Ostatnio ukazały się następujące książki autorów, zamieszkałych w Australii: Lecha Paszkowskiego, historyka australijskiej Polonii — „Social Background of Sir Paul Strzelecki and Joseph Conrad”, prof. Jerzego Smolicza, dziekana wydziału pedagogicznego uniwersytetu w Adelaide — „Culture and Education in a Plural Society” (o społeczeństwie wielokulturowym w Australii) oraz Władysława Romanowskiego — „Zły znak” (tom opowiadań wydany w listopadowej serii wydawnictw londyńskiej Polskiej Fundacji Kulturalnej). ■ W dodatku literackim dziennika *The Age*, ukazującego się w Melbourne, zamieszczona została recenzja z nowowydanego wyboru wielojęzycznych utworów literackich pt. „The First Multilingual Anthology”. Recenzent *The Age* pisze, że do roku 1960 australijscy literaci nieanglosaskiego pochodzenia należeli do rzadkości. Od 1960 roku jest już w Australii takich prozaików ponad sześćdziesięciu. Książka zawiera utwory 17 autorów-imiigrantów. Wśród nich znajduje się wiersz Polki Barbary Schenkel, której wiersz „A Dream of Auschwitz Prisoner” („Sen więźnia Oświęcimia”) recenzent ocenia jako przejmujące wspomnienia tragicznych przeżyć niektórych imigrantów. ■ 13 grudnia ub. roku z inicjatywy Koła SPK nr 6 miało miejsce w Sydney masowa manifestacja jedności Polonii z krajem a przede wszystkim z działalnością NSZZ „Solidarność”. Po uroczystym nabożeństwie w katedrze, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich wschodnioeuropejskich emigracji odbył się wiec Uczestników — obecnych było ponad 4.000 osób. W czasie wiecu odczytano telefonogram załogi polskiego statku „Franciszek Kleeberg”, zrzeszonej w NSZZ „Solidarność”. Załoga nie mogła wziąć udziału w manifestacji gdyż statek musiał odpłynąć poprzedniego dnia. Bardzo niemiłe i trudne do uzasadnienia było oświadczenie wygłoszone przez ks. rektora Z. Pajdaka, T.Ch., z pulpitu przed ołtarzem na zakończenie nabożeństwa w katedrze. Ks. Rektor oświadczył m.in.: „Oficjalnie, jako duszpasterze nie wiemy o jakichkolwiek waszych akcjach, kto je organizuje nie wiemy, a anonimowość tak poważnej akcji ma swoją wymowę. Chcemy zwrócić na to szczególną uwagę i uczulić wierzące społeczeństwo. Żyjemy w wolnym kraju. Tu wiele wolno, ale nie wolno uprowadzać zamieszania i podszywać się pod czyjś autorytet i działać na niedoinformowanie społeczeństwa polskiego... — Jeszcze jedno, naród nasz, nasi bracia umęczeni w kraju nie potrzebują żadnych waszych manifestacji takich czy innych, ale potrzebują naszej modlitwy...”. — Trudno zrozumieć jaki cel miało to oświadczenie. Prymas Polski oświadczył m.in.: „Cały Kościół katolicki w Polsce popiera Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. ■ *Odnaczenie Wałęsy w Australii.* 23 stycznia br. w Melbourne w sali South Yarra Library, odbyła się uroczystość zorganizowana przez australijską organizację „The Freedom Coalition”, która ogłosiła dzień 23 stycznia jako *World Freedom Day*. Z tej okazji będą przyznawane corocznie dwie nagrody (międzynarodowa i australijska) za zasługi na rzecz wolności — Valiant for Freedom Award. W tym roku nagrodę międzynarodową przyznano przywódcy „Solidarności” w Polsce Lechowi Wałęsie i australijską pani Paulli Kelly z Melbourne za opiekę nad uchodźcami z Indochin.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA KANADYJSKA

W związku z zarejestrowaniem Centrali Fundacji „Światowa Wspólnota Polonijna” z siedzibą w Ottawie, Rada Koordynacyjna Polonii Świata ogłosiła konkurs na projekt znaczka dla członków tej Fundacji. Nagrody wynoszą po \$ 200, \$ 100 i \$ 50. ■ Biblioteka w Montrealu otrzymała za pośrednictwem biblioteki miejskiej w Montrealu subwencję rządu prowincji Quebec w wysokości \$ 20.000 rocznie na zatrudnienie fachowego bibliotekarza. Jest to najwyższa dotychczasowa dotacja, jaką otrzymała ta największa biblioteka polska w Kanadzie, która jest częścią Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Kustoszem jej, a poprzednio kierownikiem, jest pani Wanda Stachiewiczowa. ■ Dnia 12 stycznia zmarł nagle na udar serca w wieku 47 lat Tadeusz Glista, jeden z najbardziej aktywnych działaczy polonijnych. Syn imigrantów polskich, urodzony na farmie w prowincji Saskatchewan, wychował się w Toronto. Od wczesnej młodości należał do Grona Młodzieży przy Związku Polaków w Kanadzie i był w pełni tego słowa znaczeniu wychowankiem tej organizacji, zajmując w niej kolejno różne stanowiska, w pierwszym w organizacji młodzieżowej, następnie w centralnej. W wieku lat 24 został wiceprezesem Zarządu Głównego ZPwK; miał zaledwie 29 lat, gdy obrano go wiceprezesem Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej, a w wieku 32 lat stanął na czele Zarządu Gł. ZPwK, piastując to stanowisko przez 10 lat. Był pierwszym rdzennym Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, który stanął na czele tej organizacji, a zarazem niezwykle dynamicznym działaczem, który nie zamknął się w kręgu spraw polonijnych. Był aktywny w polityce kanadyjskiej oraz w organizacjach społecznych. Brał czynny udział w pracach Partii Liberalnej, nie tylko na szczeblu lokalnym, brał udział w zjazdach i konferencjach partyjnych, przyjaźnił się z przywódcami tej partii. On to uzyskał od Lestera Pearsona w 1959 roku wywiad, w którym wypowiedział się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Oświadczenie to atakowali w czasie kampanii wyborczej konserwatyści. Na forum międzynarodowym był rzecznikiem nie tylko Polonii, ale również innych grup etnicznych, poświęcając wiele uwagi problemom wielokulturowości. Został przewodniczącym grupy Ontario federalnego Komitetu Doradczego d/s Wielokulturowości, później został wiceprezesem Komitetu. *Place Polonaise*, reprezentacyjny ośrodek ZPwK, powstał z jego inicjatywy, był również założycielem Fundacji im. Władysława Reymonta, zorganizował biuro podróży ZPwK. To nie wszystkie, ale najbardziej znane jego osiągnięcia. Pogrzeb zgromadził ponad tysiąc osób, w tym przedstawicieli władz państwowych, regionalnych i samorządowych. ■ 10 listopada ub.r. odbył się w Toronto wieczór literacki „W pracowniach polskich pisarzy w Toronto”, poświęcony twórczości Wacława Iwaniuka, Wacława Lieberta i Adama Tomaszewskiego. ■ W Toronto zmarł w wieku lat 82 Józef Pankowski, jeden z założycieli Związku Polaków w Kanadzie. ■ Dnia 14 września ub.r. zmarł w Marion (USA) Władysław Baśkiewicz, wieloletni działacz, pracownik Związku Zawodowego Metalowców w Kanadzie. Należał też do aktywnych działaczy Związku Polaków w Kanadzie i często zabierał głos na łamach prasy w sprawach polsko-ukraińskich. Odegrał wraz z Joe Borowskim wielką rolę w pozyskaniu dla Związku Metalowców pracowników INCO w Sudbury, którzy należeli do konkurencyjnego związku, na czele którego stał najwybitniejszy działacz związkowy pochodzenia polskiego, Mike Solksi. ■ W Brampton, Ontario, zmarł 25 września ub.r. dr Grzegorz Szymonowicz, radca poselstwa R.P., przewodniczący Związku Polaków w Rumunii, założyciel Światowego Związku Polaków zagranicą.

KRONIKA SZWEDZKA

Napaści sowieckie na Szwecję. Turystyczny ruch promem do Polski zagrożony

Bezprzykładny atak sowieckiej *Literaturnoj Gazety* na „Solidarność” i KOR, poruszający marginesowo także pomoc szwedzkich Związków Zawodowych oraz niektórych innych grup w Szwecji, został w sensacyjny sposób rozdmuchany przez szwedzką prasę. „Szmugiel walut i propagandy na polskich promach. Sowiety krytykują Szwecję”. Forma w jakiej wiadomość została podana i komentarz moskiewskich korespondentów wywołuje u czytelnika wrażenie, że ostrze sowieckiego prasowego ataku skierowane było właściwie przeciw Szwecji. Od chwili dojścia Hitlera do władzy aż po dzień dzisiejszy wyczuwa się w opinii szwedzkiej tendencję niedrażnienia silniejszego a wypadki w Polsce, o której od września 1939 roku nie pisano tyle i tak pozytywnie jak obecnie, zaczynają wywoływać w miejscowej opinii niepokój. Wyczuwa się tu silną obawę, że może się to skończyć katastrofą a w ostatecznym rezultacie wciągnąć i Szwecję w wir wydarzeń.

Umiarkowanie prawicowy *Svenska Dagbladet* pisze, że „zdaniem Rosjan promy wykorzystywane są do przewożenia zagranicznych emisariuszy, przywożących ze sobą instrukcje i propagandę”. Korespondent moskiewski tego pisma donosi: „prasa sowiecka wciąga po raz pierwszy Skandynawię w wir wypadków polskich. Oskarżenia pośrednio skierowane są przeciw szwedzkim i norweskim Związkom Zawodowym”. Skoro *Literaturnaja Gazeta* oburza się, że „między Stockholm a Gdańskiem kursują regularnie promy otwarte dla wszystkich, bez formalności wizowych, i skoro tylko Szwedzi i Polacy mogą używać tych promów bez wiz jasne staje się, że twierdzenie, iż promy są używane przez „zagranicznych emisariuszy” jest zarzutem skierowanym przeciw tym Szwedom, którzy z tej komunikacji do Polski korzystają”.

W związku z tym warto przypomnieć wiadomość podaną przez szwedzką prasę 16 grudnia. Ogłoszono wtedy, że decyzją polską postanowiono zerwać 6 stycznia 1981 komunikację promem między Karlskroną w Szwecji południowej a Gdańskiem. Powodem miała być „wewnętrzna sytuacja polityczna w Polsce”. Strona polska uprzedziła jednocześnie Szwedów, że połączenie między Nynäshamn koło Stockholmu a Gdańskiem ulegnie ograniczeniu a być może nawet ustanie w ogóle. Natomiast nie poruszono sprawy promu Ystad - Świnoujście.

Telewizja szwedzka zwróciła się 12 lutego do Jakuba Świącieckiego, jednego z łączników między szwedzkimi kołami przychylnymi Polsce a polską demokratyczną opozycją, z prośbą o skomentowanie napaści sowieckiej prasy. Świąciecki stwierdził m.in., że „Solidarność” zwróciła się do zagranicznych związków zawodowych, w tym i do szwedzkiego, z apelem udzielenia fachowej pomocy związkowej w organizowaniu polskiego ruchu zawodowego. Centrala szwedzkich Związków Zawodowych, LO, odpowiedziała pozytywnie. Udzielono normalnej — jawnej pomocy międzyzwiązkowej m.in. w formie dostarczenia technicznego materiału dla biur „Solidarności”. Wszelkiego rodzaju pomoc odbywa się w formie oficjalnej. Pomoc ta jest dla „Solidarności” ogromnie ważna, ułatwia konsolidację autentycznego ruchu zawodowego, co ze swej strony przyczynia się do uspokojenia atmosfery w Polsce. Kierownictwo „Solidarności” powinno mieć swobodę w kontaktowaniu się z bratnimi zawodowymi organizacjami za granicą.

Dodać należy, że przedstawiciele szwedzkiego LO odwiedzili już kilkakrotnie „Solidarność” w Polsce, co widocznie irytuje Rosjan, a 23 lutego oczekiwany jest przyjazd do Szwecji zaproszonej przez LO, delegacji „Solidarności” pod przewodnictwem Bogdana Lisa.

Napastliwy artykuł rosyjskiego pisma spotkał się z krótkim a stanowczym oświadczeniem p. Thorbjörn Carlssona, międzynarodowego sekretarza LO. „Znaliśmy pogląd prasy sowieckiej na 'Solidarność'. Ale warto podkreślić, że 'Solidarność' została zaproszona na Kongres węgierskich Związków Zawodowych. A przewodniczącą węgierskiego Związku Zawodowego jest jednocześnie także przewodniczącą komunistycznej federacji światowej. Naszą zasadą jest dawanie tej pomocy jaką uchwali 'Solidarność'”, stwierdził p. Carlsson. Ujawnił on także, że „Solidarność” zwróciła się do LO z prośbą o udzielenie im sprzętu drukarskiego i biurowego. Pięciu polskich typografów przybędzie tu na zaproszenie Związku Zawodowego szwedzkich typografów w celu przejścia w Szwecji przeszkolenia drukarskiego, a szwedzki Związek Typografów ma w tej chwili dwóch przedstawicieli w Polsce.

Demonstracje w Estonii

Czterdziestu estońskich intelektualistów z elity kultury narodowej — bynajmniej nie należących do kół dysydenckich — skierowało do władz i społeczeństwa alarmujący apel z powodu postępującej rusyfikacji kraju. Stwierdza on, że ta przymusowa rusyfikacja wzmaga w narodzie „nienawiść do Rosjan co uniemożliwi pokojowy rozwój społeczny”. Apel, podpisany już 28 października był dawno znany w kołach estońskiej emigracji w Szwecji. Ale dopiero teraz znany jest w całości. Po raz pierwszy w powojennej historii krajów bałtyckich ukazał się apel o tak krytycznej i głębokiej analizie skutków sowieckiej okupacji. Tak jak w Polsce tak i tu społeczeństwo estońskie zaczyna przełamywać barierę strachu. Jak wynika z doniesień prasy szwedzkiej i z poglądów tutejszej emigracji estońskiej, apel wzoruje się poniekąd na apelu polskiego PPN i czeskiej Karcie 77.

Na szczególną uwagę zasługuje ta część apelu, która porusza temat tabu w Sowietach: stosunki między Estończykami a Rosjanami. Jawnie wskazuje na panującą w społeczeństwie nienawiść, za który to stan obciążają autorzy apelu Rosjan. Apel mocno protestuje przeciw wzmagającej się imigracji Rosjan do Estonii przez co Rosjanie tworzą już większość ludności w stolicy Estonii, Tallinie. Przyspiesza to rusyfikację kraju. Apel protestuje przeciw przymusowemu narzucaniu języka rosyjskiego i fałszowaniu rodzimej historii.

Apel wydany został po wielkiej demonstracji młodzieży estońskiej, która zorganizowała pochod z udziałem kilku tysięcy uczniów, noszących sztandary o barwach narodowych. Partia aresztowała i przeszukiwała wielu uczestników, część została zesłana do prac przymusowych w estońskich kółchozach ale zaniechano bardziej drastycznych represji. Podobnie jak w Polsce, władze pragną uniknąć dramatycznych konfrontacji a trzymając wydarzenia w sekrecie pragną przeszkodzić szerzeniu się „polskiej zarazy”.

Norbert ŻABA

NOTY

DOM POLSKI JANA PAWŁA II

placówki polskiej w Rzymie pod nazwą Dom Polski Jana Pawła II. Akcja Upłynął rok od podjęcia pierwszych, konkretnych kroków dla realizacji zbiórki na ten cel objęła środowiska polonijne w 22 krajach. Latem ub. roku zakupiono duży, nowoczesny obiekt w nowej, rezydencjalnej dzielnicy

przy via Cassia. Koszt: 2,5 miliona dolarów. Wpłacono dotąd połowę tej sumy. Zbiórka, jak się wydaje, nie postępuje dostatecznie szybko, tak jak zakładano. Koszt zakupu jest o połowę niższy od cen rynkowych. Jest to bowiem kompleks budynków (100 pokoi i kilka sal) w znakomitym stanie wraz z parkiem, wzniesiony 15 lat temu, do niedawna własność Domu Generalnego francuskich zakonnic ze zgromadzenia Najsw. Serca i Wieczystej Adoracji. Kompleks ten przejęto do użytku 1 sierpnia ub. roku. Uroczyste otwarcie przez Ojca Świętego nastąpi prawdopodobnie późną wiosną tego roku. W liście do kongresmana Klemensa Zabłockiego, przewodniczącego komitetu zbiórki na terenie USA, Prymas Polski pisze m.in.: „Dom Polski Jana Pawła II będzie miejscem gdzie Polacy będą mogli znaleźć godziwy dach nad głową, spotkać się w atmosferze odpowiadającej celom pielgrzymki, a także miejscem skąd moglibyśmy szerzyć słowo prawdy o wielkiej przeszłości Kościoła w Polsce, o dorobku kulturalnym naszego Narodu. Jest to potrzeba chwili. Nie zaprzepaścmy tej historycznej okazji”. Dom ma spełniać rolę nie tylko ośrodka noclegowego dla polskich pielgrzymów (szczególnie z kraju). Będzie również siedzibą Instytutu Kultury Chrześcijańskiej, którego powołanie do życia zapowiedział dr Stanisław Grygiel (b. wykładowca Papieskiego Wydz. Teol. w Krakowie i b. red. *Znaku*); tymczasem organizuje periodyczne odczyty na tematy religijne. Administracją domu zajmuje się ks. Ksawery Sokołowski, zastępca O. Kazimierza Przydatka S.J., kierownika ośrodka duszpasterskiego dla pielgrzymów „Corda Cordi” i głównego animatora akcji zbiórki. W liście do duszpasterzy emigracji i lokalnych komitetów zbiórki, kard. Rubin i bp Wesoly podkreślają znaczenie Domu Polskiego jako ośrodka kultury: „Dom Polski Jana Pawła II ma być ośrodkiem umożliwiającym ludziom nauki i sztuki prowadzenie prac badawczych i działalności twórczej w dziedzinie szeroko pojętej polskiej kultury chrześcijańskiej. Będzie spełniał to zadanie przez organizowanie prelekcji, sympozjów, wystaw, spotkań, w czasie których będzie można zapoznać się z osiągnięciami naukowymi i artystycznymi. Dom ten ma również rozwijać studia nad nauczaniem Jana Pawła II, udostępniać jego wskazania i program tak by mogły być łatwiej dostosowane do codziennego naszego życia. Praca w dziedzinie kulturalnej będzie skupiała w tym centrum zarówno Polaków z Kraju jak i z Emigracji”.

Wszystko to brzmi bardzo ładnie. Sęk jednak w tym, jak będzie wyglądać w praktyce „szeroko pojęta polska kultura chrześcijańska”. Dotychczasowe doświadczenia nie napawają niestety optymizmem. Zachodzi obawa, że ten nowy ośrodek stanie się jeszcze jedną placówką kościelną o wąsko pojmowanym charakterze. Brak w niej dotąd choćby skromnej biblioteki na użytek pielgrzymów. Nie mówiąc o księgarni.

W KRAJU O KS. ORSZULIKU

Zamieszczone przez redakcję „Obserwatorium” w *Kulturze* Nr 1/2 (1981), wymaga kilku uwag wyjaśniających i uzupełniających. W związku z „afetą ks. Orszulika” protestowali również w listach do Prymasa Polski m.in. zespół redakcji *Tygodnika Powszechnego*, profesorowie KUL-u, wybitni intelektualiści katolicy, kilkuset kapłanów. Niezależnie od tego, wielu biskupów wyraziło otwarcie swe niezadowolenie, a nawet oburzenie. Rzecznik prasowy regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, J. Onyszkiewicz, stwierdza w komunikacie z 24 grudnia 1980, że delegacja syndykatu, która spotkała się z ks. A. Orszulikiem, dyr. Biura Prasowego Episkopatu, „otrzy-

mała od niego zapewnienie” iż jego wypowiedzi (do korespondentów zachodnich agencji prasowych) „wykorzystywane przeciw konkretnym osobom były nadużyciem”. Rzecznik prasowy Episkopatu — czytamy w komunikacie — przypomniał, że Kościół był, jest i będzie przeciwny wszelkim represjom i więzieniu osób za głoszenie poglądów politycznych. Delegacja „Mazowsza” przyjęła to oświadczenie do wiadomości. W czasie audiencji dla tej delegacji 4 stycznia br. Ks. Prymas oświadczył, że wypowiedzi ks. Orszulika zostały błędnie przekazane. Ks. Prymas opierał się na ustnej relacji swego współpracownika, nie zaś na materiale dowodowym.

Ks. Prymas jest w dalszym ciągu osobistością niezastąpioną. Rzecznik jednak w tym, że wykonawcy jego generalnych dyrektyw nie zdają egzaminu, prowokując tym samym rysy na spójności i jedności Episkopatu. Zamiast ograniczyć się do czynności pomocniczych, próbują interpretować nieudolnie punkt widzenia Ks. Prymasa, wykazując nadgorliwość i przerost ambicji personalnych, wchodzą na teren nie należący do Kościoła (odnosi się to nie tylko do dyr. Biura Prasowego Episkopatu). Nic więc dziwnego, że wykonanie generalnej linii Ks. Prymasa szwankuje, a nawet obraca się przeciw jego dążeniom.

Zasadnicze zastrzeżenia budzi fakt prezentowania się ks. Orszulika jako rzecznika Episkopatu, do czego — według miarodajnych źródeł kościelnych — nie otrzymał mandatu. Ks. Orszulik występuje ponadto jako „zastępca sekretarza Episkopatu” choć brak aktu powołującego go na to stanowisko. Konferencja biskupów go nie wybierała, kto go mianował bez konsultowania członków tej Konferencji — niewiadomo. Nie jest również członkiem Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, lecz po prostu sekretarzem delegacji Episkopatu *ad pari*, po stronie rządowej, z wicedyr. Urzędu d/s Wyznań, A. Merkerem. Jest to stanowisko czysto techniczne. Nie chodzi tu wyłącznie o formę, lecz o treść. Zamęt w sprawach formalnych podkopuje zaufanie.

Materiał nadesłany z kraju

Listy do Redakcji

Città del Vaticano, 25 stycznia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze.

W styczniowym numerze *Kultury*, w rubryce „Wydarzenia miesiąca. Zachód, Emigracja” została zamieszczona pod datą 30 listopada notatka, w sprawie której chciałbym zabrać głos.

Notatka dotyczy uzyskania zezwolenia na wysyłanie do Kraju polskiej edycji *L'Osservatore Romano*.

Najpierw co do daty: jest ona fałszywa. Wiadomość o uzyskaniu zezwolenia otrzymałem z Sekretariatu Stanu 20 listopada, dokumenty więc musiały być podpisane jeszcze wcześniej. Co do ilości: notatka sugeruje, „zgodę na kolportaż w Polsce 60.000 egzemplarzy”. Otóż zgoda nie określa ilości egzemplarzy, wysyłane są one według zamówienia z kraju. Pierwsze trzy numery jakie zostały wysłane, wysłane były po 90.000 egzemplarzy. W tej chwili zamówienie wzrosło. Jest to obecnie wśród językowych wydań watykańskiego pisma edycja o największym nakładzie.

Notatka następnie stwierdza, że jest to „wydawnictwo niesłychanie blade” i zawiera (notatka) przypuszczenie, że jest takie „dzięki długotrwałym rokowaniom dotyczącym wpuszczenia do Polski”.

Rzeczywiście, w wyniku wspomnianych rokowań polska edycja nie posiada — co łatwo stwierdzić — niektórych ważnych działów, które istnieją w innych edycjach językowych. Mimo wszystko jednak sądzę, że twierdzenie konstatające „niesłychaną bladłość” nie jest w pełni sprawiedliwe. Podobnie jak inne wersje tego pisma, polska edycja zawiera przede wszystkim przemówienia papieskie. Śmiem twierdzić, że zamieszczane teksty kraszą te łamy niejakim rumieńcem. Przemówienia Jana Pawła II dotyczą zagadnień niesłychanie aktualnych i ważnych. Jako przykład wspomnę choćby przemówienie do robotników w Sao Paulo, które warto przeczytać także w kontekście ostatnich polskich wydarzeń. Poza tym tak się dziwnie składa, że sporo osób w Polsce interesuje się religijnym i etycznym nauczaniem Jana Pawła II. Zamieszczane w różnych pismach streszczenia i omówienia, nawet Dominika Morawskiego, nie zaspokoją głodu tekstów integralnych i autentycznych. Przy tym w Polsce można było zaobserwować swojego rodzaju „modelowanie” portretu Papieża dokonywane przy pomocy odpowiednio dobranej cytaty, fragmentów i informacji.

Co zaś do zaskakującej alternatywy: „czy nie lepiej byłoby wynegocjować zwiększenia nakładu *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie, który (*Tygodnik Powszechny* prawdopodobnie, nie Kraków) nadal nie może uzyskać odpowiedniego przydziału papieru” — jest to alternatywa po prostu niemądra. Po pierwsze: istnienie czy nieistnienie polskiej wersji *L'Osservatore* nie ma żadnego wpływu na przydział papieru dla *Tygodnika*. Po drugie: docieranie do Polski *L'Osservatore* zwalnia *Tygodnik* z obowiązku drukowania wielu tekstów, dając miejsce publicystyce. Po trzecie: *Tygodnika* w powiększonym nakładzie czy w niepowiększonym nie można obar-

czać drukowaniem papieskich przemówień, które zapełniają nie 8, jak w *Tygodniku*, lecz 24 strony *L'Osservatore*. Przecistawianie wpuszczenia tego pisma negocjacji o zwiększenie nakładu jest dziwnym nieporozumieniem. *Hoc est faciendum, et illud non omittendum*.

Jestem w pełni świadom, że obecny status naszej edycji *L'Osservatore* nie jest idealny, ale mimo to dziwi mnie kwaśny ton, w jakim wiadomość o zezwoleniu na wysyłkę do Polski została przekazana przez *Kulturę*. Chodzi przecież o fakt, bądź co bądź, bez precedensu. Na ile zaś pismo, nawet takie, jest potrzebne w Polsce, pokaże wzrost lub spadek zamówień.

Łączę wyrazy szacunku i najszczerzej życzliwości,

Ks. Adam BONIECKI
redaktor polskiego wydania
L'Osservatore Romano

Hamilton, Ontario, 22 grudnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem w listopadowym numerze *Kultury* sprawozdanie z Drugiego Światowego Kongresu Studiów Sowieckich i Wschodnio-Europejskich w Garmisch-Partenkirchen, zorganizowanego przez Międzynarodowy Komitet, któremu przewodniczyłem w latach 1974-1980. Autor artykułu, podpisujący się pseudonimem „Observer”, stara się stworzyć wrażenie, że jest doskonale zorientowany w działalności Komitetu. W istocie jednak niezbyt dokładnie zreferował szereg spraw. Pozwoli Pan, że sprostuję tylko parę faktów.

I) Głównym celem Międzynarodowego Komitetu jest pogłębienie współpracy między zachodnimi stowarzyszeniami naukowymi w dziedzinie studiów nad Związkiem Sowieckim i krajami Europy Środkowo- i Południowo-Wschodniej. W skład Komitetu wchodzi obecnie 17 stowarzyszeń z 19 krajów rozrzuconych po czterech kontynentach. Utrzymują one ze sobą kontakt poprzez wymianę informacji na łamach „Międzynarodowego Biuletynu”, wydawanego w Paryżu w ilości ponad 6.000 egzemplarzy. Co pięć lat odbywają się Światowe Kongresy na których uczeni z różnych krajów przedstawiają wyniki swoich badań i wymieniają ze sobą poglądy. Komitet jest organizacją apolityczną i wybór prac przedstawianych na Kongresach zależy tylko od ich poziomu naukowego.

Naukowcy z ZSSR i Europy Wschodniej są wykluczeni przez Statut Międzynarodowego Komitetu od udziału w jego organizacji. Są natomiast zapraszani — jako goście — na Światowe Kongresy. Istotnie cieszyliśmy się z liczego udziału uczonych z tych krajów na Pierwszym Kongresie w Banff i żałowaliśmy, że było ich tak mało w Garmisch. Z punktu widzenia Komitetu jest to jednak sprawa drugorzędna. Kongres w Garmisch w którym uczestniczyło 1.415 osób z 32 krajów uważany jest przez organizatorów za bezsprzeczny sukces.

II) Nie jest prawdą, że w Garmisch nie było uczonych z Europy Wschodniej. W Kongresie brało udział 14 naukowców z tych krajów: 7 z Jugosławii, 5 z Polski i po jednym z Rumunii i Węgier.

III) Profesor George F. Kennan jest nie tylko byłym wybitnym amerykańskim dyplomatą, ale także szeroko cenionym uczonym — autorem szeregu książek z zakresu nowoczesnej historii Rosji. Wybór jego, jak również Profesora Hugh Seton-Watsona, jako głównych mówców w języku angielskim miał przede wszystkim na celu urozmaicenie programu, szczególnie

że Minister Hans-Dietrich Genscher przemawiał na otwarciu Kongresu w języku niemieckim.

IV) Istotnie w Garmisch powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie (a nie sekcja) Studiów Polskich, które afiliowane zostanie do Międzynarodowego Komitetu Studiów Sowieckich i Wschodnio-Europejskich. W skład jego pierwszych władz weszli jednak nie tylko Dr Norman Davies (Wielka Brytania) i Profesor Gotthold Rhode (RFN), ale także Profesor Jerzy Krzyżanowski (USA) i Profesor Jerzy Mond (Francja). „Obserwator” natomiast ma rację, że Stowarzyszenie nie jest pomyslane jako organizacja emigracyjna, ale międzynarodowa i ściśle naukowa.

Z poważaniem,

Adam BROMKE, Profesor

West Wickham, Kent, 26 stycznia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na str. 206 ostatniego (1/2 - 1981) zeszytu *Kultury* przeczytałem zdanie: „...nikt czy prawie nikt ze środowiska literackiego czy naukowego nie siedział w więzieniu”. Jest to opinia Redakcji wypowiedziana w polemice z p. M.K. na temat historii stalinizmu w Polsce.

W związku z tym chciałbym stwierdzić, że spośród członków jednego tylko, i to niezbyt liczego, środowiska naukowego ekonomistów i statystyków, przesiedzieli po kilka lat w więzieniu: Karol Brzóska, Aleksander Gruzewski, Włodzimierz Hagemeyer, Zbigniew Heidrich, Kazimierz Studeniewicz, Tadeusz Szturm de Sztrem, Andrzej Święcicki, Aleksy Wakar, Jan Antoni Wilder i Józef Zagórski. Lista ta obejmuje wyłącznie osoby związane ze szkołami akademickimi i być może nie jest kompletna. Liczba uwięzionych działaczy gospodarczych była o wiele większa. W samej „sprawie Maringe’a” aresztowano co najmniej kilkudziesięciu ekonomistów rolnych.

Uważałem za wskazane, żeby przedstawiciele innych dyscyplin naukowych i różnych dziedzin literatury i sztuki przypomnieli (najlepiej na łamach *Kultury*) nazwiska swych kolegów prześladowanych w okresie stalinizmu. Świadkowie historii nie powinni milczeć. Jeżeli dzisiaj nie ujawnimy prawdy, to za kilka lat będzie mógł ktoś bezkarnie napisać że żadnych ofiar stalinizmu nie było, i że brutalni gnębielcy kultury polskiej byli w istocie jej dobrodziejnymi „animatorami”.

Łączę wyrazy poważania,

Jan DREWŃOWSKI

Lodyn, 4 lutego 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej z dnia 4 grudnia 1980 r. dotyczącym *Słownika współczesnych, żyjących polskich pisarzy przebywających stale na obczyźnie* (takiej nazwy użyliśmy w naszym Komunikacie Specjalnym), donosimy co następuje.

Komisja powołana przez Walne Zebranie naszego Związku, które odbyło się 15 czerwca 1980 roku w Londynie, wykonała swoją pracę i przysłała nam swe orzeczenie. Podpisali je wszyscy członkowie komisji: E. Romiszewski (przew.), J. Kowalewski i Z. Zaniewicki (członkowie).

Orzeczenie obejmuje siedem stron maszynopisu i dlatego, w całości, zostanie podane do wiadomości wszystkich członków Związku w naszym *Biuletynie*, tutaj podajemy tylko jego najważniejsze punkty.

„W dokumentacji nie ma śladu, by Zarząd nawiązał współpracę z kol. Jurkszus, jako autorką *Słownika*, której miał służyć jedynie pomocą”.

„Komisja więc nie może przychylić się do stanowiska kol. Jurkszus, że Zarząd ją zepchnął z roli autorki *Słownika* na pomocniczą funkcję, skoro od samego początku współpracy zgodnie z ustalonym przez obie strony układem i potem w ciągu pięciomiesięcznej współpracy na zasadzie: Zarząd-redakcja *Słownika* a kol. Jurkszus — pomoc w opracowywaniu biogramów — nie było w ogóle kwestii, aby kol. Jurkszus miała być autorką *Słownika*”.

W konkluzji komisja postawiła sobie dwa pytania, na które dała odpowiedź.

„Czy jako inicjatorka i autorka *Słownika* kol. Jurkszus miała tytuł do spodziewania się, że Zarząd przychodząc jej z pomocą będzie powolny jej postulatom,

czy też, jako Koleżanka ofiarowująca swoją pomoc Zarządowi w określonym zakresie tylko wstępnych prac, powinna była podporządkować się wytycznym Zarządu.

Dokumentacja wykazała, że w ustalonym układzie współpracy kol. Jurkszus była na tej drugiej pozycji, dlatego Komisja po zbadaniu dokumentów przedstawionych jej przez obie strony i zanalizowaniu ich z całym obiektywizmem i najlepszą wolą, by nie uchybić prawdzie, nie mogła przyznać słuszności zarzutom kol. Jurkszus, jakoby Zarząd przekroczył swoje kompetencje i naruszył etykę obowiązującą w postępowaniu w środowisku pisarskim. Natomiast w niektórych punktach (ad. c) Komisja stwierdziła, że mimo trudnych warunków, w jakich działał Zarząd, przydałoby się ze względów koleżeńskich więcej troskliwości o samopoczucie koleżanki dobrowolnie angażującej się do współpracy”.

Ze swej strony dodajemy wiadomość, że Zarząd Związku będzie kontynuować swoją pracę nad *Słownikiem*, że w najbliższym czasie powoła specjalną komisję i że ma nadzieję doprowadzić rozpoczęte przedsięwzięcie do końca. Każda konstruktywna sugestia zostanie przez nas wzięta pod uwagę.

Z wyrazami poważania,

Za Zarząd Związku Pisarzy

A. BOGUSŁAWSKA
sekretarka

J. GARLIŃSKI
prezes

Londyn, 8 stycznia 1981.

Szanowny Panie!

W grudniowym numerze *Kultury* (1980 r.) na stronie 5 ukazały się następujące słowa: „Na kardynała Wyszyńskiego powołują się obecnie nacjonalisci różnej maści, od fanatyka Jędrzeja Giertycha poczynając a na proreżymowych grupkach pseudo-katolickich kończąc”.

Uprzejmie proszę Pana o łaskawe wydrukowanie mego oświadczenia, że ani w ostatnich czasach ani nigdy przedtem nie powoływałem się na kardynała Wyszyńskiego, a z proreżymowymi grupkami pseudo-katolickimi nie mam nic wspólnego.

Z poważaniem,

Jędrzej GIERTYCH

Odpis do wiadomości Jego Eminencji
Księdza Kardynała Prymasa Stefana Wyszyńskiego,
Warszawa.

Stuttgart, 20 stycznia 1981.

Szanowna Redakcjo,

Jestem odmiennego zdania niż Wy w — Obserwatorium. — Kościół (kard. Wyszyński, papież Wojtyła) wie, jak się świat będzie obracał; był przecież Brzeziński u kard. Wyszyńskiego w Warszawie. A Brzeziński musi wiedzieć, co w Moskwie będzie się w 80-tych latach dziać.

Dlatego Kościół ma i teraz rację.

Z wyrazami szacunku,

Dr Alfred GRITZMANN

Paryż, 8 lutego 1981.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule poświęconym *Kulturze* w paryskim miesięczniku *Le Débat* (luty 1981) napisałem, cytując wstęp antologii tekstów *Kultury* wydanej przez NOW-ą, że ten dom wydawniczy, „bliski KOR-u, funkcjonujący poza ustalonym systemem wymiany ekonomicznej stanowi paradoksalnie jedyną autentycznie komunistyczną enklawę w Polsce”. Chciałem przez to powiedzieć, że *wszystkie* wydawnictwa krajowe „poza zasięgiem cenzury” ironią losu i siłą rzeczy spełniają *ideał* komunistyczny bezinteresownej wymiany dóbr.

Polski czytelnik mego artykułu, którego zdanie wysoko cenię, zwrócił mi uwagę, że ten żart mój może być źle zrozumiany i stanowić wodę na młyn tych ludzi w Polsce, którzy w najgorszej wierze, nie przebierając w środkach, cynicznie dążą do odizolowania KOR-u od społeczeństwa. Jasne chyba, nic nie mogło być dalsze od mojej intencji.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczny uścisk dłoni,

K. A. JELEŃSKI

Nicea, 17 listopada 1980.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze listopadowym *Kultury* w dziale „Wydarzenia miesiąca” przeczytałam wzmiankę o śp. Marii Szurek Wisti.

Maria Szurek Wisti była aresztowana przez Gestapo jednocześnie ze mną w mieszkaniu, które zajmowałam w Grenoble pod adresem 26, Avenue Marechal Rondon, w dniu 3 marca 1944 roku. Przez parę tygodni byliśmy w więzieniu w Romanville, a następnie wywieziono nas do Ravensbrück. W marcu 1945 roku uciekłyśmy z Ravensbrück, a więc Maria Szurek Wisti była w obozie jeden rok, a nie trzy lata, jak zostało mylnie podane w *Kulturze*.

Uciekłyśmy do Tyrolu i pod Innsbruckiem doczekaliśmy się końca wojny. Do Francji wróciłyśmy w maju 1945 roku.

Łączę wyrazy poważania,

Hanna KASPRZYKOWA

Monachium, 18 stycznia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W otrzymanym wczoraj styczniowym numerze, 1981, *Kultury*, w dziale: „Nagrody *Kultury*”, ukazała się notatka o przyznaniu mi „Nagrody Literackiej im. Z. Hertza”. Z prawdziwym zdumieniem przeczytałem to osobliwe curiosum. Rozpoczyna się bowiem od obelgi pod moim adresem skleconej w następującej frazie:

„Powieściopisarz, nowelista, publicysta. Odsuńmy na bok publicystykę, którą eufemistycznie określić można jako popis niepovertywalności przystrajającej się w piórka 'czystego i niezłomnego antykomunizmu'...”.

„Publicystyka”, jak to wynika z układu tych słów, dotyczy mojej postawy ideowo-politycznej. Zapewne autor, któremu zlecono napisać notatkę, nie tylko nie zna moich utworów w piśmiennictwie emigracji polskiej i rosyjskiej, ale ponadto nie rozoznaje się we współczesnej sytuacji politycznej. Brakuje mu też znajomości znaczenia idiomów. Albowiem „przysrajanie w piórka” znaczy udawanie czegoś czy kogoś kim się nie jest w istocie. Przeważnie dla jakowycich korzyści osobistych niższego rzędu. W polemice używa się różnych chwytów. W paryskiej *Kulturze* utrzymywane były z reguły na poziomie kulturalnym, z unikaniem obrazy osobistej.

Jednoczesna absurdalność tej insynuacji polega na tym, że w dobie przymusowo panującego *Détente*, postawa czystego antykomunizmu przynosi pisarzowi osobistą szkodę. Czego doświadczyłem aż nadto w trudnościach wydania moich książek, które znikły z półek księgarskich we wszystkich krajach. A w pierwszym rządzie w Niemczech zachodnich, gdzie zamieszkuje.

W daalszym ciągu notatki autor jej wysłał się na lansowanie niezgodnych z prawdą faktów. Nie będę się, naturalnie, wdawał w ich prostowanie.

Nagrody *Kultury* nie przyjmuję w obramowaniu tego rodzaju *laudatio*.

Pozwalam sobie wyrazić tylko mój szczerzy żal, że podobny tekst ukazał się na łamach *Kultury* która, zgodnie z tytułem, poczytywana jest za najbardziej kulturalne czasopismo polskie na świecie.

Z poważaniem,

Józef MACKIEWICZ

Potwierdzamy nasz sąd o publicystyce Józefa Mackiewicza, niezależnie od jego nie bardzo fortunnego sformułowania. Nie wiemy o jakich, niezgodnych z prawdą faktach” pisze Mackiewicz w dalszym ciągu swego listu. Przyjęcie czy nieprzyjęcie nagrody zależy zawsze od laureata. (Redakcja).

Kraków, styczeń 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* z grudnia ub.r. (nr 12/399), w notatce „Udana impreza w Rzymie”, p. D. Mor. zdając sprawę z wieczoru „Chrześcijaństwo i kultura w Polsce” zorganizowanego w Rzymie z końcem października ub.r., pisze m.in.: „Turowicz i Dybiak zagalopowali się jednak, kiedy zaczęli mówić o Czesławie Miłoszu prezentując go jako 'poetę głęboko chrześcijańskiego' niemalże jako sztandarowego poetę katolickiego. Nie jest to ani zgodne z prawdą ani potrzebne dla reklamowania jego twórczości na Zachodzie”.

Sprawa to dość marginesowa, może jednak warta wyjaśnienia. Mówiąc o Miłoszu jako o poecie „także chrześcijańskim”, nie miałem bynajmniej intencji „kaperowania” go czy też włączania go do jakiegoś osobnego działu „literatury katolickiej”, o której istnieniu słusznie można dyskutować. Cho-

dziło mi tylko o podkreślenie, że w twórczości Miłosza, podobnie jak w całej kulturze polskiej, nurt religijny, chrześcijański, jest wyraźnie obecny. Prasa zachodnia pisząc o Miłoszu z okazji nagrody Nobla, nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, może więc warto było podkreślić, mówiąc po włosku, do włoskiej publiczności.

Pozostaje sprawa czy to jest zgodne z prawdą, czemu p. D. Mor. zaprzecza. No cóż, czy p. D. Mor. sądzi, że Miłosz tłumaczył ewangelie według św. Marka, psalmy, Jeremiasza, Hioba tylko dlatego, że Biblia jest pomnikiem światowej literatury? A jeżeli chodzi o własną twórczość poetycką Miłosza, to proponuję by p. D. Mor. poczytał sobie takie jego wiersze, rozrzucone na całej przestrzeni jego twórczości, jak: „Do Księdza Ch.”, „Baśń wigilijna”, „Veni Creator”, „O aniołach”, „Grób matki” czy ostatnio „Do Józefa Sadzika”. A potem możemy porozmawiać.

Będę wdzięczny jeśli Pan zechce, Panie Redaktorze, zamieścić ten list w swoim piśmie.

Jerzy TUROWICZ

Poniżej drukujemy w tłumaczeniu list, którego zamieszczenia redakcja *Figaro* odmówiła.

Do P. Redaktora Naczelnego *Figaro*
37, rue du Louvre, Paryż 2.

Panie Redaktorze,

Paryż, 2 stycznia 1981.

My, niżej podpisani, sygnatariusze niniejszego listu, pozwalamy sobie zwrócić Pańską uwagę na zdumiewający charakter korespondencji Pańskiego pisma z Warszawy, sygnowanych przez Bernarda Margueritte'a, a w szczególności na artykuł opublikowany w *Figaro* z 30 grudnia 1980. Ludzie śledzący uważnie rozwój kryzysu polskiego, twierdzenia zawarte w tym artykule uznać mogą jedynie za skandaliczne i oburzające.

Jest co najmniej zdumiewające, że liberalny i demokratyczny dziennik paryski staje się w związku z Polską rzecznikiem poglądów, które z satysfakcją cytuje sowiecka i wschodnioeuropejska prasa na poparcie swej tezy, że prawdziwe zagrożenie dla Polski stanowią nie setki tysięcy żołnierzy skomasowanych na jej granicach lecz „nieodpowiedzialność dysydenckich ekstremistów”. Ci dysydenci „nieodpowiedzialni ekstremiści”, będący zdaniem Bernarda Margueritte'a „jedną z głównych przeszkód w polityce demokracji” prowadzonej przez p. Kanie, to nikt inny jak Jacek Kuron, Adam Michnik i inni opozycjoniści, rzecznicy prawdziwej demokracji Polski, którzy od początku kryzysu odznaczają się umiarkowaniem i rozwagą.

Tych demokratów, którym należy się szacunek i solidarność liberalów i demokratów całego świata, korespondent *Figaro* przedstawia jako ludzi, którzy „swe ambicje polityczne stawiają ponad bezpieczeństwo własnego kraju”. Korespondent Pański wyraża zadowolenie, że ludzie ci, którzy od czasu kryzysu roku 1976 nie ustawali w wysiłkach na rzecz sprawy robotniczej, są „na szczęście” coraz bardziej izolowani. Takie przedstawianie

wydarzeń w Polsce wypacza ich rzeczywisty obraz i z góry usprawiedliwia ewentualne represje władz warszawskich wobec opozycji demokratycznej.

Będziemy Panu zobowiązani, Panie Redaktorze, za zapoznanie Pańskich czytelników z niniejszym protestem.

Łączymy wyrazy poważania,

Alain BESANÇON, dziekan wydziału nauk społecznych w École de Hautes Études,
Pierre DAIX, dziennikarz i pisarz,
François FEJTŐ, historyk i dziennikarz,
Pierre HASSNER, pracownik naukowy w Fondation des Sciences Politiques,
Pierre KENDE, pracownik naukowy w CNRS,
Emmanuel LE ROY LADURIE, profesor w Collège de France,
Paul THIBAUD, redaktor *Esprit*.

Dokumenty

GRUDZIEŃ 1952 — 1970 — 1980

Wnosimy dziś na Wybrzeżu pomniki pomordowanym w grudniu 1970 roku robotnikom. Domagamy się ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności tych wszystkich, którzy wówczas zawinili. Należą się nam bowiem gwarancje nieodwracalności i trwałości przemian w Polsce. Należy również dać zadość poczuciu ludzkiej sprawiedliwości!

Szczególnie konieczne są właśnie gwarancje, wobec rosnącego wciąż bilansu krzywd, starszego niż wypadki grudniowe. Krzywd tych nie zapomnimy!

Już jesienią 1956 roku, tuż po październiku, powołano komisję do zbierania odpowiedzialności pracowników ówczesnego Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, Naczelną Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego współodpowiedzialnych za ohydne morderstwa sądowe, popełnione w latach pięćdziesiątych na dziewiętnastu wyższych oficerach WP. Wyniki prac tej komisji, działającej pod przewodnictwem Mariana Mazura — ówczesnego z-cy Prokuratora Centralnego, nie są znane społeczeństwu do dziś. Mimo bez mała trzydziestu lat, które upłynęły od tego bezprzykładnego mordu, dokonanego w całym „majestacie prawa” i mimo całego ćwierćwiecza, które upłynęło od formalnej rehabilitacji niewinnie straconych, winni i odpowiedzialni za tortury i śmierć nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności!

Trumny ofiar tego sądowego morderstwa nie zostały udekorowane odznaczeniami państwowymi, jak domagało się tego społeczeństwo. Zwłoki pomordowanych nie zostały dotąd ekshumowane, a miejsca ich zrównanych z ziemią mogił nie są nawet znane synom i wnukom. Nie ma dziś nawet skromnej płyty na której wyrte byłyby imiona i nazwiska tych, którzy mieli swój męczeński wkład do współczesnej historii Polski.

A oto nazwiska dziewiętnastu wyższych oficerów WP straconych w latach 1952-1953:

kmr Stanisław Mieszkowski — dowódca Floty Marynarki Wojennej;
kmr por. Zbigniew Przybyszewski — szef artylerii Marynarki Wojennej;
kmr Jerzy Staniewicz — szef Wydz. Mar. Woj. w Sztapie Generalnym;
płk Bernard Adamecki — komendant Oficerskiej Szkoły Lotniczej;
płk August Menczak — szef Wydz. Organiz. Dow. Wojsk Lotn.;
ppłk Władysław Minakowski — b. obserwator załogi Dywizjonu 304;
płk Józef Maks. Jungrow — kier. ref. lotn. w Sztapie Generalnym;
płk Szczepan Scibor — dea 7 pułku lotn. i komendant Ofic. Szkoły Lotn.;
ppłk Stanisław Michowski — szef sekcji studiów w Sztapie Generalnym;
ppłk Aleksander Kita — wykładowca w Ofic. Szkole Samochodowej;
ppłk Marian Orlik — wykładowca taktyki;
ppłk Zygmunt Sokołowski — szef kat. wojsk lotn. przy Sztapie Generalnym;
ppłk Roman Rypson — Wyższa Szkoła Pilotów w Grudziądzu;
mjr Benno Zerbat — absolwent Wyższej Szkoły Wojennej;

płk Aleksander Rode — st. inspektor broni pancernej;
płk Feliks Michałowski — d-ca pułku czołgów i dyr. nauk. w OSB Pan.;
płk Mieczysław Chorski — szef sztabu art. Okręgu Warszawa;
ppłk Zdzisław Barbasiewicz — pracownik Sztabu Generalnego;
mjr Zefiryn Machalla — pracownik Sztabu Generalnego.

Cześć ich pamięci!

Byli wśród nich trzej wyżsi oficerowie Marynarki Wojennej, aresztowani, obok czterech innych, w latach 1950-1951 pod zarzutem „utworzenia nielegalnej organizacji kontrrewolucyjnej”, uprawiającej szpiegostwo, a podległej bezpośrednio tzw. „grupie Tatara”. Odpowiedzialnym wówczas za to co działo się w armii był ówczesny minister obrony narodowej marszałek Konstanty Rokossowski.

W momencie aresztowania siedmiu wyższych oficerów Marynarki Wojennej, mimo wysuwanych absurdalnych zarzutów, Dowództwo Mar. Woj. nie interweniuje i nie protestuje. Nie czyni tego ani ówczesny d-ca Marynarki Wojennej kontradmirał Włodzimierz Steyer, ani jego z-ca d/s liniowych kontradmirał Jan Szylingowski, ani też z-ca d/s polityczno-wychowawczych kmr Józef Urbanowicz (aktualnie wiceminister obrony narodowej). Taka postawa dowództwa umożliwia uzyskanie całkowitej bezkarności w zgnęciu się nad aresztowanymi przez służby śledcze Informacji Marynarki Wojennej w Gdyni. Szefem tej placówki jest wówczas mjr Szerszeń, a jego zastępcą mjr Niedziół — indywiduum charakteryzujące się szczególnym bestialstwem i odczuwaniem. „Śledztwo” prowadzone jest już nie tylko w Gdyni, ale i w Warszawie. Tutaj w karcerach Głównego Zarządu Informacji WP odpowiedzialnym przełożonym mianowano płk. Wozniesińskiego, jego z-cą, a później następcą jest płk Antoni Skulbaszewski.

Tzw. „akt oskarżenia”, nie oparty na żadnych dowodach, formułowany jest przez Naczelną Prokuraturę Wojskową zarządzaną wówczas przez płk. Zarakowskiego. Wreszcie w lipcu 1952 roku, gdy kres tortur zarówno fizycznych, jak psychicznych został przekroczony, sfinguje się tzw. „proces” przy drzwiach zamkniętych i bez obrony!

Wojskowym Sądem Najwyższym kieruje podówczas płk. Wilhelm Świątkowski. Oskarża prokurator Marynarki Wojennej kmr Azarkiewicz, a „sądzi” komplet sędziowski: ppłk Juliusz Krupski, mjr Teofil Karczmars, pod przewodnictwem płk. Piotra Parzenieckiego. W tym kapturowym sądzie w sprawie pod numerem Sn. 14 52 zapadło pięć wyroków śmierci.

Decyzja kompletu sędziowskiego została podjęta w przeddzień proklamacji nowej Konstytucji, kiedy to urząd prezydenta zostaje zastąpiony Radą Państwa.

To do niej ma teraz należeć przywilej „prawa łaski”. Dotychczasowy prezydent państwa, a zarazem I sekretarz partii Bolesław Bierut urzęduje jednak nadal. W stosunku do trzech oficerów skazanych na śmierć w sprawie Sn. 14 52 nie korzysta z prawa łaski. Z prawa tego nie korzysta również nowopowołana Rada Państwa, której sekretarzuje Zygmunt Rybicki, a przewodniczy gen. Aleksander Zawadzki.

W grudniu 1952 komandor Stanisław Mieszkowski,
komandor por. Zbigniew Przybyszewski,
komandor Jerzy Staniewicz

zostają rozstrzelani!

Dla nas wszystkich, a w szczególności dla społeczeństwa Wybrzeża sprawa Sn. 14 52 nie zostaje zakończona. Nie są również zakończone inne sprawy z tamtych lat!

Pamiętajmy o wszystkich straconych, gdy w dni grudniowe odsłaniać będziemy POMNIKI!

KOMITET OBRONY WIĘZIONYCH ZA PRZEKONANIA

Warszawa, 20 grudnia 1980 r.

INAUGURACYJNE ZEBRANIE

W dniu dzisiejszym odbyło się inauguracyjne zebranie Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, powołanego do życia decyzją Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” w dniu 10 grudnia 1980 roku. Na spotkaniu grono założycielskie Komitetu podjęło następujące decyzje:

1. Wysłać petycję skierowaną do przewodniczącego Rady Państwa i marszałka Sejmu PRL, domagającą się uwolnienia uwiezionych za przekonania Leszka Moczulskiego, Wojciecha Ziemińskiego, Tadeusza Stańskiego, Zygmunta Goławskiego, Tadeusza Janciszka, Krzysztofa Bzdyla oraz Jerzego Sychuta.
2. Upoważnić p. Zofię Romaszewską do zorganizowania sekretariatu prowadzącego bieżącą działalność komitetu oraz informującego o jego pracach.
3. Podjąć czynności przygotowawcze do rozpoczęcia akcji masowego zbierania podpisów pod tekstem petycji.

KOMITET OBRONY WIĘZIONYCH ZA PRZEKONANIA

Warszawa, 20 grudnia 1980 r.

DO OBYWATELA PRZEWODNICZĄCEGO RADY PAŃSTWA

W trosce o pełne i konsekwentne przestrzeganie praw obywatelskich w Polsce przystąpiliśmy do Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, powołanego uchwałą Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność dnia 10.12.1980 r.

Zasadniczym naszym celem jest doprowadzenie do zaniechania przez władze represji karnych za głoszenie przez obywateli poglądów społeczno-politycznych. Bolesne doświadczenie historyczne lat 1945-1956 poucza nas bowiem, że represjonowanie ludzi za odmienne przekonania pod pretekstem popełnienia różnego rodzaju czynów przestępczych prowadzić musi nie tylko do nieodwracalnych często krzywd jednostek, lecz także do zasadniczych wypaczeń w życiu społecznym, a nawet do kompromitacji władzy państwowej i upadku powagi wymiaru sprawiedliwości. Dobitnym tego dowodem była w roku 1956 jednomyślnie potępiająca ocena tzw. okresu błędów i wypaczeń. W odniesieniu zaś do ostatniego dziesięciolecia uznano powszechnie, że stosowanie w walce politycznej metod przymusu i przemocy było zasadniczym błędem władzy państwowej.

Stanowisko władz natomiast wyrażone w punkcie czwartym Porozumienia Gdańskiego spotkało się z aprobatą wszystkich zdrowych sił społecznych i przyczyniło się do podniesienia autorytetu władz w oczach ogółu.

U progu naszej działalności zwracamy się przeto o zwolnienie z więzień i przerwanie postępowań karnych prowadzonych wobec Leszka Moczulskiego, Wojciecha Ziemińskiego, Tadeusza Stańskiego, Zygmunta Goławskiego,

skiego, Jerzego Sychuta, Krzysztofa Bzdyla, Tadeusza Janciszka. Jesteśmy w posiadaniu wiarygodnych informacji o trwającej od kilkunastu dni głośności co najmniej dwóch spośród wymienionych.

Komitet Obrony Więzionych za Przekonania ani jego poszczególni uczestnicy nie identyfikują się z poglądami politycznymi osób represjonowanych, uważamy jednak za sprawę wielkiej wagi uwolnienie osób uwiezionych, tuż po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego dnia 31 sierpnia 1980, za jawne głoszenie swoich przekonań politycznych. Alarmujące jest posługiwanie się prawem karnym jako instrumentem walki politycznej, przy czym przepisy tego prawa zostały zinterpretowane w sposób niedopuszczalny. Tak na przykład krytykę sprawujących władzę organa ścigania nazywają znieważaniem narodu PRL i jej ustroju albo rozpowszechnianiem fałszywych wiadomości niosących szkodę państwu. Wypowiadanie poglądów politycznych nazywane jest agitowaniem do czynów skierowanych przeciwko jedności sojuszniczej itp.

Uważamy za niezbędne natychmiastowe zaniechanie tej polityki. Społeczeństwo żąda gwarancji, że w przyszłości nie będzie ona podjęta. Porozumienie Gdańskie z dnia 31 sierpnia 1980 roku zapewnia przestrzeganie swobody wyrażania przekonań w życiu publicznym i zawodowym. Podobne gwarancje znajdujemy w Międzynarodowym Pakcie Praw Obywatelskich i Politycznych, który od czasu ratyfikacji obowiązuje PRL.

Czujemy się w obowiązku przypomnieć, że Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Gdańsku trzecie miejsce na liście 21 żądań poświęcił sprawie przestrzegania wolności słowa, druku i publikacji, a czwarte zniesieniu represji za przekonania. Uważamy, że gdyby w okresie budzących wielkie nadzieje przemian zachodzących w życiu kraju miały się odbyć w Polsce tego rodzaju procesy polityczne, spowodowałyby to wzrost napięcia społecznego, zagroziłoby procesowi odnowy i demokratyzacji, którego wspólnie życzą sobie sygnatariusze Porozumienia Gdańskiego.

Wyrażamy nadzieję, że niniejszy apel, płynący z głębokiej troski o pokój wewnętrzny w naszym kraju, spotyka się z należytym zrozumieniem ze strony tych, do których go kierujemy. Jesteśmy przekonani, że ogół społeczeństwa udzieli w razie potrzeby poparcia naszemu stanowisku, gdyby zasza konieczność odwoływania się do opinii publicznej.

Władysław Bartoszewski — Warszawa, ul. Karolinki 12

Bogusław Bardon — Opole, ul. Janka Krasickiego 11

Marian Brandys — Warszawa, ul. Marszałkowska 10/16

Zbigniew Bujak — NSZZ Solidarność — Mazowsze

Kazimierz Dejmek — Łódź, Teatr Nowy

Kazimierz Dziewanowski — Warszawa, Sady Żoliborskie 13

Aleksander Hall — Gdańsk, ul. Podwałe Staromiejskie 94

Zbigniew Janas — NSZZ Solidarność — Ursus

Ryszard Kalinowski — NSZZ Solidarność — Elbląg

Tadeusz Konwicki — Warszawa, ul. Górskiego 1

Edward Lipiński — Warszawa, ul. Rakowiecka 22

Halina Mikołajska — Warszawa, ul. Marszałkowska 10/16

Adam Niezgoda — NSZZ Solidarność — Zielona Góra

Longin Osiński — NSZZ Solidarność — Siemianowice Śląskie

Andrzej Rozpłochowski — NSZZ Solidarność — Dąbrowa Górnicza

Zofia Romaszewska — Warszawa, ul. Kosińskiego 36

Władysław Siła-Nowicki — Warszawa, ul. Krucza 51

Aniela Steinsbergowa — Warszawa, ul. Boya 4a

Bogusław Sliwa — NSZZ Solidarność — Kalisz

Kazimierz Switoń — NSZZ Solidarność — Huta Katowice

Klemens Szaniawski — Warszawa, ul. Gojawiczyńskiej 3 m 4

Jacek Taylor — Sopot, ul. Sobieskiego 57
 Andrzej Wajda — Warszawa, ul. Puławska 61, Zespół Filmowy „X”
 Lech Wałęsa — NSZZ Solidarność — Gdańsk
 Stanisław Wądołowski — NSZZ Solidarność — Szczecin
 Wanda Wiłkomirska — Warszawa, ul. Inflancka 19 m 384
 Halina Winiarska — Gdańsk, Teatr Wybrzeże.

KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ

Warszawa, dnia 13 stycznia 1981 r.

Od września 1980 roku trwa przybierająca na sile kampania represyjna wymierzona w Konfederację Polski Niepodległej. W więzieniach PRL osadzono działaczy KPN: Krzysztofa BZDYLA, Zygmunta GOŁAYSKIEGO, Tadeusza JANDZISZAKA, Leszka MOCZULSKIEGO, Tadeusza STAŃSKIEGO, Jerzego SYCHUTĘ oraz Wojciecha ZIEMBIŃSKIEGO z KPSN. Jednocześnie PZPR decydująca o polityce i propagandzie w PRL szkaluje i ocernia uwięzionych i Konfederację.

Wobec powyższego oświadczamy:

1) Konfederacja Polski Niepodległej jest partią legalną, działającą jawnie w ramach obowiązującego prawa. Konfederacja nie podejmowała i nie podejmuje działań, które można określić jako przestępstwo, w szczególności nie stosuje środków przemocy. Podstawy prawne i legalność KPN dowiedliśmy w licznych dokumentach, a w szczególności w MEMORIALE KPN z 11 listopada 1980 r. skierowanych do uczestników KBWE w Madrycie.

2) Władze PRL ulegają decyzjom kierownictwa PZPR — partii, która dobrowolnie przyjęła obowiązek konstytucyjny „przewodzenia” w państwie. Kryzys, w jakim znalazła się Polska jest następstwem tego „przewodnictwa”. Dowodzi że PZPR nie potrafi wywiązać się z przyjętego obowiązku.

3) Ataki na KPN mają odwrócić uwagę społeczeństwa od odpowiedzialności ciężącej na PZPR. Represje wobec KPN stanowią dowód nieszczerých intencji władz PRL, które działając w interesie PZPR usiłują zahamować procesy przemian. Więzienia, kłamstwa i obelgi są w tej sytuacji jawną prowokacją ze strony PZPR. Jej skutki spadną na ludzi odpowiedzialnych za łamanie praw przysługujących obywatelom.

4) Prasa PZPR ogłasza informacje nie mające nic wspólnego z rzeczywistością:

a) KPN działa w oparciu o decyzje wyłonionego demokratycznie kierownictwa, które w całości znajduje się w POLSCE. Wszelkie działania w imieniu KPN, również za granicą wymagają akceptacji ze strony władz KPN. Działania nie potwierdzone przez Radę Polityczną, Kierownictwo Akcji Bieżącej, czy urzędującego przewodniczącego nie mogą być uważane za działania Konfederacji.

b) KPN uważa rząd na uchodźstwie w Londynie za depozytariusza legalizmu państwowego Rzeczypospolitej. Stanowisko to nie oznacza, aby Konfederacja uważała za celowe solidaryzować się ze wszelkimi poczynaniami tego ośrodka. Rezerwujemy też sobie prawo do krytycznego opiniowania polityki Londynu. Wielokrotnie oświadczaliśmy, że jedynie ośrodki krajowe mogą podejmować decyzje dotyczące polityki polskiej. Emigracja i ośrodki uchodźcze mogą jedynie spełniać rolę służebną, pomóc w walce Polaków o należne im prawa.

c) KPN nie zamierza powoływać „konkurencyjnego” rządu. Informacje na ten temat są oparte na kłamstwie lub nieporozumieniu. Jedyne naród polski jest uprawniony do wyłonienia parlamentu i rządu. Konfederacja nie zamierza usurpować sobie tego prawa jak to czyni PZPR. Dążeniem KPN jest doprowadzenie do wolnych wyborów rezultatem których będzie autentyczny Sejm RP reprezentujący wszystkich Polaków.

d) KPN utrzymuje się z funduszy pochodzących ze składek i darowizn. Są one również zbierane poza granicami PRL. Fundusze te są niewielkie, a budżet KPN wygląda bardzo skromnie. Nie otrzymujemy żadnych pieniędzy z ośrodków pozapolskich. Wszelkie twierdzenia na ten temat są oszczerstwem.

e) Członkiem KPN może zostać jedynie pełnoletni obywatel. W Konfederacji nie ma osób poniżej 18 lat. Kierownictwo wie o istnieniu spontanicznych grup młodzieżowych sympatyzujących z Konfederacją. Wewnętrzne instrukcje zabraniają angażowania osób nieletnich w działalność organizacyjną ze względu na represje służby bezpieczeństwa PRL. Stan ilościowy uczestników, kandydatów i członków KPN będących w ewidencji dnia 1 października 1980 roku wynosił 1.472 osoby. Kierownictwa terenowe nie notują poważnych zmian w stanie ilościowym.

f) Kierownictwo Akcji Bieżącej KPN stwierdza, że wszystkie archiwa będące w dyspozycji zawierają dokumentację w stanie nienaruszonym. Materiały, na które powołuje się prasa PZPR, a w szczególności rzekome instrukcje, które MSW otrzymało ze Szwecji nie są nam znane. Uważamy tę sprawę za sflingowaną.

5. Śledztwo wdrożone przeciwko działaczom KPN jest bezprawne i fałszywe. PZPR, korzystając z ogromnych środków będących w jej dyspozycji — wprowadza w błąd opinię publiczną co do celów i zasad działania KPN. Stanowi to dowód słabości PZPR.

Jesteśmy przekonani, że i te represje nie odniosą zamierzonego, przestępczego skutku.

Konfederacja istnieje, ponieważ istnieje konieczność zbudowania wolnej i niepodległej POLSKI. Tej sprawie służymy i będziemy jej nadal służyć.

Domagamy się uwolnienia więzionych za przekonania i zaprzestania kampanii oszczerstw o tzw. „siłach antysocjalistycznych”.

Żądamy realizacji prawa do uczciwego i rzetelnego głoszenia poglądów.

DEMOKRACJA JEST WOLNOŚCIĄ DLA INACZEJ MYŚLĄCYCH.

Kierownictwo Akcji Bieżącej
 KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ

OŚWIADCZENIE PROKURATURY GENERALNEJ
 z dn. 30 stycznia 1980

Prokuratura generalna w opublikowanym oświadczeniu dn. 30 stycznia 1981 stwierdza, że na tle napiętej sytuacji w kraju pojedyncze osoby i grupy osób dopuszczają się czynów godzących w ład i porządek publiczny. Postępowanie takie niejednokrotnie pozostaje w wyraźnej kolizji z obowiązującym prawem karnym.

W oświadczeniu wymienia się takie akty jak zajmowanie lub okupowanie lokali użyteczności publicznej, uniemożliwianie podejmowania pracy,

wyłączanie maszyn, rozpowszechnianie fałszywych informacji o działalności organów władzy i organizacji politycznych. Wszystkie te czyny są karalne.

Występują również przypadki drukowania i rozpowszechniania materiałów odrzuconych przez cenzurę, względnie w ogóle nie przedłożonych do ocenzurowania. Należy przypomnieć, że do czasu uchwalenia nowej ustawy o cenzurze obowiązuje dekret z 1946 roku przewidujący w takich sytuacjach odpowiedzialność karną.

Prokuratura generalna stwierdza, że odnowa polityczna i społeczna nie może opierać się na łamaniu obowiązujących norm prawnych i nie może ona godzić w ład, porządek i praworządność, gdyż właśnie te wartości muszą stanowić podstawę realizowanych zmian.

Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz 33-ci	
— \$c. 50,00	F. 190,00
Edda Werfel, Wiedeń (Austria)	F. 114,00
Władysław Wieczorek, Rueil-Malmaison (Francja)	F. 40,00
Zygmunt Wirski, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Jana Małczyńskiego, b. Konsula Generalnego R.P. — nieod- żałowanej pamięci przyjaciela	F.1.000,00
Aleksander Zawadzki, Westfield, Mass (USA), po raz 9-ty — \$ 8,00	F. 38,40
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz 17-ty — \$ 58,00	F. 278,40
Janusz Zembrzusi, Anglet (France), po raz 34-ty	F. 150,00
Anonimowo z Baden (Szwajcaria), po raz 2-gi	F. 100,00
Anonimowo z Paryża, po raz 9-ty	F.1.000,00
Bezimiennie z Canberry (Australia), po raz 9-ty	F.2.401,00
Bezimiennie z Flushing, N.Y. (USA), po raz 6-ty — \$ 48,25	F. 231,60
Bezimiennie z Kano (Nigeria), po raz 5-ty — \$ 466,00	F.2.236,80
Bezimiennie z Kanady, po raz 6 ty	F. 250,00
Bezimiennie z Lugano (Szwajcaria), po raz 15-ty	F. 130,00
Bezimiennie z Milwaukee, Wisc. (USA), po raz 16-ty — \$ 23,00	F. 112,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz 12-ty	F. 117,40
Bezimiennie z Upper Grandview, N.Y. (USA), po raz 4-ty — \$ 23,00	F. 110,40
Bezimiennie z USA, po raz 8-my	F.1.673,00
Bezimiennie z Wormerveel (Holandia)	F. 108,00

Przepraszamy najmocniej p. Stanisława N. Korzeniowskiego i p. Wacława Winnickiego, których nazwiska zostały zniekształcone w wykazie darów na „Fundusz Kultury” w nrze 1/2 (1981) *Kultury* (wydrukowano: p. Stanisław N. Konarzewski i p. Wacław Winowski). Mieliśmy w grudniu ub.r. strasznie dużo pracy i spóźnienie w drukarni, stąd ta pomyłka. Nasza wina. (Redakcja).

Bezimiennie z Winnipegu, Man. (Kanada) — na opozycję w Kraju — \$c. 50,00	F. 190,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) — na opozycję w Polsce	F. 90,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na opo- zycję w Polsce — \$ 100,00 (gotówką)	F. 480,00
Przekazane przez Koło nr 43 S.P.K. w Los Angeles — na żywność i leki dla potrzebujących pomocy w Polsce — \$ 661,00	F.3.172,80
Zebrane wśród parafian w Los Angeles — na rzecz najbardziej potrzebujących w Polsce — \$ 739,00	F.3.547,20
Zebrane 14. 12. 1980 r. wśród uczestników zebrania zorganizowanego przez Kongres Polonii Amerykańskiej, S.P.K., Studium Spraw Polskich, oraz delegaturę A.K. w Południowej Kalifornii — na pomoc żywnościową i leki dla Polaków w Kraju — \$ 558,00	F.2.678,40

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA ROBOTNIKÓW, KTÓRZY STRAJKOWALI I DLA ICH RODZIN ORAZ NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” I INNE WOLNE ZW. ZAWODOWE

Anonimowo z Newton Centre, Mass. (USA) — na „Solidarność” — \$ 48,00	F. 230,40
--	-----------

Bezimiennie z Finlandii na „Solidarność”	F. 38,43
Bezimiennie z Grenoble (Francja) na „Solidarność”	F. 100,00
Bezimiennie z Lugano (Szwajcaria) na „Solidarność”	F. 100,00
Bezimiennie z Texasu na „Solidarność” — \$ 20,00	F. 96,00
M. Bielczyńska, Kopenhaga (Dania) na „Solidarność”	F. 210,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, N.M. (USA) na „Solidarność” — \$ 50,00	F. 240,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) na „Solidarność” — \$ 100,00	F. 480,00
Paula i Jerzy Kawka, Sztokholm na „Solidarność”	F. 500,00
Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej, Oddział Filadelfia (USA) — nadesłał J. Modrzejewski — na „Solidarność” — \$ 300,00	F. 1.317,51
Jerzy Lubiejewski, Caracas (Wenezuela) na „Solidarność”	F. 230,00
A. i J. Paszyńscy, Buena Park, Cal. (USA) — na pomoc dla robotników i ich rodzin — \$ 23,00	F. 110,40
Anna i Stanisław Piaskowscy, Albany, N.Y. (USA) — zamiast życzeń świątecznych na „Solidarność” — \$ 30,00	F. 144,00
Stowarzyszenie Polaków „Ogniwo” w Trenton, N.J. (USA) na „Solidarność” — \$ 50,00	F. 240,00
Związek Polski w Newcastle, N.S.W. (Australia) na „Solidarność” — \$ A. 1.880,00	F. 9.942,19

WPŁATY NA FUNDUSZ KSS „KOR”

Bezimiennie z Canberry	F. 2.671,00
Bezimiennie z Genewy	F. 8.000,00
Bezimiennie z Grenoble (Francja)	F. 100,00
Bezimiennie ze Strasburga (Francja)	F. 90,00
Bezimiennie z Texasu (USA) — \$ 10,00	F. 48,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 48,25
Wiesław Domaniewski, New York	F. 180,00
George Z. Kamiński, Buena Park, Cal. (USA) — \$ 200,00	F. 960,00
K. R. z Ocean Grove, N.J. (USA) — \$ 24,00	F. 115,20
W. Kurek, Round Wake, Ill. (USA) — na pomoc dla najbardziej pokrzywdzonych i potrzebujących — \$ 87,00	F. 417,60
L-B-N, Lille (Francja)	F. 50,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA) — \$ 50,00	F. 240,00
Antoni Piotrowski — pieniądze zebrane od Polaków w Göteborgu i okolicy — Krs 500,00	F. 500,00
W. Pirogowicz, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ 10,00	F. 37,00
Stowarzyszenie Polaków „Ogniwo”, Trenton, N.J. (USA) — \$ 50,00	F. 240,00
Halina i Witold Wołowicz, Enschede (Szwecja)	F. 500,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż	F. 200,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NOW-ej

A.T. z USA — \$ 20,75	F. 99,60
Bezimiennie z Genewy	F. 2.000,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA) — \$ 50,00	F. 240,00
Halina i Witold Wołowicz, Enschede (Szwecja)	F. 250,00
Tamara i Wacław Zagórscy, Londyn — zamiast kwiatów na grób Haliny Wierzyńskiej — £ 20,00	F. 220,00

WPŁATY NA T.K.N.

Bezimiennie z Kanady	F. 250,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — dwunasta rata rocznego stypendium, ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM 100,00	F. 230,00
Maciej Kozłowski, Ottawa, Ont. (Kanada)	F. 100,00
Franz Laux, Aulendorf (RFN) — DM 50,00	F. 115,00
U. Macioszek, Essen (RFN) — DM 100,00	F. 230,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada)	F. 100,00
Halina i Witold Wołowicz, Enschede (Szwecja) — Krs 250,00	F. 250,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00

Lidia Wojtowicz, Madison, Wisc. (USA) na ROPCiO — \$ 100,00	F. 480,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) na ROPCiO (A. Czuma)	F. 100,00

Prof Jan Drewnowski, West Wickham, Kent (Anglia) — do dyspozycji żony uwięzionego Leszka Moczulskiego	F. 500,00
---	-----------

Witold Osiński, Malmö (Szwecja) — na pomoc dla Konfederacji Polski Niepodległej — Krs 100,00	F. 100,00
J. Zalewski, Chester (W. Brytania) — na K.P.N. — £ 10,00	F. 110,00

Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) — na P.P.N.	F. 100,00
--	-----------

Czytelnicy Pomostu (USA) — \$ 1.669,00, z czego na:	
NSZZ „Solidarność” — \$ 1.079,00	F. 5.179,20
Robotnik — \$ 100,00	F. 480,00
Biblioteka Historyczna i Literacka — \$ 100,00	F. 480,00
Komitety Chłopskie — \$ 100,00	F. 480,00
Aspekt — \$ 50,00	F. 240,00
T.K.N. — \$ 50,00	F. 240,00
Spotkania — \$ 50,00	F. 240,00
Interpelacje — \$ 50,00	F. 240,00
NOW-a — \$ 40,00	F. 192,00
K.P.N. — \$ 20,00	F. 96,00
KOR — \$ 20,00	F. 96,00
K.U.L. — \$ 10,00	F. 48,00

Wpłacone za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> , Sydney, \$ A. 425,00 (według listy z 19. 12. 1980), z czego na:	
Fundusz Pomocy Robotnikom w Polsce — \$ A. 335,00	F. 1.675,00
Konfederacja Polski Niepodległej — \$ A. 30,00	F. 150,00

Fundusz Pomocy Ruchom Wolnościowym w Polsce —	
\$A. 30,00	F. 150,00
K.U.L. — \$A. 30,00	F. 150,00
Wpłacone za pośrednictwem <i>Wiadomości Polskich</i> , Sydney,	
\$A. 215,00 (według listy z 30. 1. 1981) — z czego na:	
Fundusz Pomocy Robotnikom w Polsce — \$A. 80,00	F. 440,00
Fundusz Pomocy Ruchom Wolnościowym w Kraju —	
\$A. 80,00	F. 440,00
NSZZ „Solidarność” — \$A. 20,00	F. 110,00
Konfederacja Polski Niepodległej — \$A. 20,00	F. 110,00
KSS „KOR” — \$A. 15,00	F. 82,50

W redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: K. Madrak i robotnicy	
z „Solar Machine” — \$ 50,00, Z. M. Tazbit — \$ 8,00, G. K.	
Światocho i W. Tyszkiewicz po \$ 20,00 — razem:	
\$ 98,00 z czego na:	
NSZZ „Solidarność” — \$ 78,00	F. 374,40
K.P.N. (Moczulski) — \$ 20,00	F. 96,00
W redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: L. Szydełko — \$ 40,00,	
Placówka 103 SWAP — \$ 20,00, J. Rzyński — \$ 15,00,	
W. Wróbel — \$ 5,00 — razem: \$ 80,00, z czego na:	
NSZZ „Solidarność” — \$ 55,00	F. 264,00
ROPiO (Czuma) — \$ 20,00	F. 96,00
K.P.N. — \$ 5,00	F. 24,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt Légal: 1^{er} Trimestre 1981.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 4,50	\$A 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-tern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- gen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h. 60,00	Fl h. 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45. Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ..			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze- chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Lu- dowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.210; półroczna — F.115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

BIBLIOTEKA « KULTURY »

CZESŁAW MIŁOSZ

„DZIEŁA ZBIOROWE”

JUŻ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMY:

ZNIEWOLONY UMYŚŁ, str. 240 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

ZDOBYCIE WŁADZY, str. 160 — cena F. 50,00
(\$US 13,50).

RODZINNA EUROPA, str. 248 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

DOLINA ISSY, str. 196 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, str. 256 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

ZIEMIA ULRO, str. 224 — cena F. 60,00
(\$US 15,00).

WIDZENIA NA ZATOKĄ SAN FRANCISCO, str. 172
— cena F. 40,00 (\$US 10,50).

OGRÓD NAUK, str. 256 — cena F. 65,00
(\$US 15,75).

Poezje Czesława Miłosza w dwóch tomach
ukazą się w niedługim czasie.